

Paweł Smoleński  
**SYROP Z PIOŁUNU**  
Wynnani w akcji „Wisła”



W serii ukazały się ostatnio:

Dariusz Rosiak *Żar. Oddech Afryki* (wyd. 2 zmienione)  
Anna Mateja *Serce pasowało. Opowieść o polskiej transplantologii*  
Linda Polman *Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej* (wyd. 2)  
Scott Carney *Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci* (wyd. 2)  
Misha Glenni *Nemezis. O człowieku z faweli i bitwie o Rio*  
Adam Hochschild *Lustro o północy. Śladami Wielkiego Treku*  
Kate Brown *Plutopia. Atomowe miasta i nieznanne katastrofy nuklearne*  
Drauzio Varella *Klawisze*  
Piotr Lipiński *Cyrankiewicz. Wieczny premier*  
Mariusz Szczygieł *Gottland* (wyd. 3 zmienione)  
Maciej Czarniecki *Dzieci Norwegii. O państwie (nad)opiekuńczym*  
Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Kryształowy fortepian. Zdrady i zwycięstwa Petra Poroszenki*  
Paweł Smoleński *Wieje szarkijja. Beduini z pustyni Negew*  
Albert Jawłowski *Milczący lama. Buriacja na pograniczu światów*  
Lidia Pańków *Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego* (wyd. 2)  
Mariusz Szczygieł *Niedziela, która zdarzyła się w środę* (wyd. 3)  
Aneta Prymaka-Oniszk *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy* (wyd. 2)  
Wojciech Górecki *Toast za przodków* (wyd. 2)  
Jonathan Schell *Prawdziwa wojna. Wietnam w ogniu*  
Wojciech Górecki *Planeta Kaukaz* (wyd. 3)  
Janine di Giovanni *Tamtego ranka, kiedy po nas przyszli. Depesze z Syrii*  
Wolfgang Bauer *Porwane. Boko Haram i terror w sercu Afryki*  
Wojciech Górecki *Abchazja* (wyd. 2)  
Bartek Sabela *Afronauci. Z Zambii na Księżyc*  
Anna Pamuła *Polacos. Chajka płynie do Kostaryki*  
Paweł Smoleński *Pochówek dla rezuna* (wyd. 3)  
Cezary Łazarewicz *Tu mówi Polska. Reportaże z Pomorza*  
Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 2)  
Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 4)  
William Dalrymple *Dziewięć żywotów. Na tropie świętości we współczesnych Indiach* (wyd. 2)  
Barbara Demick *Światu nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej* (wyd. 2)  
Jacek Hugo-Bader *Dzienniki kołymskie* (wyd. 2)  
Ben Rawlence *Miasto cierni. Największy obóz dla uchodźców*  
Dariusz Rosiak *Biało-czerwony. Tajemnica Sat-Okha*  
Jean Hatzfeld *Więzy krwi*  
Aleksandra Boćkowska *Księżyc z peweksu. O luksusie w PRL*  
Barbara Seidler *Pamiętajcie, że byłem przeciw. Reportaże sądowe*  
Ewa Winnicka *Był sobie chłopczyk*  
Cezary Łazarewicz *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka* (wyd. 3)  
Marcin Kącki *Poznań. Miasto grzechu*

W serii ukaże się m.in.:

Piotr Lipiński *Bierut. Kiedy partia była bogiem*

Paweł Smoleński

## **Syrop z piołunu**

Wygnani w akcji „Wisła”



Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt układu typograficznego Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Kamil Gubała

Copyright © by Paweł Smoleński, 2017

Redakcja Wojciech Górnaś / Redaktornia.com

Korekta Marcin Grabski / d2d.pl, Iwona Łaskawiec / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Alicja Listwan / d2d.pl

ISBN 978-83-8049-611-8

# Spis treści

*Seria*

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

*Motto*

Element wrogi i niepewny

A bo ja pamiętam, jak było?

Do Sowietów nie idziemy

A ty czyj?

Mam zaszczyt poinformować Pana

Poszedł Karol

Dobrych Polaków traktować grzecznie

Ludność idzie na ogół chętnie

Ukraińska procesja

Problem już nie istnieje

Uczyniliśmy wielkie krzywdy

Pomysł na przetrwanie

Czy, panie, to już koniec?

Bardzo prosi staruszek

Wybaczajcie

Zbrodnia

Mam przed oczyma niewinne dzieciątka

*Podziękowania*

*Źródła*

*Kolofon*

Artykuł 7 Statutu Międzynarodowego Trybunału Wojskowego z Norymbergi stanowi:

1. Dla celów niniejszego statutu „zbrodnia przeciwko ludzkości” oznacza którykolwiek z następujących czynów, popełniony w ramach rozległego lub systematycznego, świadomego ataku skierowanego przeciwko ludności cywilnej:

(a) zabójstwo;

[...]

(d) deportacja lub przymusowe przemieszczanie ludności;

(e) uwięzienie lub inne dotkliwe pozbawienie wolności fizycznej z naruszeniem podstawowych reguł prawa międzynarodowego;

(f) tortury;

(g) zgwałcenie, niewolnictwo seksualne, przymusowa prostytutka, wymuszona ciąża, przymusowa sterylizacja oraz jakiegokolwiek inne formy przemocy seksualnej porównywalnej wagi;

(h) prześladowanie jakiegokolwiek możliwej do zidentyfikowania grupy lub zbiorowości z powodów politycznych, rasowych, narodowych, etnicznych, kulturowych, religijnych, płci [...] lub z innych powodów powszechnie uznanych za niedopuszczalne na podstawie prawa międzynarodowego, w związku z jakimkolwiek czynem, do którego odnosi się niniejszy ustęp, lub z jakąkolwiek zbrodnią objętą jurysdykcją Trybunału;

(i) wymuszone zaginięcia osób;

[...]

(k) inne nieludzkie czyny o podobnym charakterze celowo powodujące ogromne cierpienie lub poważne uszkodzenie ciała albo zdrowia psychicznego lub fizycznego.

Nacjonalizm polega na tym, żeby inne narody doprowadzić do takiego szału, iżby nacjonalistyczna reakcja na ten szal wydawała się uprawnioną.

Tomasz Arciszewski, przywódca Organizacji Bojowej PPS, poseł na Sejm II RP,  
czołowy działacz PPS-WRN podczas II wojny światowej, premier RP na uchodźstwie

Mam niezaprzeczone prawo zajmować się liczeniem grzechów nacjonalizmu polskiego przede wszystkim, a to dlatego właśnie, że Polacy byli w tamtej połaci kontynentu dziedzicami najstarszej kultury, pionierami Europy. Jeśli inne narodowości uległy obłudom, to Polska dopuściła się również zdrady, zaparła się własnego dorobku.

Paweł Jasienica

Prawdziwy patriotyzm nigdy nie stara się dążyć do dobrobytu własnego narodu kosztem innych. Bowiem ostatecznie dotknęłoby to także jego własnego narodu, wyrządzenie krzywdy dotyka obu stron – i agresora, i ofiary. Nacjonalizm, szczególnie w swoich najskrajniejszych formach, jest więc antytezą prawdziwego patriotyzmu.

Jan Paweł II, Przemówienie w siedzibie ONZ, Nowy Jork, 5 października 1995

Tyle wiemy o sobie,  
ile nas sprawdzono

Wisława Szymborska, *Minuta ciszy po Ludwice Wawrzyńskiej*

Odtworzone z pamięci, usłyszane podczas rozmowy w knajpie: plac Bankowy w Warszawie, podają flaki z ciepłą bułeczką, niezłe, na dnie talerza kąpią się malutkie pulpeciki.

– Powinieneś pogadać z M., z C., z K., w końcu znasz ich wszystkich. Ciężka sprawa, nie śmieć się, sam to wiesz równie dobrze jak ja. Raz się ucieszą, raz znajdą wymówkę, czymś się zasłonią. Zobaczą trzecie dno tam, gdzie nie ma nawet drugiego. Ale kto z nas jest bez grzechu? Ty z pewnością nie. Ja również.

Strzępy opowieści, łaty, kawałki. Tak zszywa się tę historię, choć na półkach bibliotek stoją opasłe książki napisane przez uznanych historyków, pełne dokumentów, polskich i ukraińskich, oraz wielce prawdopodobnych tez, które badacze uzasadniają mechanizmami dziejów i zapisanym w pamiętnikach nastrojem tamtych czasów.

Ale i obecnych – przynajmniej takie mam wrażenie. Ludzie, którzy przez lata milczeli, a potem – jakby pewniejsi swego – odważyli się wylać swoją krzywdę, już odeszli lub znów wolą nie pamiętać. Dlatego noszą w tej opowieści inicjały albo tylko imiona, nawet ci jeszcze niedawno opowiadający pod nazwiskiem.

Nazwisk też będzie garść, lecz najczęściej ludzi, którym już nic zrobić nie można.

Osoby, które wolą inicjały od pełnych nazwisk, opowiadają, że dzisiaj toczą się po kole. Swoje dostali. Mają wnuki i prawnuki, rozrzucone po całej Polsce. Niektóre – zwłaszcza pokolenie urodzone w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – nie znają nawet ojczystego języka (do tego stopnia uważali, żeby się nie wychylać). Nie był to mądry strach, bo i tak wokoło wszyscy wiedzieli, kto jest kim, przez pamięć własnych rodzin oraz niechętnie pomruki pobrzmiwające w prowincjonalnych miasteczkach i wsiach. Ta niechęć szła za każdym przez całe życie.

Byli więc tymi z czarnymi podniebieniami, jakie podobno mają złe psy. Przeczekali dzięki mimikrze albo cichej wierności obyczajom, to samo zalecają swoim następcom.

– Już nie mam siły się užerać – słyshałem raz i drugi. – Chcę tego oszczędzić swoim.

Nie będę zatem ich do niczego zachęcać. Nie mam prawa.

\*

Fakt – tak po II wojnie światowej (i wcześniej, gdy Europa wymyśliła ideę państwa narodowego, rozwiniętą do granic absurdu przez komunistyczny i faszystowski totalitaryzm) postępowano z ludźmi. Stalin wywoził, kogo się dało: Finów z zachodu imperium i Koreańczyków z Dalekiego Wschodu, Ukraińców, Polaków, Litwinów, Łotyszy, Estończyków, Karaczajów, Bałkarów, Czeczenów, Inguszków, Kałmuków, Tatarów, Ormian, Kurdów, Turków, Greków, Niemców z Powołża i Azerów. Ofiary szły w miliony, a przywódcy tak zwanego wolnego świata przegryzali z nim tartinki pomazane kawiozem astrachańskim w cudnej willi nad Morzem Czarnym, popijali wódkę zimną jak lód i dzielili na mapach rozwiniętych z wielkich rulonów stare kraje, których już nie było, miasta i narody, jak im akurat przyszła ochota. Zwycięzcy mogą mieć swoje kaprysy.

Czesi zatem, którzy też mieli się za zwycięzców, wywieźli Niemców z Sudetów i nikt ani mrugnął, bo wtedy, w prywatnych listach i w oficjalnych papierach, pisało się „Niemiec” małą literą; tak sobie nagrabili, grając w jednej, narodowosocjalistycznej drużynie, choć przecież nie grali wszyscy.

Podobnie ze swoimi zasiedziałyimi od wieków Niemcami zrobili Węgrzy i Jugosłowianie.

Rumuni wywieźli rumuńskich Szwabów z Banatu i Sasów z Siedmiogrodu, ale też Węgrów i Serbów, wybierając dla nich najbardziej wstrętne kawałki, gdzie tylko suchy piach, słona ziemia i perz. Sowiecka Ukraina pozbyła się Czechów. I tak dalej.

Słowem – trwała wielka wędrówka ludów, przymusowa, ale nikt się nie dziwił pociągom pełnym zesłańców i kolumnom obdartusów maszerujących noga za nogą drogami całej Europy i wielkich połaci Azji. Dlaczego Polska miałaby odstawać od ówczesnej mody?

– Ten patchwork wspomnień to syndrom przesiedlonych i wygnanych – opowiadał mi P. – Nie żartuję. Odzywa się w kolejnych pokoleniach, bez ostrzeżenia i niby bez związku z tym, co sami przeżywamy. Nagle zaczynasz patrzeć na świat jak na łamigłówkę, w której ciągle ktoś podrzuca jakieś klocki.



I na dodatek we łbie wszystko ci się zgadza, bardzo pięknie się rymuje. Tylko boli jak cholera.

\*

Opowie mi więc P. o pani z alzheimerem, zakopanej w dalekiej przeszłości o wiele bardziej niż w czynnościach dnia codziennego. Pani była wtedy dziewczynką – miała lat osiem, czyli nie tak wiele, by brać na siebie odpowiedzialność za młodsze rodzeństwo oraz niekiedy za dorosłych, co zdarzało się całkiem często, ponieważ tak się wówczas działo.

No więc pani pamięta, że był obok las, straszny, ale przyjazny, bo do lasu nie wchodzili Niemcy, a potem polskie wojsko. Leśni, również było ich dość, wchodzili – bez różnicy: swoi czy obcy. Niektórych znała z twarzy; mieszkali po sąsiedzku. Tych się bała, jeśli chodzili do katolickiego kościoła.

Swoich niezbyt. Ale też nie laźła w oczy, bo jak pojawiali się swoi, było wiadomo, że zaraz przyjdą obcy, kiedy swoich już nie będzie.

Było także młodsze rodzeństwo. W lesie, gdy się chowali, trzeba było za nimi patrzeć, uważać, bo się pogubią. To może być choroba wieku, utrata pamięci odbierająca jasność widzenia. Albo jakaś mgławica wspomnień. Lecz zdaje się jej, że kogoś z tych młodszych nie upilnowała. A może z dorosłych? Tyle że co to za dorośli, skoro mieli z pół setki mniej lat niż ona dzisiaj. Młodziaki, nie dał im Bóg długiego życia.

Tych w mundurach, przede wszystkim polskich, też pamięta. Źle ich pamięta. Co zrobić.

Opowie mi P. także o panu i pani (nie pamięta ich imion ani nazwiska), bidnych na pierwszy rzut oka jak kościelne myszy; lata temu tacy ubodzy byli emeryci z tak zwanego starego portfela. Ona wysoka, biodrzasta i potężna. On – drobniutka chudzina, o głowę niższy od żony. Stali obok siebie: ona zajmowała kawał przestrzeni, a on w tej krzywo zapiętej marynarce, jakby zwędził ją chłopcu kłękającemu do pierwszej komunii, wygięty jakoś, zapadły w sobie, półtora nieszczęścia, musi uwiesić się baby, bo samemu nie robi kroku.

Ona mówi: „No podejdz, opowiedz panu. No już, nie bój się, stary”.

A on szuka dziury, gdzie mógłby się schować.

– Podszedł do mnie nie od razu – opowiada P. – Było już dobrze wieczorem, po przemowach, po panichidzie, po przekąskach i po wielu kieliszkach wódki.

Odważył się wreszcie. Żona, ta wielka baba, opowiadała później, że pierwszy raz w życiu się przełamał poza własną kuchnią i małżeńską sypialnią.

Miał wówczas ten zapadły w sobie mężczyzna siedemnaście lat. Drobnny, niewysoki, ale żylasty, więc znakomicie pasował do wymyślonego przez bezpiekę profilu, bo młody i taki suchar; pewnie nie dojadł, jak to w lesie, i dobrze mieścił się w partyzanckiej ziemiance. Wysadzili go z pociągu w Oświęcimiu, gdzie ciągle śmierdziało palonymi ciałami, a dno Soły było grząskie od ludzkich prochów wysypywanych w nurt. Zawieźli do obozu na przesłuchanie – biło czterech, wszyscy chłopcy na schwał. Gdyby nie ta kobieta w mundurze, ubeczka bez dwóch zdań, która szła korytarzem obok pokoju tortur, zajrzała do środka i powiedziała z przyganą: „Zabijecie upowskiego skurwysyna”, nie wytrzymałby tych ciosów zadawanych deskami, kablami, batami, butami, łokciami, pięściami, z obcasa, z grzywy.

Kobieta w mundurze: tak, tak, właśnie ta od „upowskiego skurwysyna”, ocaliła mu – jak wierzył – życie. Ciągle był jej wdzięczny.

No a teraz dotarł tu z żoną: jechali pekaesem kilkadziesiąt kilometrów. Pomodlił się, powspominał, wypił, że aż pałą go policzki, więc – opowiada P. – chce podziękować, że doczekał takich spotkań. Powie dwa słowa i zaraz sobie pójdzie. Co mają go zobaczyć tu, w Jaworznie, gdzie zbiera się wiadomo kto?

Nie. Tam, gdzie mieszka, nikt nigdy nie wiedział, co przeżył, kim jest i skąd przyszedł. Żona, ta wielka baba, która za młodu była jeszcze silniejsza – ma się rozumieć, że Polka i katoliczka rzymska – kiedy deportowanym już było mniej więcej wolno jeździć po kraju, zabrała go jak najdalej od miejsca zsyłki. A skoro tyle przejechali, to chyba nie po to, żeby wszystko od razu się wydało. Dlatego woli milczeć, niż mówić.

\*

P. przypomni sobie historię pani K. Gdy ją poznał, K. przygięła się już do ziemi. Też odsiedziała swoje w tym obozie, a kiedy wyszła i wyjechała na północ, aż pod ruską granicę, milczała zawzięcie, nawet przed dziećmi rodzonymi i wnukami.

Nadeszła wreszcie wolność, a wtedy znaleźli się tacy, którzy chcieli wszystko (albo prawie wszystko) wybebeszać i rozkopywać, wyszukiwać po przysypanych kurzem archiwach, w imię – jak powiadali – sprawiedliwości i pojednania. Prawdy

im się zachciało; naiwni idealisci, choć byli między nimi ludzie mądrzy i doświadczeni, bardzo poważni i wpływowi.

W takich okolicznościach do pani K. przysłało urzędowe pismo z kilkoma pieczętkami, że ma się stawić w siedzibie ważnego urzędu i przed prokuratorem, który, w jej najlepiej pojętym interesie, przesłucha, pozna, zbada oraz wyjaśni. Takie pisma, jak K. sięgała pamięcią, nigdy nie wróżyły dobrze. A jednak pani K. pojechała przed oblicze prokuratora, bo niby jak inaczej, skoro wzywają.

Ten prokurator – młody chłopak, jak jej własny wnuczek prawie, wyznaczony do zbadania dawnych zdarzeń i krzywd – usadził ją za stołem, sam siadł z drugiej strony, otworzył wielki notatnik, wyjął z kieszeni długopis i zapytał, co K. wie o zbrodniach na narodzie polskim.

K. poczuła się, jakby znów miała kilkanaście lat i głowę pełną płochych marzeń, lecz przede wszystkim strachu: właśnie zabrali ją z rodzinnej wsi, tłukła się bydlęcym wagonem kilka dni i nocy, a teraz przed sobą ma śledczego z ciężkim kablem w ręku, obok niego protokolanta notującego każde słowo, w powietrzu wisi swąd ciał spalonych ledwie dwa lata wcześniej. Jest w obozie, gdzie wcześniej hitlerowcy trzymali więźniów wykorzystywanych do niewolniczej pracy przy wydobyciu węgla. Przed chwilą widziała wokół siebie łagodne pagórki, jeszcze zimowe, bo wiosna ledwie przyszała, ciemnozielone od świerków i sosen. W szyję dyszał jej jakiś młodziutki żołdak, który chciał „coś sobie wziąć” (tak mówiła), ale nie umiał albo nie mógł, więc koledzy się z niego śmiali. Już mu nawet darowała to, co w końcu zrobił.

– Najbardziej boli krzywda ludzi – mówi P. – których można skopać, bo jest się silniejszym, mądrzejszym, lepiej wyuczonym, można ukrzywdzić absolutnie dowolnie. Dlaczego ukrzywdzić? Bo tak.

Chyba na tym polega echo czasów minionych, które słyszę zawsze i wszędzie, kiedy tylko dotknę tego tematu. To krzywda dla krzywdy i strach, który wraca, a już dawno powinien zniknąć.

\*

– Przywieźli nas na murowaną stację – opowiada Nadzieja. – Po wielu dniach. Byliśmy głodni i zmęczeni, przestraszone zwierzęta ryczały. To nie wyglądało jak Polska: inne domy, pagórki niższe niż u nas, torów dużo, wysokie perony, tylko lasy podobne, gęste, wysokie. Po jednej stronie było miasto, zdawało się, że

ogromne, a przecież to tylko Giżycko. Po drugiej woda, po horyzont, świeciła się w słońcu. Wiedziałam, że na świecie jest coś takiego jak morze, ale nigdy nie widziałam tyle wody. Pewnie więc mi się zdawało, że to właśnie morze, szerokie, groźne, granatowe od głębin. Pytaliśmy siebie nawzajem, po co nas tu wieźli. Utopić chcą, bez dwóch zdań, bo jak inaczej. Pogonią z wagonów i wegnają w te błyszczące fale. Chyba nikt pływać nie umiał, u nas była tylko struga jak dla kaczek. Ale tylko wysadzili, kazali czekać na peronie, a potem pognali dalej, piechotą. Należało nam się – tak mówili. Za co się należało? Nie wiedziałam.

\*

Pojechaliśmy na północ, pod ruską granicę, poprowadzoną niemal przez środek gospodarstw – tak sztucznie, jak tylko mogła to wymyślić powojenna Sowiecja – ku sercu krainy zwanej kiedyś Prusami Wschodnimi. Czarne chmury czepiały się koron wyłysiałych drzew, siąpiło; tu pogoda zgrywa się niezawodnie z porą roku: jeśli nad świtem panuje mroczny listopad, to jest to listopad jak ta lala. Golutki, czarne i mokre od deszczu, świeżo przeorane jesienne pola kryły się we mgle. Smutno jakoś, płaczkliwie, bo i z czego się tu cieszyć?

Droga – gładziutka, ze świeżo odmalowanymi liniami (za pieniądze Unii Europejskiej, co oznajmiały tablice ze złotymi gwiazdkami na niebieskim tle) – wiała się wzdłuż linii lasów i łąk, wymuszając niespieszną jazdę. Im bliżej granicy, tym bardziej robiła się dziurawa, aż wreszcie spod ponadgryzanego asfaltu pokazał się stary granitowy bruk, a potem były już tylko błoto, wykroty i znów błoto. Gdzieś mignął rozpadający się wiekowy folwark: zapadnięte dachy obór i stajni, zamiast podwórka między budynkami jedna wielka kałuża, upstrzona nieśmiertelnymi butelkami z plastiku na znak, że cywilizacja tu jednak dotarła. Gdzie indziej odremontowane na wysoki połysk skrzydło dawnego dworu, jakiś kikut ceglano-komina, kawałek muru, samotna chałupa.

Kiedyś były tu bawerskie i dworskie pola. Mówiono po niemiecku, hodowano mleczne krowy i szlachetne rasy koni. Odbywały się rauty, bale i polowania, a pod koniec dziejów tej krainy spiskowano przeciwko Hitlerowi, którego wcześniej tłumnie popierano w wyborach, goszczono przy kominkach w obszernych salonach i balowych pokojach strojnych pałaców, wychwalano pod niebiosa jego umysł, talent oratorski i polityczno-wojskowy geniusz (choć po cichu drwiono z jego

prostactwa), póki nie zdano sobie sprawy, że sprowadza na pruskie wsie i majątki nieodwracalne nieszczęście.

Jechaliśmy więc na północ, a w końcu dziurawa, potem brukowana jezdnia – aż chciałoby się napisać – nagle przestała się wić. Bo już nie była to droga, lecz wydeptany w ziemi trakt, istniejący grubo ponad pół wieku, nieumiejący jednak nikomu wyjaśnić swojej przydatności. Na Kanale Mazurskim kilku robotników remontowało most, dlatego ostatnia prawdziwa i w miarę przyzwoita droga łącząca Bajory z resztą świata była przerwana do odwołania.

Bajory Małe: kilka poniemieckich domów, rozrzuconych bez ładu i składu między łagodnymi pagórkami, ceglane ściany, ryża dachówka, małe okienka na poddaszach, gdzieniegdzie w miarę świeży tynk. Nigdy nie było tu kościoła ani zboru, bo i po co stawiać Pański przybytek dla kilkudziesięciu dusz. Aż nagle w jednej z solidnych, choć nadgryzionych czasem chałup erygowano cerkiew. Od kilkudziesięciu lat nie ma tu już pruskich ewangelików, nigdy nie było rzymskich katolików. Na krańcu świata, pod ruską granicą, zamieszkali sami Ukraińcy.

Dojechaliśmy tu wczesnym popołudniem; gdzie indziej o tej listopadowej porze zapalano by pierwsze żarówki. Chciałem z kimś pogadać, lecz tutaj, w Bajorach, wszystkie okna były czarne. Między domami rozsiadła się doskonała cisza, przerywana okrzykami robotników drogowych latających przeprawę na kanale. Cerkiew zamknięta, choć otynkowana – takie sprawia wrażenie – ledwie przedwczoraj, zadbane domy, mimo że bieda, kilka zwalonych stodółek, ale poniemieckie dachówki leżące na ziemi w pierwszorzędym stanie (tylko niektóre popękały od upadku). Chmury nad polami, mżawka zmieniająca się w rześistą ulewę. Coś (lub ktoś) tu powinno być. Ale nie było. Wjechaliśmy w błotnistą drogę i wio, aby dalej od tego miejsca wyglądającego jak nawiedzone.

Wróciłem do Bajorów późną wiosną. Nie było wiele więcej: gdzieś za płotem dziobiące kurki, wystrzyżona trawa na podwórku oraz pani – kwiecisty fartuch ze sztucznego materiału, chustka na głowie, lekka opalenizna i uśmiech wiele lat młodszy od wieku.

Kawa będzie sypana, w szklankach. Niski sufit, jak kiedyś budowano, piec ze starych kafli, gdzieś z oddali dochodzi wibrujący głos piły tarczowej – najważniejszy dźwięk polskiej wsi.

Weszliśmy do tej kuchni, bo nie odmawia się takiego zaproszenia. Oraz by przekonać się, że nie jest to wieś widmo. Bo kiedyś Bajory – Małe i Wielkie – to może nie było centrum świata, ale jednak coś. Sklep, szkoła (pełne osiem klas),

każdy skrawek ziemi zaorany, od Srokowa asfaltowa droga prowadząca przez fantastycznie wysoki, stary las; ogromne świerki, prawie jak rusińskie, z dawno odebranych gór. Mowa zaś wszędzie ta sama, ukraińska; niby osiedlano tu jeszcze przed 1947 rokiem, ale zdaje się, że polskie nadzieje chałup i pól ominęły Bajory. Gdyby było inaczej, pobudowano by tu kościół, a nie cerkiew, zamieniając stary parobczański czworak w skromną świątynię, do której zjeżdżają wierni aż z Reszla i Kętrzyna.

Nie ma już w Bajorach sklepu, nie ma szkoły, nie ma przystanku pekaesu. Jest odnowiony most przez Kanał Mazurski i są nowe dziury w starej drodze. Niedaleko ktoś hoduje bydło rasy limousine, najlepsze na rostbefy i steki, stoi także znak zakazu wjazdu przed budynkami starego folwarku. W Kałkach, które w porównaniu z Bajorami prezentowały się jak środek niczego, odnowiono elewację dziewiętnastowiecznego dworu i kawałeczek ogromnej stodoły (na remont czekają jeszcze dwie, wielkie jak hale targowe). A w Bajorach cicho i tylko w niedziele słyszeć cerkiewny śpiew.

– Jak mam się dobrze, latem, bo zimą zabierają mnie stąd moje dzieci, które mieszkają w mieście, to idę na mszę – słyszymy nad sypaną kawą. – Jak gorzej, stanę przy drodze i patrzę na chałupę. Kto ją weźmie, jak mnie zbraknie? Nikomu ten dom już niepotrzebny. Może to grzech wielki, ale modłę się o koniec. Pan młodziutki, nie rozumie, co starej znaczy mieszkać w takiej wsi.

Gdy ich przywieźli w 1947 roku, w czworakach nie było okien, a ziemia nieobsiana. Jeśli jaki sąsiad z oddali coś dał, to było. Jak nie dał, to nie było, tylko jagody w lesie i grzyby. Dawali ci, którzy przyszli z Wileńszczyzny i od dzisiejszej Białorusi. Im dalej na południe, tym większą ludzkie zwozili tu ze sobą zawziętość. Nic nikomu z tego nie przyszło, bo – dzisiaj to już wiadomo jak Bóg na niebie – każdemu przypadł w udziale tylko jakiś kawałek biedy. A głupie przezwiska, ubliżanie od banderowskich kurew, gdy człowiek wystawił nos za Bajory? Jak kto pamięta, że dawno temu spotkało go coś takiego, widać nie miał w życiu ani chwili szczęścia.

Lecz szczęście się przecież trafiało. Choćby ten dom, gwarny, póki dzieci, dzisiaj koło emerytury, nie pojechały w świat. I spokojny, bo stary jeszcze pił z umiarem. I cerkiew w starym czworaku.

Nie wiem, czy to jest prawda, ale historia cerkwi ma swój smak. W Bajorach byli wyłącznie grekokatolicy, podobnie jak w całym pasie wsi przylepionych do ruskiej granicy: powiaty węgorzewski, kętrzyński, bartoszycki, a pewnie i inne.

Przesiedleńczym rozkazem Ukraińców miała się tu osiedlić ledwie garstka, rozpuszczona w polskim morzu. Gdzieniegdzie nawet tak się stało, ale zarządzenie sobie, a realność sobie – kiedy wysiedla się wiele tysięcy więcej, niż było planowane, gdzieś się w końcu coś popieprzy. Zdarzyło się więc tak, że z nakazu władzy obowiązywał na północnym skraju Mazur tylko jeden rozkaz: nie wolno mówić o nich „Ukraińcy”, tylko „przesiedleńcy”. Wszystkie inne zalecenia poszły na śmietnik, za bardzo bowiem kłóciły się z prawdziwym życiem.

Tak i kiedy w urzędzie powiatowym złożono podanie o budowę cerkwi, na początku nie było zgody. Wysyłano więc pisma do Warszawy i uspokoiło się, bo jak Ukraińcy, to prawosławni – można się zgodzić. Na dachu budowanej cerkwi, formalnie prawosławnej, siedział więc greckokatolicki ksiądz i pod prawosławnym zezwoleniem bił papiaki w stropowe deski, greckokatolicki zaprzęg wiózł greckokatolickie bale na dzwonnice. Tak samo ściągano cement i cegły.

A kiedy już wszystko stało jak należy, powiał wiatr historii. Nikt już nie pytał, skąd w Bajorach greckokatolicka cerkiew, choć miała być prawosławna. I tak zostało, nawet jeśli w obu przysiółkach nie ma już prawie ani jednego młodego – bajorskie dzieci rodzą się po całej Polsce, a jak zimą zasypie, to drogi nikt nie odgarnia, bo to ostatnia kategoria odśnieżania. Most na Kanale Mazurskim nowy, za unijne pieniądze, lecz między trzciniami i żółtymi grązelami ani wypatrzeć kawałka czystej wody, tak wszystko zarosło.

– Idź pan z Bogiem i wspomnij Bajory – słyszę od chałupy. – Miałam osiemnaście lat, jak mnie przywieźli. To tutaj bardziej moje niż te pagórki pod Jarosławiem. Nikt tam z moich najbliższych nie wrócił. Po co, skoro my bajorskie, z Mazur.

\*

Był taki pan (zmarło mu się ostatnio), a gadaliśmy gdzieś na Pogórze Przemyskim. O życiu i wspomnieniach; starych ludzi warto słuchać.

– Widziałem film *Wilcze echa*, dawno, ale pamiętam prawie wszystko, kiedyś dobre filmy robili, choć czarno-białe – opowiadał. – Nie powiem, podobało mi się bardzo. Ten główny aktor jak amerykański: wysoki, przystojny, mocny w ramionach, pamiętam, jak na koniu gnał i w podziemne bunkry wchodził bez najmniejszego strachu. Dziewczyna też cudna, jak moje koleżanki z czasów, gdy

chodziłem na kawalerkę: piękne włosy, blondyna, przód i tył w sam raz do przytulenia. Bandziory za to pokraczne, źli ludzie, to i musieli przegrać.

Tyle że – słuchałem – pan, któremu się zmarło, akurat trzymał z bandziorami. Nie tak, żeby zaraz po seansie o tym mówić, ale jakoś jednak z nimi.

– Tak się zdawało, że ci z bandy to nasi. Bez polityki o tym panu mówię, bo i film chyba był niezbyt polityczny, inaczej niż inne filmy i książki o Bieszczadach, zwykle propagandowe kurewstwo. Do tych zarośniętych, brudnych bandziorów było mi sercem bliżej niż do tych ładnych państwa.

Wiele więcej nie powie.



## Element wrogi i niepewny

Chwilę przed świtem 28 kwietnia 1947 roku sześć dywizji Wojska Polskiego otoczyło szczelnymi pierścieniami wsie południowo-wschodniej Polski, zamieszkane głównie przez Ukraińców. W tym samym czasie oddziały NKWD i armii czechosłowackiej zablokowały wschodnie i południowe granice kraju, od Brześcia nad Bugiem po Nowy Sącz w Beskidach, by odciąć ewentualne szlaki ucieczki.

O czwartej rano siedemnaście tysięcy żołnierzy, zorganizowanych w grupę operacyjną „Wisła”, rozpoczęło wysiedlanie niepożądaną tu ludności, Ukraińców i Łemków, choć między wyrzucanymi z rodzinnych domostw trafiali się również etniczni Polacy. Oficjalną przyczyną wywózek była walka z oddziałami Ukraińskiej Armii Powstańczej (UPA), wówczas najsilniejszymi jednostkami ukraińskiej partyzantki po zniszczeniu przez Armię Czerwoną i rozformowaniu UPA w Związku Radzieckim.

Jednak w prawdziwą wojnę UPA z Polską Ludową nie wierzyli nawet najwięksi propagandziści i fantaści. Zarówno Polacy, jak i ukraińskie podziemie mieli świadomość, że partyzanci to w gruncie rzeczy jednostki samoobrony, chroniące miejscową ludność podczas pierwszej wielkiej deportacji do Związku Radzieckiego, przeprowadzonej kilkanaście miesięcy wcześniej. Wywołanie zwycięskiego powstania w sercu opanowanej przez Stalina Europy Wschodniej byłoby marzeniem szaleńca. O wiele większy problem militarny dla polskich komunistów stanowiły ciągle nieujawnione – mimo niedawnej amnestii – oddziały poakowskiego i narodowego podziemia.

Władze do tego stopnia panowały nad sytuacją, że dwa miesiące przed rozpoczęciem deportacji lokalni dowódcy Wojska Polskiego proponowali władzom przeniesienie żołnierzy z Bieszczad pod Łódź. Meldowano, że:

w terenie panuje względny spokój. Komunikacja samochodowa i kołowa – ta, która w pierwszej połowie 1946 roku nie mogła odbywać się bez specjalnej ochrony wojskowej – dzisiaj odbywa się normalnie bez obawy o ewentualne napady bandytów. Teren jest opanowany przez wojsko i władze bezpieczeństwa,

a grupki bandyckie, pojawiające się sporadycznie, są w dalszym ciągu tropione przez nasze oddziały i niszczone.

Bo naprawdę szło o coś innego. „Zadanie: rozwiązać ostatecznie problem ukraiński w Polsce” – informowała Państwowa Komisja Bezpieczeństwa w projekcie tajnej notatki przygotowanej przez Ministerstwo Obrony Narodowej i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych na wiosnę 1947 roku. „Ewakuacją będą objęte wszystkie odcienie narodowości ukraińskiej, z Łemkami włącznie, jak również mieszane rodziny polsko-ukraińskie”.

\*

Deportacja 1947 roku odbywała się wedle najlepszych stalinowskich wzorów. Ukraińskich mieszkańców zganiano w centralne miejsce wsi i dopiero wówczas informowano o planowanych wywózkach. Dostawali kilka godzin, najczęściej cztery (dlaczego cztery, a nie sześć lub dwie? – nie wyjaśniano), na spakowanie dobytku. Towarzyszyły temu palenie zabudowań, kradzieże, niszczenie mienia, bicie, znęcanie się nad młodymi podejrzanymi o członkostwo w ukraińskim podziemiu, wyzwiska, aresztowania oraz gwałty.

Później z wieśniaków formowano kolumny i pod karabinami prowadzono wyznaczonych do deportacji do pułkowych punktów zborych. Niekiedy maszerowali nawet pięćdziesiąt kilometrów. Oficjalne instrukcje nakazywały tempo dwa kilometry na godzinę. Szybciej się nie dało.

W punktach zborych kolumny ludzi upychano na wiejskich pastwiskach wydzielonych drutem kolczastym. Tak powstawały zorganizowane pod gołym niebem tymczasowe obozy koncentracyjne, a uwięzieni w nich Ukraińcy byli wystawieni na głód, deszcz i przymrozki. Między przerażonymi, zmarzniętymi wieśniakami kręciły się wystraszone krowy i konie.

W punktach zborych, utworzonych przy stacjach kolejowych, przeprowadzano pierwszą selekcję, wydzielając podejrzanych o sprzyjanie ukraińskiemu podziemiu lub niechęć do ludowej Polski. Na ubeckie i wojskowe listy trafiali z automatu inteligenci, wiejscy nauczyciele, działacze stowarzyszeń samokształceniowych i kulturalnych, bibliotekarze oraz księża prawosławni i greckokatolicki. „Element wrogi i niepewny” był narażony na aresztowanie, a w najlepszym wypadku na specjalne rygory osiedlenia w miejscu docelowym.

W bydłych wagonach panowały ścisk i brud. Organizatorzy akcji poważnie obawiali się wybuchu epidemii chorób zakaźnych. Tuż przed deportacją władze przewidywały w zawyżanych – tak myślano – szacunkach, że wysiedlonych zostanie nieco ponad siedemdziesiąt tysięcy Ukraińców. Ostatecznie wywieziono ponad dwa razy tyle.

Większość transportów jechała przez stację w Oświęcimiu.

Pociąg stanął na boczniczy – to jedno ze wspomnień z oświęcimskiego dworca. – Po dłuższym czasie trwożliwego oczekiwania wszczął się ruch. Wzdłuż pociągu chodzili wojskowi z jakimiś spisami, zaglądali do wagonów, wyczytywali nazwiska, a wyczytywanych gdzieś zabierali. Gdy zabierani wrócili, pokazywali ślady pobicia. Byli na przesłuchaniu.

W pobliskim Jaworznie – dawnym podobozie obozu koncentracyjnego Auschwitz – decyzją Biura Politycznego Polskiej Partii Robotniczej (PPR), podjętą na chwilę przed wywózką, zorganizowano „przejściowy obóz dla podejrzanych Ukraińców”. Zatrzymano tam bez prokuratorskich sankcji i wyroków sądowych kilka tysięcy ludzi, w tym ponad osiemset kobiet, wiele z nich w ciąży, dzieci i starców. Wobec uwięzionych stosowano tortury. W Jaworznie zmarły – z głodu, bicia i chorób – sto sześćdziesiąt dwie osoby, co niektórzy polscy historycy (domorośli, ale też z dyplomami uniwersytetów) uznali za przesłankę, że nie działo się tam wcale źle: raptem dwa procent zgonów, czyli mniej niż pośród pacjentów szpitali.

\*

Wysiedleniami kierował generał Stefan Mossor, legionista marszałka Józefa Piłsudskiego, kształcony na zachodnich uczelniach wojskowych oficer II Rzeczypospolitej, kombatant bitwy nad Bzurą we wrześniu 1939 roku (dowodził jednostką kawalerii), a potem więzień oflagu. Wrócił z Zachodu do Polski, został zastępcą szefa sztabu generalnego. Nie lubił pracy sztabowej, nad ślęczenie przy mapach przedkładał front. Był – w opinii innych wojskowych – despotyczny, apodyktyczny. Doświadczony, choć mało utalentowany żołnierz, ale żołdak z natury, bezwzględny i uparty. „Jeśli chodzi o Ukraińców – powiedział o nim marszałek Marian Spychalski, wówczas tylko generał, ale też faktyczny dowódca Wojska Polskiego, aresztowany w 1951 roku w ramach stalinowskich czystek

i oskarżony o spisek – to każdy przedwojenny wojskowy należycie przeprowadzi tę akcję, bo i przed wojną nie lubiano Ukraińców”.

Żołnierzy biorących udział w akcji „Wisła” zagrzewano odezwami: „Spotkał was zaszczyt niezmierny, że idziemy walczyć o prawa ludu. Matki i dzieci płaczące wzywają o pomoc swych synów w wojsku. Zew narodu jest dla nas święty”. Na wszelki wypadek informowano, że „bandyta nie różni się na ogół niczym od każdego spotkanego człowieka”.

„Biuletyn Polowy Jednostki Wojskowej Wisła” pisał w trakcie wysiedleń (czerwiec 1947):

Do ostatecznego wytępienia hitlerowskiej zarazy przystąpili spadkobiercy bohaterów spod Lenino, Warszawy, Kołobrzegu i Berlina [...]. Dumą i radością pałają nasze serca, że pozwolono nam pomścić śmierć naszych kolegów, w bestialski sposób skrytobójczo pomordowanych i zbezczeszczonech. W ostatecznej rozprawie pozwolono nam wykonać testament krwi, poległego od zdradzieckich kul upowskich, wodza i przyjaciela, jakim był Generał Karol Świerczewski. W lufach naszych karabinów przyniesiemy długo oczekiwany spokój, ład i ochronę dla polskiej ludności, umęczonej i sterroryzowanej przez krwawych upiórów faszystowskiej „Samostijnej Ukrainy”.

Już pierwszego dnia akcji, 28 kwietnia 1947 roku, samoloty zrzucały ulotki „Do obalamuconych członków band UPA”:

Ludność ukraińska po przesiedleniu – wolna od grabieży i mordów, wolna od waszego terroru, błogosławi Rząd za to, że wybawił ją od ustawicznego strachu przed wami. [...] Dziś jesteście głodni i obdarci. Wskutek ciągłego pościgu żyjecie jak dzikie zwierzęta, w brudzie, o chłódzie. Gryzą was wszy. Nie możecie spocząć ani się umyć, bo nawet mydła nie macie [...]. Kto się zgłosi dobrowolnie z bronią w ręku, ten będzie żył.

Ostatnie zapewnienie było na wyrost.

Polskich mieszkańców wysiedlanych terenów uspokajano plakatami, że wywózce podlegają tylko Ukraińcy:

W ostatnich tygodniach Rząd Rzeczypospolitej przedsięwziął odpowiednie kroki celem uwolnienia miejscowej ludności z pod [!] terroru band faszystowskich

UPA [...]. Akcja ta została wykorzystana przez nieodpowiedzialne elementy wrogie Państwu i Demokracji, dla wywołania niepokoju wśród społeczeństwa i dezorganizacji życia spokojnej ludności. Elementy te rozpowszechniają nieprawdziwe wiadomości o zupełnym wysiedleniu całej ludności z terenów objętych akcją. Bezpodstawność rozsiewanych plotek i cel polityczny wrogów Państwa Polskiego jest jasny: wywołać zamieszania w życiu gospodarczym i utrudnianie odbudowy zniszczonego kraju. Plotki te muszą spotkać się ze zdecydowaną odprawą ze strony trzeźwo myślącego społeczeństwa. Spokojna ludność miejscowa musi zrozumieć, że w interesie Państwa Polskiego leży jak najrychlejsze zapewnienie na tych terenach spokojnych warunków życia i pracy. Nikt z ludności polskiej tych powiatów nie będzie przesiedlony [to zdanie napisano wielkim, czarnym jak węgiel drukiem]. Wzywam wszystkich obywateli, w ich własnym interesie, do zdecydowanego przeciwstawiania się rozpowszechnianym plotkom, zachowania zupełnego spokoju i pozostania przy swoich warsztatach pracy oraz dalszego prowadzenia wiosennych prac na roli. Szerzycieli zamętu, rozsiewających kłamliwe i fałszywe wiadomości, należy oddawać w ręce Władz Bezpieczeństwa.

Odezwę podpisał pełniący obowiązki wojewody rzeszowskiego Jan Mirek.

\*

Większość historyków uważa, że akcję „Wisła” zarządzili polscy komuniści w ścisłym porozumieniu z Moskwą. Pojawia się jednak również teza, że na taki pomysł wpadł sam Ławrientij Beria. A może wysiedlenia wymyślił Nikita Chruszczow, komunistyczny wielkorządca sowieckiej Ukrainy, bo bał się, że upowskie sotnie z Polski pójda za Bug i znów rozgorzeje powstanie.

Akcja trwała trzy miesiące; niektórzy badacze przyjmują za datę końcową przełom września i października 1947 roku, kiedy po śmierci krajowego prowidnyka Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) Jarosława Starucha „Stiaha” komendant UPA w Polsce, pułkownik Myrosław Onyszkiewicz „Orest”, rozformował pozostałe w lasach resztki oddziałów i zwolnił żołnierzy z przysięgi.

Mniej systematyczne wywózki ciągnęły się jednak przez następne lata. Jeszcze w styczniu 1950 roku wysiedlono kilkadziesiąt rodzin łemkowskich z powiatu nowotarskiego, przypinając ostatniej deportacji również etykietę akcji „Wisła”. Łącznie wywieziono sto czterdzieści, a może nawet sto pięćdziesiąt tysięcy osób.

Podczas akcji „Wisła” aresztowano i zabito prawie całe kierownictwo OUN i UPA „Zakerzońskiego Kraju” (nazwa od linii Curzona), jeśli nie w Polsce, to na sowieckiej Ukrainie lub w Czechosłowacji. Na schwytanych partyzantów albo wspierających ich chłopów (ale też na kobiety i nastolatki) podejrzanych o wspieranie UPA wydano blisko dwieście wyroków śmierci.

Wiele procesów odbywało się w trybie doraźnym; takie trybunały powołano na wniosek Biura Politycznego PPR już na początku maja 1947 roku. Pretekstem był domniemany atak nieznanego oddziału UPA (w rzeczywistości była to prowokacja bezpieki) na konwój deportowanej ludności i zabicie kilku żołnierzy polskiej ochrony. Procesy – klasyczne stalinowskie pokazówki – nie respektowały podstawowych zasad praworządności. Werdykty sądów, z nazwiskami skazanych na śmierć i informacją o wykonaniu wyroku, rozwieszano w formie publicznych obwieszczeń.

I tak w połowie maja 1947 roku, zgodnie z wyrokiem sądu doraźnego grupy operacyjnej „Wisła”, który zebrał się w Sanoku (przewodniczący: porucznik Ludwik Kiełtyka, ławnicy: plutonowy Stanisław Klich i kapral Stanisław Stachor), zamordowano dwudziestodwuletnią Rozalkę Mińko, „Ukraińkę, rolniczkę, cztery klasy szkoły powszechnej, w Wojsku Polskim nie służącą, pannę, bez majątku, rzekomo nie karaną”.

Trzech żołdaków, ledwie piśmiennych, bez prawniczego wykształcenia, ale z dobrą ideologiczną motywacją, dopuściło się – nawet wedle ówczesnych kryteriów – zbrodni sądowej. Orzekli, że Rozalka jest winna, gdyż „od sierpnia 1945 roku do 27 kwietnia 1947 roku w Stańkowej [w rzeczywistości w Stankowie, ale wyrok śmierci nie musiał być drobiazgowo dokładny] usiłowała oderwać południowo-wschodnią część obszaru Państwa Polskiego, będąc członkiem bandy UPA pod pseudonimem »Malina«, pełniąc w niej funkcję łączniczki”.

Wina dziewczuchy polegała na tym, że:

z polecenia „Skakuna” [do dzisiaj nie wiadomo, jak się nazywał ten partyzant ani czy w ogóle taki ktoś był] przynosiła tajną korespondencję UPA, zwiniętą w ruloniki. Została też pouczona, że na wypadek zetknięcia z organami bezpieczeństwa względnie Wojska Polskiego korespondencję ma odrzucić daleko od siebie. Od maja 1946 roku zbierała zioła, z których wyrabiała lekarstwa dla chorych i rannych członków UPA.

Oskarżona przyznała się w toku rozprawy do zarzucanych jej czynów. Przy wymiarze kary wziął Sąd pod uwagę jako okoliczności obciążające nienawiść, jaką żywiła oskarżona do Narodu i Państwa Polskiego, oraz aktywne występowanie z ramienia bandy UPA, nie dopatrując się żadnych okoliczności łagodzących.

Rozalkę zabito szóstego dnia po procesie – za to, że pielęgnowała chorych. Rozkaz wykonania wyroku wydał ówczesny wiceminister bezpieczeństwa publicznego generał Grzegorz Korczyński, za hitlerowskiej okupacji odpowiedzialny za mord na setce Żydów we wsi Ludmiłówka na Lubelszczyźnie. Skazany w stalinowskich rozprawach na dożywocie za „chwiejność ideologiczną” oraz „mordy na ludności polskiej i żydowskiej”, w 1968 roku gorący stronnik Mieczysława Moczara, a w 1970 – dowodzący wojskiem masakrującym strajkujących robotników na Wybrzeżu.

Po Grudniu '70 poszedł w dyplomatyczną odstawkę. Podobno zaraził się amebą, gdy był ambasadorem PRL w Algierii, choć mówiono również o samobójstwie lub zabójstwie.

\*

Nikt nie pytał o lojalność Ukraińców wobec Polski Ludowej. Każdy był wrogiem. Wywożono więc członków PPR, funkcjonariuszy milicji i Urzędu Bezpieczeństwa, byłych żołnierzy Armii Czerwonej i Wojska Polskiego, partyzantów Armii Ludowej, a wśród nich – tak, tak – kombatantów walk z UPA. Instrukcja Państwowej Komisji Bezpieczeństwa z sierpnia 1947 roku nakazywała dowódcom wojskowych okręgów krakowskiego i lubelskiego wywozić wszystkich „bez względu na stopień lojalności i przynależność partyjną”. W obozie koncentracyjnym w Jaworznie osadzono na przykład robotników pracujących wcześniej przy szybach naftowych w Ropience i Paszowej; sabotażu z ich strony, nigdy zresztą niepodjętego, osobiście obawiał się minister obrony narodowej marszałek Michał „Rola” Żymierski.

W sierpniu 1949 roku dekretem rządowym pozbawiono Ukraińców prawa własności do pozostawionych pól, łąk, lasów oraz budynków w odebranych im gospodarstwach. Mienie społecznych organizacji ukraińskich oraz Cerkwi greckokatolickiej przeszło na własność Skarbu Państwa. Wszystkie odkryte próby powrotu na ojcowiznę kończyły się więzieniem lub zesłaniem do koncentra

w Jaworznie. A ludzie przemykali się do siebie najczęściej z zupełnie niepolitycznych powodów – chcieli zebrać zboże i ziemniaki wysadzone przed deportacją.

Władza informowała:

Swoboda ruchu osadników z akcji „Wisła” ma być ograniczona. W szczególności niedopuszczalne jest opuszczanie Ziemi Odzyskanych i powrót na dawne tereny. Dopilnowanie powyższego jednak należy pozostawić właściwym władzom bezpieczeństwa publicznego. Do nich też muszą być składane wszelkiego rodzaju podania w powyższych sprawach. [...] Ponadto Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego ma być informowany o każdej sprawie, w jakiej osiedleńcy z akcji „W” zwraca się do władz administracji ogólnej. Kontakt z powiatowym UBP w sprawach osiedleńców z akcji „W” ma być stały i utrzymany możliwie osobiście.

I dalej:

Zasadniczym celem przesiedlenia osadników „W” jest ich asymilacja w nowym środowisku polskim, dołożyć należy wszelkich wysiłków, aby ten cel był osiągnięty. Nie używać w stosunku do tych osadników określenia „Ukraińcy”. W przypadku przedostania się z osadnikami na Ziemię Odzyskaną elementu inteligenckiego należy taki bezwzględnie umieszczać osobno i z dala od gromad, gdzie zamieszkują osadnicy z akcji „Wisła”.

\*

Zaplanowano więc i postanowiono wykonać zbrodnię: od wysiedlenia ludności i wybicia nielicznej intelektualnej oraz duchowej ukraińskiej elity po całkowite wynarodowienie. Na dodatek miało być o tej zbrodni cicho po wsze czasy.

Wysiedlenie ludności ukraińskiej – pisał w książce *Akcja „Wisła” 1947* Eugeniusz Misiło, pierwszy polski historyk, który pokusił się o zebranie w jednym tomie dokumentów z epoki, zarówno polskich władz cywilnych oraz wojskowych, jak i ukraińskiego podziemia – pociągnęło za sobą ogromne straty materialne. Całkowitemu wyludnieniu uległo kilkaset wsi, które zaledwie w nielicznych wypadkach zostały zasiedlone ponownie w podobnym stopniu



przez polskich osadników. Decyzją Ministerstwa Rolnictwa na terenie województwa rzeszowskiego postanowiono przeznaczyć pod zalesienie ponad pięćdziesiąt tysięcy hektarów gruntów uprawnych na terenach poukraińskich z uwagi na brak możliwości ich zagospodarowania. Nigdy nie obliczono strat poniesionych przez gospodarkę narodową wskutek obracania gruntów uprawnych w odłogi i lasy, ponownego zasiedlenia tych ziem, kosztów pomocy państwa dla ludności ukraińskiej na odbudowę zdewastowanych gospodarstw na ziemiach zachodnich i północnych.

Były również straty niewymierne: śmierć, cierpienia fizyczne i moralne tysięcy ludzi przemocą wypędzonych z własnych domów na całe życie. Utrwalony wskutek rozmyślnej polityki propagandowej, fałszywy, ciężący na kolejnych pokoleniach obraz społeczności ukraińskiej. Zniszczenie bezpowrotne bogatej, w wielu wypadkach unikalnej kultury materialnej i duchowej.

W Bieszczadach, w Beskidzie Niskim, na ogromnych połaciach Lubelszczyzny i Chełmszczyzny niemo wrzeszczała ludzka krzywda. Pod Olsztynem i Morągiem, w okolicach Giżycka i Węgorzewa, w Zielonogórskim, na Dolnym Śląsku i Pomorzu Zachodnim zamieszkał strach, dziedziczony z pokolenia na pokolenie.

Za to po całej Polsce rozpełzły się mity o krwawych ukraińskich rezunach, o stojących przeciwko nim dzielnych żołnierzach, którzy złapali Ukraińców za pysk, i o bohaterskiej akcji, dzięki której zapanował spokój, a z Bieszczad i Beskidów znikła zbrodnia.

Operacja „Wisła” (ktoś mi kiedyś powiedział, pewnie w Beskidzie Niskim, że już sama nazwa przesiedleń miała w sobie perwersję) to, niestety, nie był nawet finał ukraińskich krzywd. Ale też nie początek.

## A bo ja pamiętam, jak było?

W Zawadce Morochowskiej, z której po wojnie zostały tylko lesiste pagórki, nieśmiałe zarysy pól zbiegające ze zboczy zarośniętych olchą i odnowiony cmentarz, było kiedyś z pięćdziesiąt drewnianych chałup krytych gontem lub strzechą. Do pierwszej wojny stał tu jeszcze pański dwór – panowie na Zawadce mieli mniej więcej tyle, ile gdzie indziej w Polsce chłopci – a nad potokiem wykopano stawy rybne. Wzniesiono również cerkiew, jedyny murowany budynek we wsi. Działała czteroklasowa szkoła, agencja pocztowa oraz żydowska karczma.

Biednie tu było, jak to na Łemkowszczyźnie, ale podobno naród dobry i życzliwy: większość Ukraińców, kilku Żydów i rzymskich katolików; wszyscy mówili jednakim językiem. Jakieś krówki, owieczki, kury. Niedaleko biegł szlak koniokradów wiodący do Czechosłowacji, o czym donosiły raporty przedwojennej Policji Państwowej.

Zawadczańscy chłopci zbierali ledwie co, bo ziemia tu rzadka i kamienista. W Bukowsku i w odleglejszym Sanoku handlowali na targach drewnianymi cebrykami, maselnicami i łyżkami. Wszyscy – Ukraińcy, Żydzi i Polacy – chorowali na tarczycę, bo w wodzie z miejscowych studni i potoków brakło jodu. Za to byli – tak się ostało w ludzkiej pamięci – w nędzy solidarni, spokojni i zgodni, może dlatego, że wieś prawie na końcu świata, daleko od sporów narodów i wiar, rwących tamtą przedwojenną Polskę.

Tak zresztą zawsze wspomina się dawne czasy: ludziom było ubogo, lecz dobrze, różnic między sobą nie szukali, a od zwady ważniejszy był święty spokój.

Minęło jak z knuta strzelił. I nigdy nie powróciło. Co – opowiadali mi świadkowie, którzy we wczesnym dzieciństwie oglądali Zawadkę – przepowiedział zagubionemu przysiółkowi siwiutki jak z ikony wędrowny dziad proszalny, spotkany przez kogoś na polu zieleniejącym od ledwie wzeszłego ozimego żyta.

\*

– A bo ja pamiętam, jak było? – mówi Nadzieja, dzisiaj z Węgorzewa, rocznik 1928. Siedzi pod makatką z Tarasem Szewczenką w trzypokojowym mieszkaniu

gierkowskiego bloku; te trzy pokoje to będzie z pięćdziesiąt metrów kwadratowych. – Nic nie pamiętam z mojej Horostytej. To znaczy – myśli chwilę – że chyba dobrze było, znośnie przynajmniej. Złe rzeczy człowiek pamięta.

Nie wierzę w tę niepamięć ani przez chwilę, bo zaraz Nadzieja zaczyna opowiadać. Ale nie o tym, o co teraz pytam, tylko o latach wczesnego dzieciństwa, za II Rzeczypospolitej. Wtedy Horostyta leżała niemal w środku Polski, a dzisiaj to wieś pod ukraińską granicą.

– Tata miał konie, pole i sad. Był otwarty na nowości, taki wiejski eksperymentator, odkrywca. Szczepił nasze wierzby gruszą i dwiema odmianami jabłonek, ale nie pamiętam, by coś z tego się rodziło. Były też u nas stawy z rybami. Mamusia kochała ptaki. Mieliśmy kury, kilka ogoniastych, wielkich kogutów, kaczki, gęsi, perliczki. Gdy kluły się pisklęta, mamusia wołała, żeby popatrzeć, a potem biegaliśmy za tymi żółtymi, puchatymi kulkami; mięciutkie, delikatne, serduszka się w nich tłukły, kiedy brałam maleństwa do rąk. Nie widziałam już takich kaczek i gęsi nigdy w życiu. O ptaki trzeba dbać, kochać je jak dzieci. Tu, po wysiedleniu, nie dało rady.

Mamusia – powie Nadzieja – miała też ulubiony krzak jaśminu, rosnący tuż przy ganku drewnianej chałupy, rozłożysty, gęsty i tak pachnący jak najlepsze paryskie perfumy. Krzewił się ten jaśmin jak jakiś chwast, puszczał białe kwiateczki, zlatywały się pszczoły, a wtedy mamusia siadała na schodach drewnianego ganku, patrzyła na kaczęta i gąski, liczyła kurki i po prostu żyła, choć na bosaka, w ubrudzonej spódnicy i przepoconej chustce na głowie.

Żyła mamusia w szczęściu – Nadzieja jest pewna – no bo jak inaczej, kiedy ma się swój pachnący jaśmin, swój dom, swoją ziemię, nawet lichą, i swoje ptactwo.

Poszło w diabły. Z żalu po utraconym mamusia nawet nie zapłakała.

\*

– Jest w Horostytej starodawna, zabytkowa drewniana cerkiew, fundowana przez wielki ród Deskurów – opowiada Nadzieja. – Sześciu Polaków we wsi, czterech Żydów, reszta my, prawosławni Ukraińcy, na tej ziemi od najdawniejszych czasów, jak to pod Włodawą nad Bugiem. O Horostytej mówili już w XVI wieku.

Wywozili ich z Horostytej już podczas pierwszej wielkiej wojny. Ludzie szli na poniewierkę na rozkaz carskiej armii, bo wnet mieli zjawić się tu żołnierze

niemieckiego cesarza, a chłop – wiadomo – nie ma narodowości, tylko bat nad plecami, więc pójdzie w kamasze do tej armii, do której mu każą.

I tak stryjowie Nadziei zostali po I wojnie światowej gdzieś nad Wołgą albo nad innym Donem. Ojciec jednak wrócił. W powojennej wsi – mówił tata – było inaczej, ale w zasadzie prawie tak samo; nadejście wolnej Polski wiele nie zmieniło, prócz kalendarza świąt państwowych i oficjalnego języka w urzędach.

– Na Trzeciego Maja wszyscy młodzi szli na patriotyczną polską mszę do rzymskiego kościoła w Lubieniu, całe sześć kilometrów – mówi Nadzieja. – Podziałów między nami też nie było, aż do 1938 roku. Horostyta leżała daleko od świata, nieważna, zapomniana. Ci, którzy za II Rzeczypospolitej burzyli prawosławne cerkwie na Chełmszczyźnie na rozkaz rządu w Warszawie, jakoś tu nie dotarli z najgorszymi rozkazami. Dawali nam, Polakom i Ukraińcom, dobre i złe po równo. Brat mojego ojca chrzestnego był oficerem w wojsku, między Polakami. Drugi siedział w Berezie Kartuskiej za komunizowanie. Polacy też tam byli.

\*

Ten wujek, który poszedł do Berezy, objaśnił Nadziei, co znaczy słowo „internacjonał”. Każdego pierwszego maja wraz z towarzyszami wieszał na świerku przed cerkwią Deskurów czerwony sztandar. Policja płaciła miejscowym obwiesiom, żeby ściągnąć, ale wieś nie bardzo się kwapiła; tych wiejskich komunistów nawet lubiano, a już z pewnością bardziej niż stójkowych.

Był też w Horostytej taki jeden czerwony, który jakiś czas chodził w samych skarpetach. Coś świta Nadziei, że nazywał się Tomczyk. Jednego pierwszego maja leżał przed cerkwią na ziemi i wołał: „Mam w dupie pana komendanta”, a dzieciaki wokół śmiały się do rozpuku. Za tę dupę zabrali go do kozy w Krzywowierzbie; od bicia po stopach nie mógł potem butów włożyć.

Ale i tak największe swary poszły o religię.

Na plac, zbierający cztery ulice i szkodyńskie gospodarstwa w jaką taką całość [rzecz dzieje się w fikcyjnym Szkodyniu, a mogłaby równie dobrze w prawdziwej Horostytej], mimo krótkich nówek dziewczynki doszli po niespełna kwadransie – tak opisuje podchełmskie peregrynacje Zygi Maciejewskiego (pijaka, łajdusa, policjanta i detektywa, co się zowie) Marcin Wroński, autor powieści kryminalnych ze wschodnich rubieży

II Rzeczypospolitej. – Zwykle leniwy i senny, teraz zmienił się nie do poznania. Pod drewnianą cerkwią, której kopuły przypominały przyjemne piersi Nastki, kłębili się chłopcy z ochotniczej straży pożarnej i obsada tutejszego posterunku policji. Ci pierwsi prężyli mięśnie przy linach zaczepionych o dach prawosławnej świątyni, drudzy komenderowali. A jednym i drugim błogosławił sprzed malutkiego neogotyckiego kościółka ksiądz proboszcz z krucyfiksem w dłoni [...]. Cerkiewna wieża ugięła się i zaskrzypiała.

W Szkodniui nic nie pomogły oburzenie przytomnych Polaków oraz modlitwy i procesja Rusinów wystawiająca w charakterze tarcz święte ikony. Nie pomogłoby i w Horostyiej.

Nadzieja, chociaż wówczas mocno nieletnia panienka, słyszała, co się wokoło wyprawia. Nie będzie o tym opowiadać, nie dzisiaj, w tych tak bardzo dziwnych czasach, które właśnie nastąpiły. No, może tylko kilka zdań.

Kiedy dookoła burzyli cerkwie, zarządzono, żeby we wsi podczas nabożeństw ksiądz mówił kazanie po polsku, choć obrządek ciągle był swój, wschodni. Horostyta błagała: „*Hospody, pomyluj!*”, a w drzwiach chałup w pobliżu świątyni stali policjanci z psami. Ludzie się bali, niektórzy uciekali z mszy. Nic wielkiego.

Latem 1938 roku zakończyła się trwająca dwa miesiące akcja burzenia prawosławnych cerkwi, kaplic i domów modlitewnych na Chełmszczyźnie i na Lubelszczyźnie. Świątynie niszczyli żołnierze i policjanci, sekundowali im państwowi urzędnicy najwyższych szczebli i wielu zwyczajnych obywateli. Bezcieszczono ikony. Cegłę sprzedano, drewno z rozebranych dzwonnicy szło na opał. Wszystko w majestacie II Rzeczypospolitej.

Wprawdzie ówczesny premier Felicjan Sławoj-Składkowski przekonywał o konieczności dobrych relacji z mniejszościami narodowymi i religijnymi, zauważając, że „wszelkiego rodzaju objawy nienawiści czy zniecierpliwienia ze strony narodu polskiego do mniejszości uważam za ciężki błąd, który wcześniej czy później na Polsce zemścić się musi”, a jednak – zrobiono, co zrobiono. Zresztą – jak napisano w tajnym dokumencie wydanym w urzędzie wojewody lubelskiego w 1938 roku:

Pan Premier i Minister Spraw Wewnętrznych uznał sprawę likwidacji pewnych obiektów prawosławnych na terenie wschodnich powiatów w województwie lubelskim za dotyczącą najbardziej istotnych potrzeb państwa i religii. Z tych też

względom Pan Premier nie może uznać za dopuszczalną jakąkolwiek krytykę działań rządu na tym odcinku.

W sześćdziesiąt dni – informował Warszawę ówczesny wojewoda lubelski Jerzy Albin de Tramecourt – zburzono sto dwadzieścia siedem obiektów sakralnych. Choć być może – zdaniem współczesnych historyków – nawet o trzydzieści więcej. Rozmiaru ukraińskiego poniżenia nie oszacował nikt.

Na nic zdały się sejmowe interpelacje ukraińskich posłów, sprzeciw kilku senatorów, oburzenie garści hierarchów, również tych związanych z Kościołem katolickim, oraz metropolity grekokatolików Andrzeja Szeptyckiego. Protesty wiernych brutalnie pacyfikowano. Stanisław Cat-Mackiewicz, konserwatysta, mawiał: „Gdybym był posłem, postawiłbym wniosek o postawienie w związku z tą sprawą odpowiednich ministrów przed Trybunałem Stanu”.

A w wileńskim „Słowie” chciał napisać: „Burzenie świątyń prawosławnych to jeszcze jeden dowód, że rządzą nami ludzie niedorośli do rządzenia, którzy zmarnują mocarstwowe możliwości Polski”. Chciał napisać, bo tekst skonfiskowała państwowa cenzura.

Wiemy za to z ówczesnych dokumentów, że inicjatorzy i wykonawcy akcji burzenia świątyń bardzo kochali ojczyznę (to niekiedy byli wielokrotnie odznaczani generałowie Legionów) i uważali się za ludzi niepozbawionych sumienia. Dlatego – jak każdy, kto popełnił niegodziwość, a choćby pospolite świństwo – wymyślili dla swoich poczynań wniosłe usprawiedliwienie.

Miało więc być to działanie polonizacyjno-rewindykacyjne, jako że „wszyscy prawosławni mieszkańcy Chełmszczyzny są zruszczonymi Polakami, którzy przez ucisk zaborców odpadli od polskości”. Dlatego prawosławnych zmuszano do przejścia na katolicyzm i mówienia wyłącznie po polsku. Niektórych bito, stosowano administracyjne szykany. Szpiegowano działaczy mniejszościowych, gnębiono księży. Planowano przesiedlenia i wysiedlenia.

Ostateczna polonizacja Chełmszczyzny miała dokonać się w 1941 roku – tak wówczas zapewniano. I pewnie udałoby się, lecz po drodze wybuchła wojna.

\*

Było tak – jak pamięta Nadzieja, a może tylko jej opowiadano – że w dzwonnicy świątyni wystawionej przez Deskurów ukrywano ołtarze zwożone z całej okolicy

ze zburzonych świeżo cerkwi, żeby ich nie pohańbiono. We wsi pojawiły się złość i wściekłość, tym bardziej gorzka, że nieprzeżyta osobiście, znana z opowieści.

No i ten dzionek, kiedy w wiejskiej szkole nagle okazało się, że nie tylko niszczą cerkwie, ale miejscowe dzieci muszą na lekcjach religii mówić po polsku. Ksiądz dał Nadziei książeczkę do nabożeństwa i rozkazał: „Czytaj, ale na głos”.

– Czytałam po ukraińsku, choć były polskie litery – opowiada. – Ksiądz krzyknął raz, drugi, potem mnie uderzył. Wyszłam z ławki, a za mną cała klasa. Później przyjechał inspektor szkolny, rodzice mu się spowiadali, ale co z tego wyszło, nie pamiętam.

Przykro mówić, ale ksiądz, który bił Nadzieję, wnet się powiesił. Co się stało? Dlaczego? Uciekło z pamięci. Za to o tych, co burzyli cerkwie, mówiono między swoimi „Krakusy”. Wszyscy bali się, że „Krakusy” wnet zjadą do Horostytej.

Nie zjechali. Wybuchła wojna i skończyła się Polska burząca cerkwie.

– No i w takiej sytuacji poszliśmy pod Ruskich, pod Niemców, a potem znów pod Polaków – mówi Nadzieja. – Za okupacji boisz się każdej obcej twarzy, ludzie nikomu nie ufają. Ale tego, co się stało, nikt nie przewidywał.

\*

Opowiada Maria, rocznik 1928, z Żurawiec (dzisiaj z Mrągowa). A więc Żurawce: siedemset numerów, czytelnia, cerkiew, cmentarz, mogiła Strzelców Siczowych, procesja na Zielone Świątki pełna wioskowej młodzieży. W siedmioklasowej szkole dyrektorował pan Chmil, jego żona też tam uczyła oraz najstarsza córka. Nie było potrzeby, by dla polskich dzieci robić osobną klasę; rzymskich katolików były ze cztery rodziny. Wszyscy chodzili do cerkwi.

No i wszyscy chrześcijanie zgodnie krzyczeli za Żydami, gdy ci modlili się w piątkowe wieczory. Ale było ich raptem kilkanaścioro, w sam raz, żeby prowadzić karcznię, handlować. I żeby było komu dokuczać.

Był jeszcze polski pański dwór – zupełnie inny świat, ciekawy, lecz nie do poznania.

– Tatko mieli gospodarkę – opowiada Maria. – Nie było nam źle. Okropność przylazła z wojną: Rusczy, potem Niemcy, znów Rusczy z Polakami. Najstraszniejsze pojawiło się razem z tym smrodem zza lasu, od strony Bełżca. W końcu dopadło i nas.

Nie da się smrodu z za lasu i późniejszej deportacji oddzielić. Nie w pamięci Marii. Na Żurawce szedł więc dym, czarny i tłusty, siadał na domach, polach i ubraniach, wszyscy wiedzieli. Co jednak mogła zrobić Maryjka, dziecko ledwie, która – jak chrześcijanie – krzyczała za Żydami, ale też nie myślała, że z jej krajobrazu, własnego, najlepszego na świecie, znikną ci pejsaci chłopcy, dziewczuszki w długich sukniach, karczmarz, stareńki, który ledwie widział i we wsi mieli go za wariata.

Przed wojną można było pojechać do Bełzca na odpust. W czasie wojny Niemcy wystawili tam obóz. Z obozu nikt nie wychodził inaczej niż przez komin. Nie wolno było tam jeździć, nie wspomniano o palonych, ale mieszkańcy Żurawiec codziennie żyli w tym dymie, ze świadomością, co się dzieje, lecz co komu po takiej wiedzy?

– Wioska mojej bratowej była od torów kolejowych jak stąd do tego bloku. – Maria pokazuje przez okno. – Niemcy wyganiali z wagonów żywych ludzi, potem wyrzucali ciała, dużo, między torami tworzyły się stosy wysokie na metr, półtora. Wiedzieliśmy, kiedy przychodzi kolejny transport, bo od smrodu dymu nie szło wytrzymać. Grzech wielki, ale ludzie się przyzwyczajali. Pałą Żydów, nikogo więcej, więc co to nas obchodzi? Patrzono swojego. Taka jest wojna, nigdy nie będzie inna.

W Bełzcu zatem palili Żydów, a w wiosce Marii Ukraińcy przemyśliwali, jak uchronić się przed robotami u Niemca. Kiedy przestało dymić, zjawili się Ruscy. Przyszli drugi raz, tylko jeszcze gorsi.

– Za nic zabili najmłodszego brata. Chodził do dziewczyny, pokłócili się, doniosła. Jeszcze żył, położyli go w szpitalu, choć mama wołała znachora. Nic nie pomogło.

\*

– Kobylnic było dwie, na tę naszą mówili Wołoska – opowiada Szymon: dłonie pogięte artretyzmem, siwa czupryna, bruzdy na niedogolonej twarzy i krok wahlwy, bo wiek swój ma (gdy w 1947 roku wywozili, był całkiem już – powiada – stary, dwadzieścia dwa lata). – W naszej Kobylnicy była szkoła, uczyli czytać po rusku i po polsku. Kościoła nie było, bo dla kogo. Kilka polskich rodzin i garść Żydów. Reszta swoi.



Ta druga Kobylnica była jeszcze mniejsza. Tu i tam mełli żyto w kamiennych żarnach, ponieważ tych kilku ziaren nie było sensu wozić do młyna. Bieda, aż piszczało. Świat prawdziwy daleko, miasta daleko, polityka daleko. Kto by się Kobylnicą zajmował?

Kiedy zaczęła się wojna – nikt nie zauważył. Poszło szybko, bez żadnych bitew i frontów: Polacy uciekli, a potem, szast-prast, przyszli bolszewicy i Niemcy. Jedni i drudzy winszowali sobie dostaw, zabierali, co tylko było, zboże i świniaki, maglowali, żeby być za nimi. Ludzi z bronią bano się tu zawsze.

Ci bardziej uświadomieni narodowo siedzieli po lasach. Jednakowoż wszyscy, a rzecz była w tym, żeby w lesie nie spotkać Polaka ani Ruskiego, bo ci także się zjawili.

– Wszyscy mścili się na wszystkich – powiada Szymon. – Na dzieciach też, bez różnicy.

## Do Sowietów nie idziemy

We wrześniu 1944 roku Polska i Związek Radziecki, oddzielone od siebie mgliście jeszcze rozumianą nową granicą, pokrywającą się mniej więcej z tak zwaną linią Curzona, zawarły umowę o wymianie ludności. Na zachodnią stronę Bugu mieli pojechać etniczni Polacy. Na wschód jechali Litwini, Ukraińcy, Łemkowie i Białorusini.

Gdy okazało się, że dobrowolność przesiedleń na sowiecką Ukrainę jest fikcją, której nie da się wcielić w życie, wprowadzono przymus.

Wschodnia granica powojennej Polski – a zarazem zachodnia sowieckiego imperium – nie podobała się nikomu. Polscy komuniści mieli nadzieję, że zachowają Lwów, kresową stolicę Rzeczypospolitej, rzuconą w ukraińskie morze. Ukraińcy – że wpadnie im w ręce część etnicznie ukraińskiej Chełmszczyzny, kawałek Przemyskiego i beskidzka Łemkowszczyzna. Oficjalnie głoszone zakłęcia o internacjonalizmie i przyjaźni nie miały tu nic do rzeczy. Komunistyczni propagandyści z Kijowa pisali o wielowiekowej łączności Lwowa, Chełma, Przemysła i Jarosławia z Ukrainą. Polakom szło o pola naftowe na wschód od Bugu, w których wnet zabrakło ropy, ale tego wówczas nikt nie przewidywał.

Ostatecznie i tak o kształcie granicy decydował Stalin. Grał na obie strony, wszystkich trzymając w niepewności. Poza tym wierzył w politykę deportacji oraz polski i ukraiński nacjonalizm. Nie miał wątpliwości, że jeśli sąsiedzi skoczą sobie do oczu, on tylko skorzysta.

Na dodatek oba kraje, wykrwawione w czasie wojny, rozpaczliwie potrzebowały ludzi. A pamięć przedwojennych konfliktów narodowościowych zachęcała, by wymiana ludności, zwłaszcza z polskiej strony, przypominała czystkę etniczną. W pierwszych chwilach istnienia polskiej administracji zlikwidowano więc ukraińskie szkolnictwo. Szykanowano Cerkiew greckokatolicką, a Ukraińcom nie przydzielano ziemi z parcelacji majątków. „Mamy tendencję, by być państwem narodowym, a nie narodowościowym – takie opinie krążyły na najwyższych szczeblach polskiej Rady Ministrów. – Nie chcemy nikomu robić krzywdy, ale chcielibyśmy usunąć problem mniejszości narodowych”. Nie było to możliwe.

Lecz z drugiej strony przeciwni przesiedleniom Ukraińców do ZSRR byli dawni działacze Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy i aktywiści nowo powołanych organizacji sprzyjających komunistycznym przemianom. W Warszawie odbyła się, zwołana specjalnie w tym celu, polsko-ukraińska konferencja. „Polska obecna jest inna jak Polska z roku 1939 i nie będzie tolerowała ucisku narodowościowego – zapewniano Ukraińców. – Ludność ruska i ukraińska może sobie żyć na równi z ludnością polską, korzystając z tych samych praw, co i naród polski”.

Niekiedy komuniści zapraszali do współpracy dowódców UPA – najpewniej mając w pamięci groźny dla czerwonych sojusz UPA i AK, skutkujący odbiciem więźniów z więzienia w Hrubieszowie i krótkotrwałym opanowaniem miasteczka. W zamian za ujawnienie obiecywali amnestię, a nawet tworzenie ukraińskich posterunków milicji obywatelskiej. Tyle że – jak zawsze w czasach tużpowojennych i na pograniczu – nie wie prawica, co czyni lewica.

W sierpniu 1945 roku sowiecka Ukraina zwróciła się do Polski o pomoc wojska w akcji przesiedleńczej na Ukrainę. Skończono z dobrowolnością wyjazdów. Pretekstem było wsparcie przez miejscową ludność ukraińskiego podziemia. Działalność wojska i bezpieczeństwa, wspierana przez oddziały sowieckie, okazała się czystą represją i brutalnością. Zabijano, gwałcono, rabowano. Młodzi Ukraińcy (i nie tylko) szli do lasu, bo tylko UPA dawała szansę na przeżycie.

Komunistycznych delegatów na konferencję w Warszawie wysiedlano w pierwszej kolejności. Za nimi poszli duchowni Cerkwi greckokatolickiej, z biskupem Jozafatem Kocyłowskim, zgarniętym przez UB do rzeszowskiego kryminału, i jego pomocnikiem, biskupem Grzegorzem Łakotą. Obaj zginęli w Związku Radzieckim i zyskali status męczenników Kościoła katolickiego. Potem deportowano jak leci.

„Oddział wysiedlający ubezpiecza daną miejscowość przed napadami bandytów – instruował generał Jan Rotkiewicz, szef grupy operacyjnej „Rzeszów”. – Po czym oficer odczytuje wobec ludności zebranej nazwiska osób podlegających repatriacji i ogłasza czas niezbędny do przygotowania się (trzy–pięć godzin)”.

\*

Ojciec Marii wraz z młodszym rodzeństwem wsiadł do transportu na sowiecką Ukrainę w 1946 roku. Mama Marii dołączyła do męża, bo jak inaczej. Maria była

pod opieką starszego brata, który za Boga nie chciał na wschód. No i ojciec kazał, żeby dopatrzeć tego, co zostawiają we wsi.

Poszli lasami, tam, skąd kiedyś wiało tłustym dymem. Schowała ich w Bełzcu nieznamiona dziewczyna, wioskowa, ale już od jakiegoś czasu mieszkała w miasteczku, ubrana jak Ukrainka, z ukraińskim radosnym śmiechem i z niebieskimi oczami. Musiała być stąd, nie robiły bowiem na niej wrażenia uliczki nasączone smrodem palonych ciał. Miała warkocze aż do pupy, w kolorze wyschniętych snopków żyta. Ładna była, miła i dobra.

Wyjechała na Ukrainę, jak większość. Na koniec powiedziała, że jej los i tak dobry, bo powinna skończyć w piecu. Nie wyglądała na Żydówkę, to i przechowała się tuż przy obozie. Stąd też Maria wie, że ludzie są tym, co mają w środku, a nie na twarzach.

Mama i tata nigdy nie przyjechali z Sowietów do Polski. Najedli się tam bolszewickich fruktów, nie ma co. Agitatorzy zapowiadali, że na ukraińskiej ziemi pod radziecką władzą rozdają pola, mleko, na płotach wiszą kiełbasy, słonina, chleb smaruje się codziennie masłem, ludzie jedzą mięso nie tylko od święta. Tymczasem jak ktoś stamtąd uciekł, opowiadał, że na płocie, gdy przyszło co do czego, można się było tylko z głodu obwiesić.

– Gdybym mówiła za siebie, musiałabym przysiąc, że za Niemca u nas było najlepiej – opowiada Maria. – Kontyngenty, roboty, strach, ale też jakaś sprawiedliwość. Przyszli Ruscy za pierwszym i za drugim razem, a wtedy zaczęły się wywózki, pobór do wojska. Gdy byli Niemcy, wiało od Bełzca. Ale nas zostawili w spokoju. Ta dziewczyna z jasnymi włosami musiała się kryć, żeby potem ocalić mojego brata i mnie. Teraz o tym myślę i myślę. Wtedy nie.

Mieszkał też obok Marii, jeszcze przed deportacją, komunistyczny szpieg, taki Iwan, Ukrainiec z dziada pradziada. Chodził w sotni „Szuma”. Wydawał partyzantów, którzy kryli się w wiosce, doprowadził do bitwy z polskim wojskiem. Był porucznikiem bezpieczeństwa, ponoć miał przydział do Tomaszowa Lubelskiego. UPA wykonała na nim wyrok.

Potem poszły oblawy. Zabrali prawie wszystkich chłopaków, kilku zamknęli w Jaworznie. Gdy Maria spotkała ich na Mazurach, nic nie mówili, bo mieli nakaz tajemnicy po wyjściu z obozu. Takie to były zmarnowane chłopaki, że nie było na co patrzeć.

Opowiada Jarosław, od siedemdziesięciu lat na Mazurach, rocznik 1934, wówczas dwunastoletni Sławko, przedwcześnie dorosły, jak to po wielkiej wojnie.

– Nie pojedziemy, mówili starsi, na ruską Ukrainę. Dobrowolnie ani pod przymusem. Siedzieli tu do czterdziestego pierwszego, to i człowiek wiedział, co potrafią, jakie to sowieckie miody. Zналиśmy ich dobrze, oj, dobrze. Mieszkaliśmy w Żurawcach pod Tomaszowem Lubelskim. Gdy ogłosili wywózkę, uciekliśmy do przysiółka Żyłka, jeszcze koło niego nikt z wojska nie chodził. We wsi zostali dziadzius i babunia. Ale też nie wytrzymali, choć żał zostawić gospodarkę. Dziadzius zaprzągnął konika i wio, do lasu.

Sławko był łebskim chłopcem, nosił dziadkom jedzenie. Aż pewnego razu wpadł pod bagnety. Zaczął biec, żołnierze strzelali.

– Krzyczę „ratunku”, boję się, jak tylko dziecko może się bać, że je zabiją – wspomina. – Biegnę zygzakiem. To byli Polacy, ale nie tacy z band, tylko mundurowi.

Jarosław pamięta, że wówczas każdy bał się żołnierzy, niezależnie od mundurów, jakie nosili. Niemców się bali, no i oczywiście Ruskich, ale Polaków chyba najbardziej. Bo z jednej strony żołdaci mówili, że jest już po wszystkim, wojna skończona, a z drugiej – Panie Boże, odpuść.

– Bili nas za nic, zabierali wszystko, co można. Ojciec zawsze przed nimi uciekał, bo wiedział, że albo zabiją, albo coś ukradną. Sąsiadkę zastrzelili, bo miała ładne ubranie: zdarli z niej łachy, zostawili golutką, chwalili się, że kieckę do domu wyślą. Weszli do wsi Natreba, gdy mama posłała mnie tam po jajka. Schowałem się w oborze na stryszku pod przyrmą siana. Weszli po drabinie, dźgali bagnetami. Panie, taki strach zostaje do końca życia, do końca. No i pamięć nocowania w krzakach, gdzie musiałem chodzić, gdy stare chłopcy pilnowali, żeby nie zrabowali wszystkiego dobytku.

W leśnych ziemiankach koło Żurawiec Jarosław doczekał wiosny 1947 roku. Po wywózkach na Ukrainę zostało ich kilkadziesiąt rodzin.

\*

– Początek wojny najbardziej zaszkodził Polakom – opowiada Nadzieja. – Sowietci otworzyli ukraińską szkołę. Marksistowskim gadaniem nikt się nie przejmował, ale język lekcji był inny niż dotąd, no i z tego wzięło się polskie poczucie krzywdy. Mnie nie było źle, co jednak dzisiaj o tym myślę, to myślę:

dziecko wszystko widzi, wiele spamięta, ale głupie jest, krzywda obcego je nie obchodzi. Bo nie ma pojęcia, że samo zostanie skrzywdzone.

Po lasach chodziły UPA i AK, ale – jak wspomni Nadzieja – jedni i drudzy czasami nie wchodzili sobie w drogę. Niechętni Niemcom i ruskiej partyzantce, własne anse zostawiali na potem.

– Moja koleżanka wychodziła za mąż, we wsi zrobiła wesele – opowiada. – Przyszli chłopcy z sąsiedztwa, przyprowadzili kolegów, których wcześniej nie znałam. Z AK i z UPA. Nie patrzyli na siebie wilkiem, zmęczeni lasem, wymizerowani, brudni, łachmaniarze, a nie partyzanci. Popili wódki, śpiewali: „Anglio, czy ci nie wstyd”, „Stalina wojsko wszawe”. Spokojnie, żadnej awantury. Naszym było wstyd i żal, bo nie mogli nas obronić. Ci z AK, widziałam wcześniej niektóre te gęby, też byli smutni, ale inaczej, po polsku, choć dzisiaj myślę sobie, że smutek przegranych jest zawsze taki sam. Nikt nie mógł nas obronić. Nikt.

\*

– U nas ludzie nie wiedzieli, do kogo przynależą – słyszałem w wioskach Beskidu Niskiego od starych, którzy po stalinizmie powrócili tu, na stare śmiecie. – Kto był prawosławny albo kogo nawrócono na prawosławie, mówił, że on Rusin, Rosjanin znaczy, tak powtarzał za agitatorami. Grekokatolicy najczęściej wzruszali na to ramionami. A my byliśmy po prostu Łemki. Ludzie stąd, różne od Ukraińców, choć, zdaje mi się, że my Ukraińcy, bo tak z nami zrobiono jak z nimi, za to inne od Ruskich, ale co się będę mądrzyć. Tutejsi, po prostu, czego więcej chcieć.

Ich najważniejsze wspomnienie to las. Własny od dawien dawna, przepastny, z wielkimi świerkami, o których tu mawiali „rusinki”, wysprzątany z chrustu, po polanach można było biegać boso. Z lasu są grzyby, borówki, suche drewno na opał. No i las to majątek, ale ten trzeba zostawić przyszłym pokoleniom. Swojego lasu Łemko nie tnie, nawet pod gardłem. Właśnie z tych lasów chcieli ich zabrać.

– Po wsiach chodzili agitatory, polskie, sowieckie, wszystko nietutejsze – opowiadano mi w Zdyni, w Gładyszowie, wszędzie tam, gdzie obłe, lesiste pagórki spotykają ziemię z niebem. – Zapowiadali kraj dostatni: chleba wam nie zbraknie, mleka, co tam mleka!, śmietanę będziecie pić, za hektar dadzą dziesięć, i to nie takiej ziemi kamienistej, ale czarnej, tłustej, prawdziwej ukraińskiej ziemi. My, Łemki, naród zmyślny, wiedzieliśmy, że z władzą trzeba grzecznie, a swoje robić

cicho. Niektórzy podpisywali zgodę na wyjazd, furmani wozili ich z majątkiem na stację. Kilku rozmyśliło się na ostatnią chwilę. W dzień jechali z majątkiem pod pociąg, nocą zabierali, co swoje, i kryli się w lesie. Ale większość miała w dupie te ruskie zachęty.

Dobrowolność wyjazdów skończyła się po kilku miesiącach, nie tylko w Beskidzie Niskim, ale wszędzie, gdzie mieszkali Ukraińcy. Do akcji wysiedleńczej przystąpili żołnierze i funkcjonariusze bezpieki.

Tereny, na których operuje wojsko, są już prawie oczyszczone z ludności ukraińskiej – cytuje zapiski lokalnej administracji z 1946 roku Eugeniusz Misiło. – Ludność ta, chcąc uniknąć przesiedlenia, uciekała w las, a nawet przekraczając granice, chroniła się w Czechosłowacji, którą ostatecznie tamtejsze władze wydały w ręce Wojska Polskiego [...]. W chwili obecnej wojsko jeszcze raz kontroluje teren, odstawia na stacje załadowcze resztki pozostałej i złapanej w obławach ludności. Wsie są prawie puste.

Były i takie przysiółki, które wybierały delegację na wyjazd: niech zobaczą te bolszewickie raje, napiszą albo wrócą i opowiedzą, to wtedy ludzie pomyślą, co dalej. Pokazywano im domy podłączone pod elektryczność, tłuste krowy na zielonych pastwiskach, pola po horyzont, była wódka i kiełbasa na zagryzkę. Ale kiedy wieś decydowała, że jedzie do Sowietów na stałe, na miejscu zastawali głód, brud, terror taki jak za Niemca. To i wracali, najczęściej nielegalnie, również na polskie, repatrianckie papiery.

\*

– Najgorzej było za ludowej Polski, na jej samiusieńkim początku – wspomina Szymon: blade oczy, które kiedyś musiały być jak ultramaryna, puste dziąsła, w końcu lata przeszły. – Niemiec i Ruski wiedzieli, o co im idzie: kontyngenty bierzemy, reszta to nic. Polaki bili, sąsiedzi kiedyś nie najgorsi, no przecież znałem ich, jakby inaczej.

Chowali się na strychu w cerkwi, pod drewnianym sklepieniem pomalowanym w złote gwiazdki zanurzone w błękit, zupełnie jak na niebie. Ze dwa dni, bez kropli wody i kawałka chlebowej skórki; głupie ludzie uciekają, jak sprawa ich zastała, bez pojęcia, że trzeba jeść i pić.

Musieli siedzieć cicho, cichutko, bo dookoła chodzili żołnierze. Niegłupi ci żołnierze – umieli się przyczać, schować za węglem.

Kiedy więc zdawało się, że wokoło ucichło, Szymon i jeszcze inne dzieci zeszli z cerkiewnego strychu. Akurat na wartownika: pysk zarośnięty, długi płaszcz, ale karabin na sznurku. Wkurwił się ten wartownik, bo wcześniej nic nie wyczał, zarepetował długaśny karabin, strzelał.

Dzieci uciekły do lasu. Tam też od krzaczka do krzaczka, bo jak wojsko złapało Ukraińca, niech ma dziesięć lat, nawet trzynaście, od razu w łeb. Dziewczynkom było jeszcze gorzej.

– Było we wsi ze trzysta numerów, a po pierwszych wywózkach zostało trzydzieści – mówi Szymon. – Niby dobrowolnie mieliśmy jechać na Ukrainę, ale jak za byle sprawą doprowadzili do gminy, jak walnęli po karku, jak córkę wyprowadzili za stodołę, to wszyscy się pisali na wyjazd. Zostało nas ze trzydzieści rodzin. Szczęście wielkie, bo tę drugą Kobylnicę spalili do piachu, ze czterdziestu chłopów rozstrzelano, za nic.

\*

Po powojennej zmianie granic w Polsce zostało siedemset tysięcy Ukraińców (w II Rzeczypospolitej mniejszość liczyła pięć i pół miliona). Deportacje na wschód miały rozwiązać problem niemal w całości.

Przesiedlenie ludności ukraińskiej do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej kończono w przeświadczeniu, że w Polsce pozostały wyłącznie rodziny mieszane polsko-ukraińskie i co najwyżej kilkanaście tysięcy Ukraińców rozproszonych na terenie trzech województw. Według oficjalnych statystyk komisji przesiedleńczych z 1946 roku w Polsce miało przebywać wówczas jeszcze 14 tysięcy 325 osób (3239 rodzin), co stanowiło niespełna pięć procent ludności podlegającej przesiedleniu – pisze Eugeniusz Misilo. – Nawet według danych Sztabu Generalnego Wojska Polskiego opracowanych w lutym 1947 roku, już w trakcie bezpośrednich przygotowań do akcji Wisła, liczba Ukraińców w Polsce nie przekraczała 20 tysięcy 306 osób.

Obie strony – polska i sowiecka – gubiły się jednak w rachunkach. Gdy przyszło do ostatnich przesiedleń na Ziemi Odzyskanej, okazało się, że Ukraińców w Polsce jest znacznie powyżej stu tysięcy.



## A ty czyj?

Wywózki na wschód to jedno. Terror, niespotykany tu nawet za niemieckiej okupacji – drugie.

3 marca 1945 roku o godzinie czwartej rano akowski oddział porucznika Józefa Bissa (po wojnie był dwukrotnie sądzony i osadzony w więzieniu, ale nie za operacje przeciw Ukraińcom) spacyfikował wieś Pawłokoma opodal Dynowa.

[...] spędzali ludzi do cerkwi, straszliwie bijąc po drodze. W cerkwi zostawiali kobiety w ciąży i z dziećmi do czterech lat, resztę pędzili na cmentarz, stawiali nad wykopanymi w nocy dołami, rozstrzeliwali i od razu zasypywali. Po drodze na cmentarz także niemiłosiernie bili. Jeszcze koło cerkwi owinęli drutem kolczastym gołego Sewerka od Waciaka i bili kołkami tak, że krew ciurkiem leciała [...]. Przyszli do cerkwi i krzyczeli do popa błogosławiącego ludzi: „Rzuć to, bo to nam i tobie nie jest już potrzebne”. Wyprowadzili go za cerkiew pod lipy, bili tam kołkami i cepami, potem wciągnęli na cmentarz i zastrzelili [...]. Moich synów, którzy uciekli do babci, zabrali na cmentarz i tam zastrzelili [...]. Męża odstawili pod szopę Waciaka. Tam go obszukali, a mnie, po wyprowadzeniu pozostałych ludzi na cmentarz, zagnali do cerkwi, gdzie już były kobiety z dziećmi. Jeszcze spod cerkwi widziałam, że mego męża dołączono do ostatniej grupy prowadzonej na cmentarz. Na czele tej grupy szedł Iwan Karpa, bez koszuli, z wyciętym krzyżem na piersiach, z którego leciała krew [...]. Straciłam męża, matkę, pięciu synów i w ogóle dwadzieścia trzy osoby z mojej rodziny.

Tak w Nowym Jorku opowiadała na łamach nacjonalistycznej ukraińskiej publikacji *Peremyszl – Zachidnyj Bastion Ukrainy* Aleksandra Poticzna, była mieszkanka Pawłokomy.

Mojemu skatowanemu ojcu wycięto krzyż na piersiach. Zrobiono to w cerkwi. A potem wzięto go za nogi i zawleczono do dołu wykopanego na cmentarzu.

Wrzucono go tam razem z innymi ludźmi. Niektórych z nich dobijano kołkami, innych wrzucano i zakopywano jeszcze żywych.

To opowieść Seweryna Karpy, który po akcji „Wisła” odnalazł się na Pomorzu.

Rankiem 3 marca zbudziła nas mama i kazała się szybko ubrać. Rodzice zebrali pierzyny i zamierzali już wychodzić z domu, kiedy rozległy się strzały, posypało szkło z rozbitych okien. Na ziemię padł śmiertelnie ranny dziadek Majcher [...]. Wszystkich nas zapędzili do cerkwi. W cerkwi ksiądz odprawiał nabożeństwo, było dużo ludzi. Wtedy zaczęli nas rozdzielać. Mnie z babcią i młodszym bratem odprowadzili na lewą stronę, a moich dwóch braci na prawą. Nigdy nie zapomnę tego strachu i żalu, jaki widziałam w ich oczach.

Bandyci byli ubrani różnie. Niektórzy byli w mundurach wojskowych, inni po cywilnemu. Były wśród nich dwie kobiety w wojskowych bluzach, uzbrojone, które chodziły po cerkwi i kopały ciężko pobitych mężczyzn, leżących we krwi na podłodze. Jeden z bandytów w wojskowym mundurze wyszedł przed ludzi i powiedział: „Na mój rozkaz wszyscy dzisiaj zginiecie”.

Ludzie zaczęli płakać i modlić się, krzyczeli, że są niewinni. Na bandytach nie robiło to jednak żadnego wrażenia.

Potem zabrali z cerkwi księdza. Była tam również jego żona w ciąży oraz dwóch synów – Andrijko i Lubko, a także mama księdza.

Potem w cerkwi rozpoczęła się ogólna grabież. Z ludzi ściągano ubrania, chustki, buty i wszystko, co przedstawiało jakąś wartość. Wszystkie kobiety i dzieci ustawiono w dwuszeregu. Mężczyzn i starsze dzieci wyprowadzono z cerkwi. Mojej babci udało się uratować jedną dziewczynkę, Darę Fedak, zakwalifikowaną do rozstrzelania, chowając ją pod spódnicę.

Trzymano nas w cerkwi do wieczora. Było tam czterdzieści osób: kobiet z małymi dziećmi. Pod wieczór wyprowadzono nas i pędzono przez wieś w kierunku lasu. Moja babcia była już staruszką, nie mogła szybko chodzić. Bandyci poganiali ją biciem. Jednego z nich rozpoznała. Był to mężczyzna z sąsiedniej polskiej wsi Dylągowa. Babcia zapytała go o swoją córkę, czyli moją mamę, czy ją może gdzieś widział, lecz on się nie odzywał. Babcia powtórzyła pytanie, mówiąc: „No powiedz, przecież znasz mnie, nieraz poileś konie w mojej studni”. Po tych słowach Polak cofnął się i strzelił babci w plecy. Chcieliśmy ją podnieść z młodszym bratem, gdyż babcia nadal trzymała nas za

ręce, ale inne kobiety odciągnęły nas od niej. Obok babci zabito na drodze jeszcze dwie inne kobiety. Bandyci pozostawili nas w lesie i dalej już sami doszliśmy do wsi Siedliska [...].

Potem dowiedziałam się, że mój tata kopał grób na cmentarzu i kiedy przyprawiono tam moich starszych braci: Josyfa (14 lat) i Petra (17 lat), zemdłał i upadł na ziemię. Tam też został zastrzelony wraz ze swoimi synami. Mojego dwudziestoletniego brata Włodzimierza, który nie wiedząc, co się stało, już po tej tragedii wrócił do Pawłokomy z przymusowych robót w Niemczech, Polacy złapali i utopili w studni.

Taką relację złożyła w Toronto Natalia Kuźma, z domu Mudryk.

\*

Na wiosnę 1945 roku wymordowano Piskorowice. Zrobił to oddział Narodowej Organizacji Wojskowej podległy Józefowi Zadzierskiemu „Wołyniakowi”.

Tak zapamiętał 17 kwietnia Jan Pucyła, urodzony w Solcu Kujawskim:

Gdy szłem do wujka, zobaczyłem w rowie wojaka. Nie powiedziałem, że wujek jest Ukraińcem. „A ty jaki?” – zapytał. – „Polak”. – „Pokaż coś”. Pokazałem zaświadczenie od księdza Poręby. Ukraińcy takich zaświadczeń nie mogli otrzymać. Tego wieczora u wujka strychy w stajni i w stodole były pełne ludzi. Od razu powiedziałem o obstawie w rowach dookoła szkoły. Wujek zabronił mi wracać do domu, ale po jakimś czasie wysłał zajrzeć, co się dzieje na ulicy. Ktoś krzyknął do mnie: „Jaki ty, kurwa ci mać, jesteś?”. Pokazałem papierek od księdza. Chyba obroniłem tym także wszystkich ukrytych na gospodarstwie wujka. Poszedłem do szkoły. Sama krew. Na strychu trupy, na dole trupy, nawet w studni. Naokoło szkoły trupy. Pod krzyżem koło cerkwi trupy. Porządek po tym morderstwie ludzie robili ze trzy dni, a może i więcej. Na polskich domach były kartki. Prawdziwych Polaków było może z dziesięć rodzin, a reszta – mieszań. Do kościoła chodziło nas dawniej trzydzieści rodzin, razem z mieszanymi [...]. Później się trochę uspokoiło, ale niedługo przyszła nad ranem i trwała do obiadu druga akcja. Dużo uciekło nad San, ale ludzie z Dębna przeprawili się łódkami i wystrzelali z karabinu masę ludzi. Nikt nie liczył, ile osób zostało zabitych w szkole. Najlepiej wiedział to milicjant. Był Polakiem,

ale obstawał za Ukraińcami i za prawdą. Gdy się o tym dowiedzieli Polacy zza Sanu, spał trzy lata na cmentarzu w grobowcu.

Mikołaj Kuras:

Ruski zrobił zebranie, żeby Ukraińcy dobrowolnie jechali na wschód. Mówili, że jak się nie zabiorą stąd dobrowolnie, to będą w koszulach uciekać. I tak się potem stało. Ludzie z różnych wsi zbierali się na placu koło cerkwi i koło szkoły. Spali po chałupach, w naszej też było pełno. Kogo nie zabili w szkole, tego zabili w krzakach nad Sanem. Zabić Ukraińca to było nic. Polski ksiądz w Tarnawcu podczas spowiedzi powiedział, że za Ukraińca nie ma grzechu [...]. Niektórzy zabici nad Sanem leżą tam do teraz. Jedna kobieta z Dąbrowicy i jeszcze jedna leżą u Siewnego na polu. Wołos tam, gdzie został zabity – u Trojakowej na placu. Eliasza Koziółka matka i ciotka – u Koziółka na placu. Jednak większość władza nakazała pozbierać. Zwozili ich ludzie z Wierzawic i Dębna, którzy przyjechali do wsi zabierać majątek zabitych. Władza zarządziła tak, aby najpierw zwozili, a dopiero później jechali brać, co zechcą. Pomimo to większość ludzi zabitych nad Sanem wrzucono do wody.

Dołożmy historię Hanny Harasiukowej, z domu Papy, piskorowiczanki wysiedlonej na Ukrainę:

Wystrzelali, wymordowali ludzi, małe dzieci. Żołnierzy z ochrony odesłali, dali im wóz i konia. Ludzie rękami zrywali deski z podłogi, żeby się pod nimi schować, ale i tam ich znajdowali i zabijali. Tylko dwóm dziewczętom udało się przeżyć: jedna leżała we krwi zraniona, pomiędzy trupami, druga podobnie. Bandyci myśleli, że są martwe. U Ukraińców nie można się było schować. Słyszeliśmy straszne strzały. Rano trochę ucichło. Tato powiedział, że pójdzie do domu dać krowom siana, jednak długo czekaliśmy na niego. Przyszliśmy, a tato już leżał zabity [...]. Mama przytrzymała mnie za rękę i prosiła, żebym nie uciekała, bo jak nas zastrzelą tutaj, to będziemy leżeć razem koło siebie. Kat to usłyszał, zaczął mamę bardzo bić i kopać, powiedział: „Ty ukraińska mordo, nie umiesz po polsku mówić”. My rozmawiałyśmy po swojemu. Kat powiedział do mojej mamy: „Chodź, kurwo, do stodoły”. Bardzo ją bił. Podszedł drugi i strzelił. Mój braciszek Iwaś, który miał dziesięć lat, upadł i stracił przytomność po tym, co zobaczył.

\*

Kilka dni przed Piskorowicami zdarzyła się Wiązownica, wieś w większości polska (choć była tam też greckokatolicka parafia), położona przy folwarku książąt Czartoryskich. Podobno nie było tam najgorzej, lecz kiedy w 1939 roku wieś przypadła Sowiecom, zaczęły się nowe porządki. Prawowitego sołtysa zastąpiono radą, w której rządzą Ukraińcy, choć milicję organizował Polak. Niektórzy z młodych poszli do wojsk pomocniczych NKWD.

W 1941 roku do Wiązownicy przyszli Niemcy. Przed wsią stanęła brama powitalna i odegrano ceremonię pochowania kajdan polskiej niewoli.

Rozalia Sokół z obłądnym wzrokiem, opasana znacznej grubości łańcuchem, jakiego zwykli używać chłopcy przy zwózce drzewa z lasu, stojąc obok krzyża [przynieśli go wcześniej przymuszeni polscy mieszkańcy], otrząsnęła się i „kajdany” z brzękiem opadły na ziemię. Zrzucone kajdany włożono do przygotowanej wcześniej skrzynki i zakopano pod krzyżem. Aby kajdany zostały dobrze pogrzebane, wokół krzyża usypano znacznych rozmiarów kopiec, zwany „mohylą”.

Gdy trzy lata później we wsi znów stanęli Rosjanie, zorganizowano posterunek milicji obsadzony przez Polaków. W okolicznych Lasach Sieniawskich chodziła sotnia UPA Iwana Szpontaka „Zalizniaka”. Po raz pierwszy pojawiły się ulotki nawołujące do wstępowania w szeregi ukraińskiej partyzantki. Grzebano pierwsze ofiary UPA, podejrzewane o służbę w organach bezpieczeństwa. Wnet sotnia „Zalizniaka” rozrosła się do rozmiarów kurenia, czyli batalionu.

W styczniu 1945 roku armia sowiecka ruszyła na zachód, a terenem rządzą leśni. Tu zabito kilku Polaków, tam kilku Ukraińców. UPA zlikwidowała posterunki milicji, której niedobitki łączyły się z oddziałami Narodowej Organizacji Wojskowej i lokalnych samoobron wiejskich.

Zawiadamiam – pisał polski wójt gminy Wiązownica – iż miejscowi ukraińscy nacjonaliści z pobudek politycznych po opanowaniu Mołodycza, Radawy i okolicy, skąd ludność polska uciekła, mają w planie opanowanie najbliższych gromad po San, w drodze nagłego ataku na polskie wsie. Napad ma być

wykonany po uprzednim zerwaniu mostu na Sanie pod Jarosławiem, by przez to uniemożliwić ucieczkę polskiej ludności za San.

Takie same informacje zbierał wywiad antykomunistycznego podziemia.

Wyrok na Wiązownicę wydał Jarosław Staruch „Stiah”, prowidnyk OUN „Zakerzońskiego Kraju”. Miał być to odwet za palenie ukraińskich wsi, ale przede wszystkim krwawa akcja propagandowa, „choćby wszyscy mieli zginąć”, jak zeznał w śledztwie „Zalizniak”. Rozpoczął się nad ranem 17 kwietnia 1947 roku. Okazał się militarną porażką, bo polska samoobrona odparła szturm, choć znaczną część wsi spalono. Zabito prawie stu Polaków, wielu w bestialski sposób.

Podpalanie zabudowań było stosunkowo łatwe, bowiem budynki były drewniane, w dużej części kryte słomą – pisał Tomasz Bereza na podstawie relacji świadków w referacie wygłoszonym w Krasieczynie w 2003 roku podczas sesji historyków o akcji „Wisła”. – Ubezpieczający akcję strzelcy nie ograniczali się jedynie do ochrony. Strzelano do uciekających mieszkańców wsi, bez względu na płeć i wiek. W płonących zagrodach rozgrywały się dantejskie sceny. Dwudziestoletnia Aniela Kruk została zamordowana ze swoimi dziećmi – dziesięciodniowymi bliźniakami Marysią i Stasiem. Postrzelonego w trakcie ucieczki Jana Pyrczaka upowcy obłożyli snopami słomy i spalili żywcem. Dokonywano również brutalnych gwałtów. W oddziałach „podpalaczy” charakterystyczne było to, że pomijali zabudowania członków lub sympatyków OUN-UPA.

Ale też tydzień przed spaleniem Wiązownicy „Stiah” wydał rozkaz:

Wszelkie akcje przeciwko polskiej ludności są zakazane. A jeżeli trzeba odpłacić za udział w pogromach czy donosicielstwo, to należy ukarać tylko winnych. Jeżeli wiesz się donosiciela Polaka, to równocześnie trzeba powiesić donosiciela Ukraińca. Ponieważ Polacy myślą, że my likwidujemy każdego, kto tylko Polak – należy odwiedzać Polaków z różnych warstw społecznych. Mogą ich odwiedzać wszystkie bojówki i żołnierze UPA. O czym zapewniamy: a) że nie zabijamy niewinnych Polaków, chociaż byliśmy z bronią w ich chatach; b) żeby osobiście wyjaśnić, jakie zgubne skutki przyniesie dla Polaków antyukraińska walka, wyjaśnić swoje polityczne stanowisko; W chacie zostawić ulotki. Wymogi dla tych, którzy idą na agitację do Polaków: zająć z wieczora

(pod lasem – w dzień), na polu pozostawić wartę, przestępując próg, uspokoić rodzinę, nie jeść, nie pić, zachowywać się stanowczo i uroczyście.

Tyle że wojna partyzancka, zawsze i wszędzie, ma swoje okrutne prawa.

\*

Nazywam się Tywoniuk Maria – notuje Piotr Lipiński w reportażu *Czerwone kalie* o mordzie we wsi Wierzchowiny pod Chełmem w czerwcu 1945 roku. – Mam 12 lat. Oni przyszli po pieniądze. Tatuś dał pieniądze, a po tym do brata wołają: oddaj broń. Brat mówi, że nie ma. To on na to, żeby dał ubranie. Wziął ubranie z szafy i z kuferka wziął towar. Potem pyta, gdzie piwnica z kartoflami. Zamknął nas wszystkich w piwnicy. Kłaść się kazał. Potem wszedł jeden i zaczął strzelać. Wszystkich pobił, tylko ja zostałam ranna w głowę. Mamusia mnie sobą przykryła. Mamusię zastrzelili i wszystkich. Potem dziadzia pchnęli do piwnicy, upadł i się zabił.

We Wierzchowinach zabito sto dziewięćdziesiąt siedem osób, w większości Ukraińców. Mordu dokonał oddział Narodowych Sił Zbrojnych; co trzeci partyzant był wcześniej w Wołyńskiej Brygadzie Armii Krajowej. Żołnierze gwałcili kobiety, strzelali w głowy dwuletnich dzieci, zrzucali ze schodów osiemdziesięcioletnich starców.

Kilka dni później oddziały sowieckie i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego zaatakowały NSZ-owców w nieodległej wsi Huta. Partyzanci zostali rozbici, zginęli w zasadzie wszyscy dowódcy, w tym pułkownik Marian Pazderski „Szary” – przed wojną cieszący się poważaniem doktor medycyny.

Dziś w centrum wsi Wierzchowiny stoi pomnik postawiony w pięćdziesiątą rocznicę tragedii. Jest czarny, niewielki, w kształcie anioła – stolika, na którym w cerkwiach wykłada się Świętą Księgę lub ikonę. Napis głosi: „W tym miejscu spoczywają prawosławni mieszkańcy wsi”, z tyłu stoi metalowy krzyż katolicki. Na pomniku postawiono krzyż prawosławny.

W 1945 roku w Wierzchowinach mieszkało około dwustu rodzin ukraińskich i pięć mieszanych. Była tu silna komórka komunistyczna, a w czasie wojny stacjonowała UPA.

We wsi i okolicach pozostało tylko kilka osób – pisze Piotr Lipiński – które widziały mordowanie. Ci mieszkańcy to sami Polacy. Ukraińcy, którym udało

się przeżyć, wyjechali w większości do Związku Radzieckiego. Maria Krzysztoń (imię i nazwisko zmienione) mieszkała wówczas we wsi Zwierzyniec. Miała dziesięć lat i chodziła do szkoły w Wierzchowinach. We wsi były dwie szkoły, polska i ukraińska. Stały blisko siebie, boisko było wspólne.

Piotr Lipiński przytacza opowieści ocalonych:

Maria Krzysztoń wspomina: – Przed południem do wsi zaczęło zjeżdżać wojsko. Żołnierze mieli na sercach przypięte kwiaty, koniom koło uzd też przywiązano bukiety. To były czerwone kwiaty, pewnie dalie, które wtedy kwitły w ogródkach. Żołnierze wyglądali radośnie, jakby wracali z frontu. Wojsko stanęło na boisku. My się jednak baliśmy, bo tyle było tej armii. Kazali dzieciom, było nas ponad dwudziestka, to była trzyklasowa szkoła, zebrać się w kącie. Zabronili podchodzić do okien. Zabrali naszego nauczyciela, pana Kazanowskiego. Potem wyjaśniło się, że go wzięli, aby pokazywał, które rodziny są polskie, a które ukraińskie. Ze czterdzieści minut nas trzymali, potem wojskowi odprowadzili nas do końca wsi i kazali iść prosto do domu. Później jeszcze w Zwierzyńcu słyszeliśmy strzały.

Stanisław Cygańczuk miał wówczas dwadzieścia sześć lat. Opowiada: – We wsi ktoś przywiesił kartkę, żeby się nie bać, bo będzie wracać wojsko Żukowa na odpoczynek. Pośle tego przed godziną dwunastą wjeżdża wojsko alagancko ubrane, na plecach digtariowy. Najpierwsze to było, że na początku jechała kobieta w bryczce, z tyłu kuchnia polowa i krowę prowadzili, harmonia grała. My siedzimy w starym domu po teściach prawosławnych, ja, ojczym, matka i moja żonka. Wchodzą, każą dowody pokazać i o mleko wołają. Matka mleka dała, a żonka się ze strachu schowała. Oni mówią, żeby się nie bać, matula mówi, że skąd się ma bać polskiego żołnierza? A oni na to, że ich się ludzie boją. Wyszli, pośle tego wrócili i mówią: tu po sąsiedzku jest maciora z prosiakami, będziecie sobie mogli wziąć. To matka odpowiada: nie potrzebujemy, mamy swoje. Przestrzegają nas, że jak będzie strzelanina, to żeby się kłaść na podłozie. Wyszli. Ojczym woła sąsiada, Tywoniuka, żeby się u nas w stodole schował, bo to nie jest żadne wojsko, tylko bandziory. A Tywoniuk, że się nie ma czego bać, bo niczego złego nie zrobił. Pośle tego widziałem, jak go strzelili. Kilku naraz strzelali, jeden się jeszcze ruszał, to go z krótkiej broni dobili. Jeszcze przygonili kobietę z małym dzieckiem, kazali stanąć pod wisznią i trrach, zastrzelili.



Wujek był aparatowym w gorzelni, to opowiadał, że tam było dziesięć schodów i jeden na koniu wjechał po tych schodach i o spirytus woła. Kazał sobie trzy szklanki nalać, dwie im wypić, a sam dopiero trzecią, jak sprawdził, że nie otruta. Tu Ukraińcy co drugi mieli bunkry pod domami albo w piwnicach, ale nie zdążyli się schować. Prawie każdy miał broń, ale strzelać też niewiele zdążyli. Był jeden bogaty dom, w ogóle tam nie weszli. Ale jakiś głupi zaczął za nimi z tego domu strzelać, to wrócili i wszystkich szpadlami zatłukli. Sąsiad potem woził trupy i mówił, że na końcu to jeszcze gwałcili kobiety i wbijali w przyrodzenie flaszki. Inny sąsiad, który przeżył, bo go akurat nie było w wiosce, potem strasznie się mścił. Był w UB, robił obławy. Potem się rozpił, zachorował na płuca i zmarł na ulicy.

Irena Szymańska (imię i nazwisko zmienione) chodziła wtedy do polskiej szkoły: – Do końca życia zapamiętam, jak to wyglądało następnego dnia. Drabiniaste wozy, na nich poukładane trupy, które niesiono do wspólnego, olbrzymiego grobu w środku wsi. Ciało owijano w białe prześcieradła, na wozach leżały jedne na drugich, kobiety, mężczyźni, dzieci. Było ciepło, jeszcze się krew sączyła.

Mord w Wierzchowinach stał się symbolem propagandowym zbydlęcenia żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. „Głos Ludu”, organ Polskiej Partii Robotniczej, donosił:

Niektóre niemowlęta zabijano wystrzałem w usta. Ojciec dziewiętnastoletniej Banasiuk Marii, sześćdziesięcioletni starzec, zginął na Majdanku. Mąż jej został uwięziony w obozie koncentracyjnym i dotychczas do domu nie wrócił. Banasiuk Marię NSZ-owscy bandyci zgwałcili, a potem zabili. Zamordowano również jej pięćdziesięcioletnią matkę i dwuipółroczne dziecko. W mieszkaniu Pawlaków zabito w kołysce wystrzałem z rewolweru półtoraroczne dziecko. Matce dziecka, która je właśnie kołysała – wepchnięto nóż w szyję. Nóż tak pozostał. Ciało kobiety ma poza tym jeszcze trzy kule. Dziewięćdziesięcioletniego starca Wilka Leona, unieruchomionego przez starość, zamordowano w łóżku.

Zbrodnię na Ukraińcach uczyniono treścią pokazowego procesu NSZ w lutym i marcu 1946 roku, który odbył się w warszawskim teatrze przy ulicy Karowej.

Sądzono dwadzieścia trzy osoby, zapadło siedem wyroków śmierci, pięć wykonano. Nie miało znaczenia, że tylko jednemu z podsądnych – Romanowi Jaroszyńskiemu – udowodniono udział w masakrze.

Już po 1989 roku pojawiły się hipotezy, że Wierzchowiny były komunistyczną prowokacją; pod tą opinią podpisywała się nawet profesor Maria Turlejska, która jednak później wycofała się z nowej wersji zdarzeń. W 1991 roku w telewizji zaprezentowano list kombatanta NSZ o pseudonimie „Lont”:

Jestem byłym żołnierzem leśnym NSZ, którzy tam byli. Widziałem te straszne wydarzenia i tragedie ludzkie. Wtedy to nie robiło na mnie większego wrażenia, ale dziś mam je wszystkie przed oczyma. Prześladowają mnie. Bez przerwy proszę Boga, by mi przebaczył, a i wszystkim innym, których los okrutnej wojny na taką drogę rzucił. Wiem, że niewielu z nas przeżyło to piekło, ale ci, co przeżyli, myślą już inaczej i robią inaczej, żeby zasłużyć przed Bogiem na przebaczenie. Chcemy, aby naszych dzieci i wnuków nie wychowywano na przykładach tamtych pseudobohaterów, to były wyczyny barbarzyńskie z naszej strony. Mordowaliśmy ludzi bez powodu, pod wpływem emocji, na bezmyślne rozkazy, często tylko dlatego, że był z innego oddziału, miał innego orzełka. Wszyscy jednak byliśmy ludźmi, chcieliśmy żyć, budować.

\*

W Terce też był dobry powód, żeby zabijać. A nawet kilka, począwszy od pamięci – to wątek stale przywoływany – kilku żołnierzy ze stancy Wojsk Ochrony Pogranicza (WOP) w pobliskiej Wołkowie, którym Ukraińcy wybili rodziny gdzieś na kresach II Rzeczypospolitej. Podobno do mordowania zgłosili się na ochotnika.

Lecz mówienie, że terczańska masakra była odreagowaniem Wołynia, to pójście na łatwiznę. No bo co? Kilku żołnierzy regularnego wojska nagle zmieniło się w oddział mścicieli i nikt – dowódcy i koledzy – nie reagował? Oddział WOP z Wołkowie dokonał w okolicznych wsiach rzeczy budzących grozę. W ukraińskich meldunkach sprawy wyglądały tak: „11 maja 1946 roku WOP z Wołkowie w sile około trzystu żołnierzy przeprowadził obławę na las pomiędzy Wołkowie, Terką, Sakowczykiem i Zawozem. Koło Zawoza odkryli dwie kryjówki, ponieważ były źle zamaskowane. Zabrali tysiąc pięćset kilogramów żyta i dziewięć swetrów”. Można by powiedzieć, że to wojna o obierki.

Dalej jednak meldunek głosi: „W krzakach znaleźli Iwana Sorokę, ukrywającego się przed wysiedleniem. Powiedzieli mu, że jest banderowcem, i następnie zamordowali. Sorokę najpierw bili kolbami karabinów, a gdy był już nieprzytomny, żołnierz wyciągnął nóż i Sorokę poderznął”.

Wcześniej WOP z Wołkowyi uczestniczył w wysiedlaniu na sowiecką Ukrainę ludności z Bereźnicy Wyżnej („majątek rabowali”), z Myczkowa, Górzanki i Woli Górzeńskiej, Tyskowa, Polanek, Bukowca. Potem przyszedł czas na Rybne i Wolę Matiaszkową.

Smolaka – lat sześćdziesiąt trzy – mocno pobili za to, że nie wyjechał na Ukrainę. Człowiek ten leżał chory w łóżku. Głuchoniemą Katerynę Pasikę pobili za to, że się do nich nie odzywała [...]. Mieszkańcy Zawoza byli w tym czasie w lesie. We wsi zostali tylko starcy, dzieci i kaleki. Gdy WOP nie zastał ludzi we wsi, znęcał się nad kalekami. Wyciągnęli kalekę Jurka Owełkę z domu koło cerkwi. Zwołali tam resztę starców oraz słabowitych i na oczach obecnych mocno bili kolbami karabinów. Kopali, omotali szyję sznurem Jurkowi Owełce i trzykrotnie podciągali na drzewo, przy czym mocno go bili. Potem skatowanego powiesili na oczach starców i cywilnych Polaków tej wsi. Na odchodnym powiedzieli, że tak będą robić.

Byli też – podobno – w Terce księża greckokatolicki, ponoć już za niemieckiej okupacji (a może wcześniej) nawołujący, by Ukraińcy i Polacy żyli ze sobą jak pies z kotem. Polskie wspomnienia nie notują, że księża greckokatolicki uchronili Polaków przed akcjami odwetowymi UPA oraz że rzymskokatolicki proboszczowie parafii, do której należała Terka, poczytywali sobie za punkt honoru, by Ukrainiec porzucił tu wiarę przodków i przeszedł do rzymskiego Kościoła. Polacy przypominają za to, że kiedy Terka znalazła się w niemieckich rękach, chłopskie delegacje jechały do Leska – mieli przy paradnych, wyszywanych koszulach błękitno-żółte kokardy – by witać okupantów. Nie tęskniono tu za II Rzeczpospolitą. Dlaczego? To pytanie do Rzeczypospolitej, a nie do tych, którym do Polski zabrakło ciepłych uczuć.

Na dodatek w nieodległym Baligrodzie tuż przed terczańskim mordem – to polska narracja, akurat prawdziwa – upowcy zabili ponad czterdziestu Polaków. Podobne groźby wisiały nieraz nad polskim kawałkiem Terki, która była wsią w większości ukraińską.

W Bukowcu żołnierze zabili pięciu Ukraińców za to, że ci nie mieli dokumentów. Najechali po raz kolejny Górzankę, a Terkę – po raz czwarty. Przy posterunku WOP w Wołkowyci założono mały prowizoryczny koncentrak dla tych, którzy nie chcieli deportacji: ludzi trzymano za drutami, pod gołym niebem, bito i torturowano. „Za drutami – to opowieść byłego wopisty z Terki, bez śladu poczucia winy – tych Ukraińców trzymaliśmy może pół roku, aż wdał się tyfus, ale nikt nie umarł”. Gniew sam się nakręcał.

W czerwcu 1946 roku wopiści wysiedlili część ukraińskich mieszkańców Terki. Zastrzelono wówczas chłopca – miał dziewiętnaście lat i zapewne należał do UPA. W odwecie ukraińscy partyzanci porwali trzech mieszkańców wsi – dwóch Ukraińców i Polaka. Jednego wypuścili, dwóch zamordowali kołkami, a potem powiesili na drzewie rosnącym tuż przed wsią. Nie obchodził ich szantaż wojska: mamy waszych, oni zapłacą.

„Wasi” to wysiedleni mieszkańcy wsi, przygnani karabinami z powrotem do Terki i zamknięci w drewnianej chacie. Było ich dwadzieścia dwoje, głównie baby z dziećmi. Gdy okazało się, że dwóch porwanych przez UPA nie żyje, chałupę oblano naftą i podłożono ogień. Dwie osoby uciekły cudem z pożaru i również dzięki nim wiadomo, co w Terce się działo. Podpalali – tak opowiadają byli żołnierze WOP – ochotnicy, dwóch chłopaków ze szczególną traumą Kresów i Wołynia. Reszta asystowała.

Ogień pod chałupą jeszcze dobrze buzował, gdy wopiści poszli w wieś. Zabili kilkanaście osób; najstarsza, niedołączona ofiara miała dziewięćdziesiąt lat. Niektórych żołnierze wrzucali do ognia.

W odwecie UPA zaatakowała Wołkowycję. Strażnica wopistów odparła kilka szturmów, ale część wsi poszła z dymem. Upowcy łapali polskich chłopów i żeby przypomnieć im Terkę, wrzucali żywcem w ogień. Niektórym podcinano wcześniej żyły. Ofiar było kilkanaście, a może kilkadziesiąt. Nikt tego nie wie.

Ale meldunki WOP z Wołkowyci można też interpretować jak wielką mistyfikację, prócz, niestety, ofiar płomieni w Terce. W raporcie tuż po ataku jest mowa o trzydziestu uprowadzonych Polakach, „w tem kobietach i dzieciach z przeciętym tętnem u rąk”. Na początku sierpnia sprawa Terki zniknęła z raportów.

Przestała też istnieć łemkowska wieś Zawadka Morochowska, spacyfikowana (znów) przez regularne oddziały polskiego wojska.

Dowódca sotni UPA Stepan Stebelski „Chrin” pisał:

Bandyci polscy po haniebnej dla nich porażce w dniu 24 stycznia 1946 roku, zebrawszy około pięciu kompanii Wojska Polskiego, dwa auta NKWD, kompanię Lachów z Niebieszczan i Poraża, zaatakowali Zawadkę Morochowską 25 stycznia 1946 roku o godzinie ósmej rano. Od strony lasu [wystawiono] silne posterunki, po czym żołnierze z szumowinami z Niebieszczan zaatakowali Zawadkę Morochowską tak nagle i bez jednego strzału, że w ciągu 10–20 minut wyrznęli, dosłownie wyrznęli sześćdziesiąt osiem kobiet, dzieci i starców [...]. Widok przerażający. Czegoś podobnego nie widziałem nigdy w życiu. Okrucieństwo gorsze niż w czasach Nerona albo Hunów [...]. Nikt nie zdążył powiadomić nas o napadzie, gdyż został przeprowadzony po cichu. Moi żołnierze są oburzeni. Chociaż mam ich niewielu, byłem gotów pójść bić się do końca [...]. Świadomy element domaga się odwetu.

„Chrin” zapisał nazwiska prawie sześćdziesiątki pomordowanych, dokładając detale zbrodni:

Biłas Kateryna, lat około 60 – była raniona, na ranną nakładli słomy, drzewa i spalili żywcem.

Kirylejza Maria, lat 41, urodzona i obywatelka Stanów Zjednoczonych Ameryki – 7 ran od bagnetu, u nóg połamane palce, prawa ręka w trzech miejscach złamana, oderżnięta prawa pierś, rozwalona głowa.

Kirylejza Anna, lat 16 – rozbita głowa, połamane ręce i nogi.

Kirylejza Kateryna, lat 15 – rozbita głowa, rana od bagnetu powyżej kolana.

Maksym Andrij, lat 70 – spalony żywcem.

Maksym Anastazja – lewa noga porżnięta po kolano i złamana wyżej kolana, prawa noga złamana w dwóch miejscach, połamane obydwie ręce, trzy rany od bagnetu w prawej piersi i pięć w lewej, rozcięty cały brzuch, rozbita głowa.

Maksym Anna, jednoroczne dziecko – rozpruty brzuch.

Maksym Kateryna, lat 4 – przekłute dwa razy bagnetem usta, dwie rany od bagnetu w piersiach, rozpruty całkowicie brzuch.

Tomasz Kateryna – oderżnięte piersi, porżnięte nogi. Żyła jeszcze godzinę. Złożyła zeznanie, że z wojskiem byli jeszcze cywilni bandyci, między którymi poznała niektórych z wioski Niebieszczany.

I tak dalej.

Broszura z relacją upowców – *Krwawym szlakiem stalinowskiej demokracji* – została wydana po ukraińsku, polsku, czesku, słowacku, angielsku i francusku w podziemnej drukarni jeszcze w 1946 roku:

Zobaczywszy swoich czerwonych katów, ludność zaczęła uciekać, kto tylko mógł. Za uciekającymi posypały się strzały karabinów maszynowych i automatów. Kogo złapali, bili do zgonu lub strzelali [...]. Zostały pobite wszystkie kobiety, które nie zdołały uciec i wpadły w ręce polsko-bolszewickich oprawców. Tak samo, bez wyjątków, pobito dzieci. Żołnierze spalili szałas, które mieszkańcy zbudowali sobie od czasu ostatniego napadu. Spalili również i szkołę.

I dalej:

Wielkie ilości wojska otoczyły wioskę ze wszystkich stron, żeby nikt nie mógł uciekać. Potem wypędzili przemocą resztę ludności na dworzec kolejowy w Zagórze. Tak bohatersko walczyła przez długi czas z przemocą polskiego czerwonego wojska uboga, wielokrotnie spalona i zrabowana przez Niemców i polskich bolszewików łemkowska wieś Zawadka Morochowska.

Wioska zniknęła z powierzchni ziemi 30 kwietnia 1946 roku. Tragedię Zawadki Morochowskiej ukraińskie podziemie porównywało z hitlerowską rozprawą z czeską wsią Lidice, wymordowaną i zrównaną z ziemią w odwecie za zamach czechosłowackich cichociemnych na hitlerowskiego protektora Czech i Moraw Reinharda Heydricha.

„Chrin” i „Stach”, „Ren” i „Zalizniak” nie pozostali bierni.

\*

Do służby w Bieszczadach i w Beskidach, na Chełmszczyźnie i w Lubelskiem wysyłano najgorszy element. Pułkownik Mikołaj Kiryłuk uważał się za Polaka

i mówił po polsku. Dowodził 36 pułkiem 8 dywizji piechoty. O Kiryluku tak pisał 2 stycznia 1946 roku do wojewody rzeszowskiego starosta powiatowy z Leska:

Od 15 września 1945 roku rozpoczął wyżej wymieniony akcję oczyszczającą od band banderowskich, w rezultacie której band tych nie pomniejszono z tego powodu, że bandy grupowały się po lasach, do których wojsko wcale nie dochodziło. Spalono jedynie kilka gromad ukraińskich, za które banderowcy spalili polskie i wymordowali kilkanaście osób polskich. [...] Obywatel Kiryluk rozkazuje swoim podwładnym przyprowadzać sobie na kwaterę przymusowo dziewczęta miejscowe, celem rozputy. Aresztowane kobiety każe sobie przyprowadzać na kwaterę (niby celem przesłuchania), a zmusza je pod groźbą rewolweru do spółkowania ze sobą. Obywatel Kiryluk w dzień targowy na targu robi masowe łapanki na ludzi, aresztuje ich pod pretekstem banderowców, rozbija tym sposobem targi, trzyma ich w więzieniu, a następnie zwalnia za okupem. Ostatnio pobrał dwadzieścia pięć tysięcy złotych z gromady Postołów. Podpalił ostatnio osobiście gospodarstwo w gromadzie Glinne, z którego uciekał przed nim jakiś człowiek. Okazało się, że również niewinny, a poczytał go pułkownik za banderowca i dlatego zniszczył jego warsztat pracy [...]. Ostatnio w czasie spalenia gromady Mchawa w gminie Baligród – za zabicie dwóch żołnierzy polskich przez banderowców – spalono czterdzieści gospodarstw ukraińskich. Ale za co spalono przy tym czternaście gospodarstw polskich i zabito pięciu Polaków, skoro Polacy byli zupełnie niewinni i stale przez banderowców prześladowani? [...] Wszystkie wyżej przytoczone fakty wywołują ogromne rozgoryczenie wśród ogółu, podkopują autorytet Wojska Polskiego, stwarzają nieufność ludzi do Wojska i nienawiść, budują reakcję i bandy.

A w postscriptum starosta leski dodaje:

Po podpisaniu niniejszego aktu zgłosił się do tutejszego starostwa sołtys gromady Nowosiółki, Stanisław Lechit, Polak, ze swoją kilkunastoletnią córką, z następującym zażaleniem na pułkownika Kiryluka. Do domu wyżej wymienionego wpadł pułkownik z rewolwerem w rękę i zaczął gwałcić jego córkę. Dziewczyna, broniąc się, została uderzona przez napastnika rewolwerem w głowę. Wyrwawszy mu się jednak z rąk, wybiegła na podwórze, gdzie ją

dopędził i dalej włóczył po dziedzińcu. Wyrwawszy się powtórnie, zdołała uciec. Następnie pułkownik wrócił z powrotem do mieszkania i zrabował sołtysowi tysiąc trzysta złotych. W drugim wypadku dzwonił znowuż z Baligrodu do tutejszego starostwa w dniu dzisiejszym lekarz Kuźmak o ratowanie jego córki, którą porwał pułkownik Kiryluk z jego domu w kierunku Leska. W trzecim wypadku doszło teraz do wiadomości tutejszego starostwa, że przed paru dniami pułkownik przywiózł jakąś panią z Rymanowa, którą gwałcąc u siebie na kwaterze, pokąsał do uszkodzenia ciała.

Albo Stanisław Pluto, do 1946 roku dowódca bieszczadzkiej grupy operacyjnej, sowieczyk polsko-białoruski, prymitywny stupajka i sadysta, któremu dano tylko srebrny Krzyż Zasługi zamiast Virtuti Militari, bo wyszło, że w Bieszczadach gwałcił, mordował, handlował kradzionym bydłem. Dowodził pacyfikacją Zawadki Morochowskiej, gdzie spisał się jak rasowy rzeźnik. Przywódcy miejscowych sotni UPA „Chrin” i „Stach” ślali do polskich komandirów listy – ich treść upubliczniono – że jeśli nie zabiorą Pluty z Bieszczad i Pogórza Przemyskiego, będzie naprawdę źle, dokona się krwawa zemsta.

Poskutkowało. Plutę – złodzieja i sadystę – odesłano w głąb Polski.

\*

– Mama mieszkała w Dzikowie Starym – opowiada Stefania Łajkosz, ukrainistka z wykształcenia i warszawianka z wyboru. – Wieś duża, zapisana w kronikach Jana Długosza, murowaną cerkiew zbudowano w 1904 roku, jej drewniana poprzedniczka stanęła wcześniej niż katolicki kościół. Połowa to byli Ukraińcy, reszta Żydzi, Polacy też, ale w mniejszości. Mama pamiętała z Dzikowa najlepiej tamten dzień.

Był katolicki Wielki Piątek 1947 roku, po wywózkach na sowiecką Ukrainę i trzy tygodnie przed akcją „Wisła”; role już były rozpisane. We wsi urzędowała Milicja Obywatelska. Po lasach chodziły UPA i polskie podziemie.

– Ciocię, miała na imię Maria, wezwali na posterunek – powtarza Stefania opowieść matki. – Powiedzieli, że ma im posprzątać. Potem ludzie opowiadali o jakichś straszliwych krzykach, błaganiach, żeby nie gwałcić i nie palić; nie widzieli, ale słyszeli, co się stało.

Milicjanci wywlekli Marię z komisariatu. Ciągnęli ją po wiejskiej drodze, w zadartej kiece, potarganym ubraniu. Wszyscy wiedzieli, że została pobita,



zgwalcili ją, miała poparzone nogi – może ogniem, a może wrzątkiem. Ludzie mogli sobie patrzeć na cierpiącą, półżywą dziewczynę, utyłaną kurzem i krwią. Ale nikt nie interweniował, bo strach, więc milicjanci czuli się bezkarni.

Znikli z Marią gdzieś za wsią. Nikt za nimi nie poszedł, nikt jej więcej nie widział, do dzisiaj nie poznano miejsca pochówku. Miała dwadzieścia jeden lat, dziewucha jak marzenie, długi warkocz, rumiana, śliczna. Zresztą – kto by się interesował ciałem, skoro zaraz zaczęła się deportacja.

– Ciągle żyliśmy ze wspomnieniem cioci Marii – mówi Stefania. – Każdego Wielkiego Piątku, każdego trzeciego kwietnia babcia, póki żyła, chowała się w sobie, a mama smutniała, nam nie wolno było włączać radia ani telewizora, śmiać się, głośno rozmawiać. „Zabili Maryjkę”, powtarzała. „Musimy uszanować jej pamięć”.

\*

Co tu więc załatwiać, skoro wszystko zostało załatwione? Na południowym wschodzie Polski w 1947 roku Ukraińców jest garść, zastraszonych albo – jak na zachodniej Łemkowszczyźnie – niechętnych UPA. Leśni też mają się kiepsko, głównie pilnują tajnych szlaków przerzutu ku Austrii i Niemcom i własnego życia, bo nie ma takiej możliwości, by ktokolwiek z nich wierzył, że w Bieszczadach lub w Lubelskiem powstanie załóżek ukraińskiej niepodległości. Reportaże i zdjęcia zamieszczane w gazetach z czasu akcji „Wisła” (ciekawe, że kilka z nich opublikowano, nim rozpoczęto wywózki, ponieważ z przyczyn logistycznych „Wisła” spóźniła się o kilka dni, a cykl druku gazet szedł zgodnie z planem) ukazywały pochwyconych upowców jako ludzi wymizerowanych, zawszonych, brudnych, lecz zawsze ze znakomicie wyczyszczonym niemieckim automatem w garści – aczkolwiek mało kto w to wierzył.

Reportaże o walkach z UPA i o polskiej akcji osadniczej w wysiedlonych wsiach szły w setki, ale informacji o deportacjach było jak na lekarstwo. W Polsce miało być na ten temat cicho jak na cmentarzu.

## Mam zaszczyt poinformować Pana

Poczytajmy dokumenty z epoki, może one coś rozjaśnią.

Instrukcja Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, sporządzona 3 listopada 1946 roku, na sześć miesięcy przed akcją „Wisła”:

Rozszerzają się coraz bardziej pogłoski o powtórnym wysiedleniu [wcześniej dziesiątki tysięcy Ukraińców wywieziono do Związku Radzieckiego z ziem leżących po zachodniej stronie Sanu i Bugu; deportacje były przeprowadzane w sposób bardzo brutalny, Ukraińska Armia Powstańcza broniła pacyfikowanych wsi i organizowała akcje odwetowe]. Traktować je na razie, dopóki nie ma potwierdzonych faktycznych dowodów, jako wrogą propagandę i nie robić alarmu wśród ludności. Równocześnie jednak nasilić akcję magazynowania i zachowania całego majątku, żeby być przygotowanym na wszelkie ewentualności [...]. Wszystkie wojskowe i bojowe jednostki przygotowują potrzebne materiały wybuchowe itp.; w razie próby dokonania przez wroga jeszcze jednej akcji wysiedleńczej znowu stawić czynny opór najszerzych rozmiarów. W razie rozpoczęcia takiej akcji muszą masowo zapłonąć pożary i muszą „pójść w ruch” mosty i wszelka komunikacja. Sława Ukrainie!

Nota rządu polskiego złożona przez ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej generała Mariana Naszkowskiego (przed wojną więźnia politycznego i członka Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, po wojnie politruka) na ręce wiceministra spraw zagranicznych Związku Radzieckiego Andrija Wyszynskiego przed rozpoczęciem wywózek:

Mam zaszczyt poinformować Pana, że rząd Rzeczypospolitej Polskiej postanowił całkowicie oczyścić z faszystowskich band Ukraińskiej Armii Powstańczej strefę przygraniczną, poczynszy od rejonu Brześcia nad Bugiem aż do granicy czechosłowackiej. Jednocześnie zostanie przeprowadzona ewakuacja ludności ukraińskiej z tychże rejonów do północno-zachodnich obwodów Rzeczypospolitej Polskiej [...]. W związku z ewakuacją zachodzi obawa, że w czasie trwania tego

przedsięwzięcia niepożądane elementy będą starały się przeniknąć na terytorium ZSRR. Z uwagi na powyższe proszę Pana o wydanie dyrektywy w sprawie możliwie szczelnego zamknięcia granicy na wymienionym wyżej odcinku [...]. Proszę przyjąć, Panie Wiceministrze, zapewnienie o głębokim dla Pana szacunku.

Z instrukcji dotyczącej przesiedleń dla grupy operacyjnej „Wisła”:

Prawo pozostania na miejscu mają wyłącznie rodziny bezwzględnie polskie, odnośnie których nie ma najmniejszych poszlak współpracy i sympatyzowania z bandami. W rejonach przemysłu naftowego wykaz osób niepodlegających ewakuacji sporządzą władze UB. Odnośnie obywateli posiadających dowody amerykańskie [wielu Łemków i Ukraińców jeździło do USA na saksy, niektórzy otrzymywali amerykańskie obywatelstwo] rozstrzygają delegaci UB. Przy eliminacji polskich rodzin należy wziąć pod uwagę, że duża ilość Ukraińców posiada podrobione dowody osobiste.

Kardynał Lubomyr Huzar, od 2001 do 2011 roku zwierzchnik Cerkwi greckokatolickiej, mówił mi najczystsza polszczyzną o tamtych czasach:

– Nasza wspólna historia obfitowała w różne momenty, choć, niestety, wyróżniającą się jej cechą była głupota. Na naszej głupocie korzystali sąsiedzi, celowo podsycając napięcia, prowadząc taką politykę, by między Ukraińcami i Polakami nie było zgody.

I dodał:

– Na naszej wzajemnej nienawiści korzystał bolszewizm, a najgorsze, że takie myślenie zwyciężyło. Do dziś ta nienawiść odzywa się jak czkawka, jest stale obecna w naszym życiu.

## Poszedł Karol

„Poszedł Karol na ochotnika na fronty wojny domowej” – pałęta mi się po głowie już od czterdziestu z górą lat. Nic więcej z tego wiersza Władysława Broniewskiego nie pamiętam, mimo że pamiętam tytuł propagandowej książki napisanej przez jego żonę Janinę: *O człowieku, który się kulom nie kłaniał*. Tę książeczkę, podobnie jak wiersz, wciskano w głowy przez dziesięciolecia wszystkim PRL-owskiemu dzieciakom w szkołach. Karol był patronem drużyny harcerskiej; akurat ona zagrała mu na nosie, bo harcerze – karmieni legendą – uwierzyli, że generał Świerczewski był szlachetnym herosem bez skazy, więc wypowiedzieli posłuszeństwo tym, którzy roili sobie, że zrobią z nich bezmyślnych komunistycznych janczarów.

Lecz dla mnie „Poszedł Karol...” będzie już zawsze dorzynającym wieczór pijackim toastem. Niedaleko mojego domu była wiślana łacha, zwana w moim ogólniaku „najpiękniejszym miejscem na świecie” lub, nie wiedzieć czemu, „Przyłądkiem Kennedy’ego”. Otóż tam licealna młodzież, kształcona ideologicznie również wierszami Broniewskiego (to jednak był świetny poeta) i prozą jego mniej utalentowanej żony, wylegała już w pierwszych dniach wiosny, by oddawać się nielegalnemu spożywaniu alkoholu, paleniu papierosów i małoletnim, cudownie niewinnym flirtom.

A kiedy kilku nieletnim mężczyznom pozostawało już tylko ćmić sporty i spełniać kolejne grzdyle wódki żytniej lub wyborowej (ci bardziej ogarnięci tymczasem oddawali się flirtom), jeden bądź drugi – zamiast mówić „na zdrowie” – wznosił toast „Poszedł Karol...”, żeby dokończyć flaszkę bałtyku lub cristalu.

Tak Karol Świerczewski „Walter” wszedł w moje życie, niemal intymnie, a z pewnością zainaugurował alkoholowe doświadczenia. I choć miał w Warszawie swój pomnik (zresztą nie tylko w Warszawie), a jego imię nosiła szeroka aleja, jedna z najważniejszych w stolicy, choć figurował w ówczesnych podręcznikach historii i języka polskiego, był patronem szkół, przedszkoli oraz domów kultury, gdyż – ogólnie rzecz biorąc – oficjalnie robił za bohatera, to jednak mam wrażenie,

że akurat w mojej szkole nikt się Świerczewskim bardzo nie przejmował, wyłączając sytuacje, gdy „Poszedł Karol...”.

\*

Jego losy to dowód, jak można z niczego, lekceważąc prawdę, napisać historię. Co tam historię! Można napisać teraźniejszość, która – choć działa się nieledwie wczoraj – zamienia się w legendę. Pisali o Świerczewskim Broniewska i Broniewski, pisali również Andrzej Braun, Stanisław Wygodzki, Tadeusz Kubiak, Mieczysław Jastrun i Wiktor Woroszyński, a więc poeci wybitni; niektórzy później pięknie zasłużyli się w przepychankach o wolne słowo w Polsce. Lecz wtedy po heglowsku ukąszeni (lub przestraszeni, co wielce prawdopodobne, znakami nadchodzącej epoki terroru) tym, co wówczas w Polsce się działo. Pisali też autorzy miały. Wszyscy postawili Świerczewskiego na piedestale już w chwilę po śmierci, tworzyli swoiste ewangelie, według których Walter miał tyle przymiotów ducha, umysłu i charakteru, że zasługiwał na wniebowzięcie, a nie na kulę w zasadzce pod Baligrodem.

Ba! Zapewniali, że Walter w zasadzie nie umarł. Poeci poniekąd dali mu nieśmiertelność, niezbędną, by komunistyczna Polska dostała, wśród innych ojców założycieli, herosa, „który się kulom nie kłaniał”.

Śmierć generała, który „się kulom nie kłaniał”, oraz nie do końca przejrzyste po dziś dzień jej okoliczności stały się pretekstem do wyrażenia przez socrealistycznych twórców nowej wizji świata, w której śmierć jednostki jest jedynie faktem biologicznym, ramą zamykającą los człowieka, a nie zdarzeniem mającym metafizyczne i sakralne znaczenie. Zgon Świerczewskiego pozwolił im na propagowanie życia nad umieraniem, nieśmiertelności idei nad śmiertelnością człowieka, na głoszenie wiary w postęp oraz na kreowanie optymistycznego obrazu świata.

Tak pisze Helena Sojka-Masztalerz w *Śmierci i nieśmiertelności w socrealistycznych tekstach o Karolu Świerczewskim*.

Ja nie poległem. Pocisk zdradziecki  
draży me ciało, szarpane zażarcie,  
lecz z martwych wstaję [...].  
Jestem głową skazańca z Krety,

jestem sercem powstańca z nad Ebro,  
jestem ręką górnika [...],  
bo nie poległem.

To Stanisław Wygodzki w *Strofach o generale Świerczewskim*.

Prosty robotnik nie umiera,  
Choć ludzi czas prześcignie biegiem,  
on trwał jak kształt zakrzepły nieraz  
w milionach wydźwigniętych cegieł  
[...]

Człowiek walczący nie umiera,  
na dniach wyciska trwałą pieczęć.

Andrzej Braun, *Generał Walter*

Co mówicie?... Żeby nie chodził  
Przed transeje... Że tamto... to wróg?  
Jeszcze taki się nie urodził  
co by mnie tu zastrzelić mógł

Stanisław Ryszard Dobrowolski, *Generał Walter*

\*

Mówią tu, na Mazurach, o Walterze. Ciągłe, choć przemijały ustroje, lata i pokolenia. Zwłaszcza ci starsi, nawet jeśli nigdy go nie spotkali. Co ich obchodzi heros minionej epoki?

Nie żyje przecież od siedemdziesięciu lat, nikt go w Giżycku ani w Ogonkach, w Mrągowie, w Węgorzewie ani w Reszlu nie żałuje i dobrze nie wspomina. Ci młodszy – dziś sześćdziesięciolatek – dowiedzieli się o nim w szkole powszechnej, jak każde dziecko w PRL-u. Kreują we własnych wyobrażeniach losy tego ciut otyłego, krępego łysielca wielkości wyrosniętego krasnala, ciężkiego pijaka, donosiciela i znakomitego nieudacznika, jak kogoś, kto jest winien nieszczęściu. Przecież latami wmawiano im, często cichaczem, ale pod groźbą milicyjnej pałki, że wszystko stało się dlatego, że go zabito. Dlatego w opowieściach o Świerczewskim potrzebny jest element triumfu, nawet jeśli skończyło się tragedią.

– A wiesz pan, że poznałem naszych partyzantów, którzy go strzelili – usłyszałem ze dwadzieścia lat temu w Baniach Mazurskich. – Nie powiem kto, bo po co? Takich rzeczy się nie mówi.

– Ej tam – komentowali te rewelacje młodzi bazylianie z klasztoru w Węgorzewie, wnuki wywiezionych, niektórzy kształceni w Rzymie,

światowcy. – Ludzie muszą odreagować, to opowiadają niestworzone rzeczy.

Śmiercią generała Karola Świerczewskiego władze wyjaśniały niegodziwość popełnioną wobec dziesiątków tysięcy ludzi. Wedle kryteriów prawa międzynarodowego, zaakceptowanych przez Polską Rzeczpospolitą Ludową oraz III Rzeczpospolitą, nazywa się to zbrodnią przeciwko ludzkości. Nie wolno bezkarnie przesiedlać ze względu na narodowość lub wiarę, nie wolno wyrzucać z domów bez szansy na powrót. Nie wolno robić niczego – tak mówi prawo – co działo się podczas akcji „Wisła”.

Tylko że to wszystko, czego nie wolno, się stało.

Usprawiedliwiano więc zabijanie (nieczęste, to prawda, ale jednak), przesiedlenia, tortury, gwałty, rabunki i palenie wsi. Lepiej więc – zdaje się – ułożyć sobie biografię Świerczewskiego jak życiorys ukaranego diabła (bo był jak diabeł), którego – snuto i takie domysły – dopadli swoi (raczej nie, choć byłoby to wcale nie od rzeczy), właśnie za diabelskość.

– Pojechałem raz do Warszawy – powie Stefan z Węgorzewa – do Muzeum Wojska Polskiego, żeby zobaczyć to, co po nim zostało. Nie ja sam, ale z mojego zakładu była wycieczka. Nie pamiętam, może to był 1962, a może 1965 rok. Naoglądaliśmy się, kolegom się podobało, a ja stałem i patrzyłem na ten postrzelany mundur, powieszony, jak mi się zdaje, w szklanej gablocie. Nic nie czułem, nawet złości, ale Polacy nic nie rozumieli.

\*

Tymczasem Świerczewski był alkoholikiem, co, niestety, kosztowało życie wielu ludzi, ale zgódźmy się, że kilku alkoholików odznaczyło się w historii, niekoniecznie tak bardzo źle jak Walter. Nikt, jak mi się zdaje, gdy przeglądam pisane ostatnio teksty o generale, nie lubił Świerczewskiego, nikt go zbytnio nie cenił. Prócz Ernesta Hemingwaya, który sportretował go w powieści o wojnie domowej w Hiszpanii *Komu bije dzwon*. Oraz prócz Józefa Stalina, a to oficjalnie znaczyło, że Waltera wielbią narody.

Przez lata za Walterem stali polscy kombatanci wojny domowej w Hiszpanii, a tego głosu nie warto pomijać. W opowieściach przechowanych przez pamięć ich dzieci, dzisiaj ludzi sześćdziesiąt plus, Świerczewski jawi się jako człowiek diablo odważny, kategoryczny i stanowczy, ideowy komunista (a to znaczyło wówczas co innego niż później) i przeciwnik faszyzmu. Umiał czytać sowieckie gazety, czyli

rozumiał, co znaczy, kiedy na jednym zdjęciu jakiś czynownik stoi obok Stalina, a na kolejnym już go nie ma. Najpewniej – opowiadano mi – strzeliłby sobie w łeb, gdyby pojął, do czego prowadzi stalinowska dyktatura. I – znów podobno – nigdy nie był pupilkiem satrapy.

Urodził się na warszawskiej Woli przy ulicy Kaczej pod koniec XIX wieku. Ojciec, też Karol, był giserem i podobno – przynajmniej tak rymuje Władysław Broniewski – wyznawał radykalne idee i czytał wywrotową bibułę, którą chował na strychu w biedachatce, co nie znaczyło, że zaniedbywał zabawy z synem. Matka była robotnicą w fabryce.

Syn skończył dwie klasy szkoły powszechnej, co nawet wówczas i w przypadku robotniczego dziecka oznaczało pewną ułomność, następnie uczył się na tokarza w manufakturze Gerlachów (niemieckich przedsiębiorców, którzy później, podczas II wojny światowej, mieli się za Polaków), produkującej sztucce z tych bardziej eleganckich i narzędzia chirurgiczne. Gdy wybuchła I wojna światowa, zakłady Gerlacha wywieziono w głąb carskiego imperium. Razem z nimi pojechał młodziutki tokarz Świerczewski.

Podobno – tak utrzymywano w czasach Polski Ludowej – był członkiem Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Lecz już z całą pewnością pracował w moskiewskich zakładach metalowych, został wcielony do carskiej armii i wysłany na front, po powrocie zaś związał się z bolszewikami. Był komisarzem politycznym Armii Czerwonej, tłumił antybolszewickie powstanie na Ukrainie dowodzone przez generała Pawła Skoropadskiego, walczył z „białymi” oddziałami generała Antona Denikina – został wówczas mianowany dowódcą batalionu i odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru. W 1920 roku zgłosił się ochotniczo na wojnę z Polską; stał po przeciwnej stronie frontu niż jego późniejszy apologeta Władysław Broniewski. Nie mogli się spotkać podczas bitwy warszawskiej, gdyż Świerczewski kurował się wówczas w szpitalu z ran odniesionych w starciu pod Chobnoje. W dalekiej Rosji pacyfikował chłopskie powstania Aleksandra Antonowa.

Za zasługi wysłano Świerczewskiego do Akademii Wojskowej imienia Michaiła Frunzego. Aż do śmierci był funkcjonariuszem sowieckiego wywiadu wojskowego. Jako członek sekcji polskiej Międzynarodówki Komunistycznej kształcił polskich dywersantów i komunistów w dziedzinie wojskowości, między innymi Władysława Gomułkę.



W 1936 roku Świerczewski jedzie na wojnę domową w Hiszpanii. Jest jednym z dowódców Brygad Międzynarodowych, a dla Ernesta Hemingwaya – pierwowzorem postaci generała Golza w *Komu bije dzwon* (w powieści to generał o „dziwnej, białej twarzy, oczach sokoła i o ogolonej na łyso głowie, pooranej zmarszczkami i bliznami”, podobno najlepszy dowódca republikanów). Pisarz notował, że Świerczewski „był wspaniałym człowiekiem, kapitalnym żołnierzem. Widziałem go nad mostem, którego nie miał czym wysadzić. Na drugim brzegu faszystowskie czołgi zastygły w bezruchu. Bały się ruszyć, bo ich załogi były przekonane, że most jest zaminowany. A on nawet w takich okolicznościach potrafił żartować”.

W Hiszpanii Świerczewski przybiera pseudonim „Walter”, od ulubionego pistoletu. Pełen brawury, ale też okrutny – podobno przeprowadza czystki wśród ochotników brygad, szukając „faszystowskiej agentury”, skazuje na rozstrzelanie dezertersów i jeńców z oddziałów generała Francisca Franco; zdarza się, że osobiście wykonuje wyroki. Rodzi się jego legenda (w czym udział ma Ernest Hemingway), podtrzymywana latami przez komunistycznych propagandystów – „człowieka, który się kulom nie kłaniał”.

To doskonała bzdura. Świerczewski „bywał tak zamroczony alkoholem – pisał Bartosz Wieliński w tekście *Masakra armii generała Waltera* – że podczas ostrzału nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje, i wyprostowany wychodził z okopu. Czasami w bieliźnie”. Ale i tak za służbę w Hiszpanii zostaje odznaczony Orderem Lenina. Nie chroni to jednak Waltera przed aresztowaniem w czasach stalinowskiej wielkiej czystki.

\*

Gdy III Rzesza najechała Stalina, Walter dowodził dywizją Armii Czerwonej. W bitwie pod Wiaźmą trafił w niemiecki kocioł. Nigdy nie szanował życia żołnierzy – z okrążenia wyprowadził ledwie ośmiu ludzi, dziesięć tysięcy zginęło. Wydawał rozkazy po pijanemu.

Odesłano go na tyły, ocalał życie (wysocy dowódcy Armii Czerwonej szli pod ścianę za o wiele błahsze przewinienia). Wyciągnięto go jak z kapelusza, gdy generał Zygmunt Berling latem 1943 roku tworzył w Sielcach nad Oką dywizję imienia Tadeusza Kościuszki. Walter jest zastępcą Berlinga. Pije bez przerwy.

Na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku, gdy oddziały Pierwszej Armii próbowały przepłynąć się przez Wisłę między Dęblinem i Puławami, Świerczewski demonstracyjnie wykopał się w rzece. Twierdził, że skoro nikt do niego nie strzelał, to po drugiej stronie nie ma Niemców – pisze Bartosz Wieliński. – Żołnierzy polskiego desantu było zbyt mało, poszli więc bez rozpoznania i wystarczającego wsparcia artylerii. W bezsensownym natarciu zginęło ich prawie półtora tysiąca. Między innymi za tę porażkę Stalin odwołał Berlinga. Ale nie Świerczewskiego, który dostał zadanie tworzenia nowej armii.

Druga Armia Wojska Polskiego, tworzona z poborowych rekrutowanych już na terenach wyzwolonych przez Niemców, była obrazem nędzy i rozpacz. Żołnierzy poddano tylko kilkudniowemu przeszkoleniu, nie mieli mundurów ani służbowych butów, brakowało broni. Żywiono się na własną rękę. Ledwie co drugi oficer i podoficer ukończył przed wojną szkołę powszechną; skład dowódczy uzupełniano żołdatami Armii Czerwonej. Nad Nysę Łużycką dotarli pieszo, po setkach kilometrów mozolnego, wyniszczającego marszu.

Mnożyły się niesubordynacja i dezercje: w pierwszą rocznicę bitwy pod Lenino w największej grupowej dezercji w historii polskiego wojska uciekło siedmiuset żołnierzy. Świerczewski, podobnie jak w Hiszpanii, tropił spiski. W czystkach dawali głowę byli partyzanci Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. W podlaskiej Kąkolewicy urządzono więzienie, do którego aż do 1945 roku zwożono niepewny element. Aresztanci stali po kolana w wodzie, katowano ich w czasie śledztw. Rozstrzelano prawie dwa tysiące. Na kilkadziesiąt zachowanych do dzisiaj próśb o ułaskawienie Walter nie uwzględnił ani jednej. Żołnierze nienawidzili Świerczewskiego.

Walter uparł się, że jego wojsko zdobędzie Drezno: „Natychmiastowe zjawienie się na przedmieściach Drezna – pisał w rozkazach – jest kwestią mojego honoru i honoru moich żołnierzy”. Wydawało się, że osiągnie cel. W marszu na miasto czołgi Drugiej Armii rozbijały niemieckie oddziały, gorzej radząc sobie z pospiesznie sformowanymi jednostkami złożonymi ze starszych mężczyzn i z chłopaczków z Hitlerjugend, uzbrojonych w pancerfausty. A jednak gdy od serca Drezna dzieliły polskie zagony pancerne ledwie godziny walk, Świerczewski kazał zawrócić i uderzyć na Budziszyn – do wyczerpującego, wariackiego w istocie ataku dołożył kolejne sześćdziesiąt kilometrów.

Bartosz Wieliński:

Być może, gdyby Świerczewski na Łużycach nie pił, nie doszłoby do masakry. Ale jak to miał w zwyczaju, nie trzeźwiał. Pijany odganiał pistoletem od map oficerów i wydawał rozkazy [...]. Rozpoznanie kulało, łączność z wieloma oddziałami była zerwana. Generał nie brał na poważnie meldunków, że na południu i północy opór tężeje, że napływają coraz silniejsze jednostki wroga. Gdy w końcu Niemcy rozpoczęli kontratak i wykorzystując fatalne położenie Polaków, rozcięli Drugą Armię na dwie części, wychodząc na jej tyły, w sztabie nie było odważnych, by ocucić generała i powiadomić go o grożącej katastrofie.

Świerczewskiego bali się nawet sowieccy generałowie delegowani do polskiego wojska obdartusów i głodomorów. Wiadomo – za sprzeciw kazał rozstrzeliwać, a wszyscy byli przekonani, że Stalin poważa „Hiszpana”.

Zdarzało się, że piechota ruszała bez żadnego wsparcia – artyleryjskiego czy pancernego – na niemieckie czołgi feldmarszałka Ferdinanda Schörnera, ostatniej nadziei III Rzeszy i ulubionego dowódcy Hitlera, idące na odsiecz Berlinowi. Schörner – zwariowany fanatyk, zupełnie jak Walter, lecz fachowy dowódca – publicznie wieszał żołnierzy posądzonych bez najmniejszych dowodów o próbę dezercji lub niesubordynację. Zniszczono dokumentnie 16 brygadę pancerną i 26 pułk piechoty. Między wioskami Panschwitz i Kuckau Niemcy strzelają do żołnierzy Drugiej Armii jak podczas polowania na kaczki – na czterech zabijają trzech. To już nie bitwa, tylko masakra. Spełniły się nocne lęki najwyższych sowieckich dowódców, że ich marsz ku Berlinowi może zostać powstrzymany. Muszą wysłać posiłki pod Budziszyn.

Ferdinand Schörner nie uratował jednak Berlina. Sowietci zajęli Drezno już po kapitulacji III Rzeszy, choć miasto było do wzięcia miesiąc wcześniej. A Świerczewski, notorycznie zachlany, przypina do swojego munduru trzecią generalską gwiazdkę.

\*

Nie da się powiedzieć, kto – w polskiej armii, w komunistycznej partii, a może w Związku Radzieckim – w końcu poszedł po rozum do głowy, zakulisowymi ruchami ominął chore sympatie Stalina i ostatecznie wyautował Waltera. Gdyby brać pod uwagę jego dotychczasowy fart, zwłaszcza w początkach Polski Ludowej, ten etniczny Polak i zaufany Moskwy, od samej wierchuszki partii bolszewickiej po bezpieczeństwo, powinien mieć pozycję półboga. Ale został raptem członkiem Komitetu

Centralnego Polskiej Partii Robotniczej, posłem, pełnomocnikiem do spraw osadnictwa wojskowego i drugim wiceministrem obrony narodowej. Podpisywał wyroki śmierci. Dla kogoś, kto walczył z Denikinem, poszedł w roku 1920 na Piłsudskiego jako ochotnik, mordował chłopów w guberni tambowskiej i czyścił z podejrzanego elementu republikańskich ochotników w Hiszpanii, musiała to być degradacja.

28 marca 1947 roku Świerczewski jest w Bieszczadach. Wizytuje ostatni skrawek Polski, w którym władza ludowa nie może czuć się bezpiecznie: w lasach siedzą żołnierze UPA, po tej stronie Sanu to raczej chłopska samoobrona niż oddziały niepoprawnych romantyków marzących o niepodległości Ukrainy. Pełne żołnierzy amerykańskie i sowieckie ciężarówki – między nimi łysy Świerczewski, pijany w dym mimo rannej pory – jadą do Leska i Baligrodu.

Nagle okazuje się, że Walter chce jeszcze podjechać do Cisnej. To bez sensu, bo trzeba minąć lasy i wzgórza Chryszczatej, a tam mogą być partyzanci „Chrina” i „Stacha” – ukraińskich dowódców czekających raczej na transporty z jedzeniem niż na jakiegokolwiek starcie z Polakami. Ale wiemy już, że sprzeciwianie się poleceniom pijanego Waltera oznacza wrzaski, pospieszny sąd wojenny i kulę w łeb.

O „Stachu” niewiele wiadomo, nie znamy nawet jego nazwiska. W 1947 roku przeszedł wraz ze swoim oddziałem, liczącym niespełna stu ludzi, polsko-sowiecką granicę i zapodział się gdzieś na sowieckiej Ukrainie.

„Chrin” – Stepan Stebelski, nauczyciel z wykształcenia i członek Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów jeszcze z lat trzydziestych – był znakomitym partyzanckim dowódcą, ale też człowiekiem, któremu zarzucano (słusznie) niesubordynację i charakter watażki. Miał pod sobą tak zwaną sotnię łemkowską, bardziej oddział samoobrony niż zaczepny, pilnujący, by podczas powojnia i masowych deportacji Ukraińców do Związku Radzieckiego niewinnym wieśniakom nie działa się zbytnia krzywda. Za działalność niepodległościową na rzecz Ukrainy aresztowało go Gestapo. Uciekł z więzienia, poszedł w las. Jego żołnierze cierpieli głód i dlatego zaczął się u stóp Chryszczatej, licząc, że zdobędzie jedzenie wiezione dla garnizonu w Cisnej. W bunkrze napisał wspomnienia. Nie musiał popełnić samobójstwa – zabili go podczas ucieczki do Niemiec na terytorium Czechosłowacji.

Jest w tej śmierci paradoks. Czechosłowacja nie wysiedlała swoich Łemków i Ukraińców, a kiedy w Polsce trwały deportacje, na polecenie Moskwy i prośbę

Warszawy uszczelniła swoje granice. Czesi i Słowacy nie mieli nic do Ukraińców. Lecz i to się z czasem zmieniło.

Gdy w Polsce święcił triumfy serial *Stawka większa niż życie*, Czechosłowacja postanowiła mieć swojego bohatera zbiorowej wyobraźni, jak porucznik Hans Kloss. Został nim major Zeman (nie ma imienia, ale za to ma bezpieczniacką funkcję) ze swoimi „trzydziestoma przypadkami”, jak w tytule serii; scenariusz był podpowiadany przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Choć odcinki powstały w końcu lat siedemdziesiątych, Zeman załatwiał propagandowe potrzeby związane z Praską Wiosną '68. Ale dołożono mu również ukraińską historię.

W jednym z odcinków Zeman przesłuchuje paskudnego faszystę. To Polak – zaprzaniec, współpracujący z Gestapo i z UPA. O co tu chodzi? Gdzie sens, gdzie logika? Wszystko na swoim miejscu – z tymi Ukraińcami coś trzeba było zrobić, nawet wówczas i w miejscach, gdzie ich wcale nie było.

\*

Już z dodge'a, którym jedzie Walter, widać zgliszcza wsi Jabłonka pod Baligrodem. Z krzaków ledwie porośniętych świeżymi listkami odzywają się strzały. Jednej ciężarówce nie ma w konwoju – rozkraczyła się w zabłoconej drodze. Świerczewski przejmuje komendę; pijany, znów chce pokazać, jakim jest bojowym mołodcem. Staje na odkrytym polu, tuż nad brzegiem potoku Jabłonka, i każe swoim żołnierzom atakować pod górę, gdzie siedzą głodni upowscy strzelcy. Jest ich – podobno – ponad setka.

Atak Polaków to zaskoczenie, tyle że Walter ciągle po pijacku kozakuje. Chodzi brzegiem strumienia, przemyka się pod mostkiem, wydaje rozkazy. Nie sposób nie zauważyć pękatego, krępego łysielca, który niemal prosi się o strzał.

Pif-paf, grubas wzrostu krasnala chwieje się, zatacza, rozpina jednak płaszcz i mundur, patrzy na czerwieniejącą od krwi koszulę – w bezbrzeżnym zdziwieniu, ale też jakby w romantycznym i z pewnością w pijanym geście: „Co mi, kurwa, zrobicie. Kulom się nie kłaniam”. Dostaje jeszcze raz. I jeszcze raz.

Partyzanci UPA, którzy wnet zeszli do drogi, odkrywają, że bitwa była warta funta kłaków – na ciężarówkach nie ma jedzenia. Wracają w górę, do Chryszczatej, bez świadomości, że strzelili Waltera.

\*

Świerczewski powinien był dać głowę w Hiszpanii, w stalinowskich czystkach, w sowieckiej wojnie ojczyźnianej, a w końcu pod Budziszynem, gdy niemieckie czołgi feldmarszałka Schörnera niemal zdobyły jego sztab. Miał szczęście, którego nadużywał; niektórzy powiedzą, że jak każdy notoryczny pijak.

Lecz ludowej Polsce to nie wystarczało. W Bieszczady pojechali oficjele wojskowi i partyjni oraz gwiazdy bezpieczeństwa: Jacek Różański i Anatol Fejgin. Stwierdzono, że Walter zginął od dwóch kul. To brednia, ale obowiązywała przez lata.

O śmierć Świerczewskiego obwiniano wszystkich. Aresztowano na przykład kapitana Jana Gerharda, członka ekipy eskortującej Waltera, zwerbowanego podobno przez francuski wywiad. Podejrzewano, że za zamachem stoją marszałkowie Michał „Rola” Żymierski i Marian Spychalski. Nie ma w tym najpewniej żadnego sensu.

A może jest, tyle że w innych konfiguracjach? Wszak (co wcale nie jest pewne) teren wokół Jabłonki był wyczyszczony z UPA. Podejrzewano więc, że w spisek zaangażował się pułkownik Dmitrij Wozniesiński, zięć Waltera, ale też sowiecki szef polskiej wojskowej bezpieki – Głównego Zarządu Informacji – a w porównaniu ze Świerczewskim kanalia do kwadratu, odwołany do Moskwy i skazany w ZSRR za przestępstwa na polskich wojskowych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Albo NKWD – bo Walter w pijanym widzie mógł coś wygadać. Polscy towarzysze również mogli go mieć serdecznie dosyć.

Gdy skończył się stalinizm, zbrodniarz tamtej epoki i nadzorca Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Jacek Różański („Jest absolutnie bezsporne, że Różański sam bił do krwi, tolerował bicie i podzegał do niego podwładnych mu funkcjonariuszy, bijąc w ich obecności. Jego istotną umiejętnością »zawodową« było psychiczne dręczenie ludzi w śledztwie i wydostawanie od nich tą drogą informacji, często fałszywych, których wcześniej nie podaliby nawet podczas tortur w katowniach Gestapo”), opowiadał przed partyjną komisją o „pamiętniku Świerczewskiego”. Mówił: „Notatnik o tyle charakterystyczny, że przy każdej jednostce w nawiasie wymienieni oficerowie radzieccy, w paru miejscach z wykrzyknikiem. Ja odczułem, że jakiś problem po tej linii jest”.

W komisji wyjaśniającej atak UPA pod Baligrodem zasiadał również Anatol Fejgin, wówczas zastępca szefa Głównego Zarządu Informacji, później urzędnik w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, a po odwilży także skazany za nadużywanie prawa w czasach stalinizmu.

Ale znajdą się ludzie (co prawda niewielu), którzy powiedzą, że w ostatnich miesiącach przed śmiercią Karol Świerczewski codziennie chodził na msze święte i przystępował do komunii, a wcześniej spowiadał się u pewnego jezuitę. Czytał polskie wiersze, manifestował pochodzenie i odgrażał się – pijany, lecz jakie to ma znaczenie – sowieckim oficerom.

Powiadają więc ci nieliczni, że wreszcie odnalazł ojczyznę. Figa z makiem, tak myślę – to tylko siła legendy Waltera, zapodawanej każdemu i wszędzie przez lata PRL-u. Co nie zmienia faktu, że kiedy śmierć Waltera została ogłoszona publicznie, najbardziej cieszyli się – choć oficjalnie lali łzy – komuniści. Zorganizowali mu pogrzeb z dziekanem Wojska Polskiego, zakonnikami i siostrami, które nad otwartą mogiłą śpiewały *Salve Regina*. Płakali, organizowali imprezy ku czci, ale też odetchnęli z ulgą, bo nigdy nie wiadomo, co powie lub uczyni wieloletni alkoholik na potwornym głodzie.

A potem wzięto go na patriotyczno-ojczyźniano-harcersko-szkolne sztandary. Miał pod opieką ulice, place, aleje i skwery, był patronem fabryk i instytutów. Z wiecznie pijanego generała stworzono bohatera bez skazy.

\*

– Skąd w jego mundurze trzy dziury? – pyta Szymon. – Na Boga świętego przysięgam: trzy dziury, a wszyscy mówili o dwóch. Trzy dziury, widziałem na własne oczy.

Na wystawionym w Muzeum Wojska Polskiego mundurze Waltera rzeczywiście są trzy dziury. Niektórzy mówili, że wygląd otworów wskazuje, że strzelano z dołu, czyli z polskiego konwoju, a nie od góry, ze zboczy ponad Jabłonką i Baligrodem, gdzie czaili się ukraińscy partyzanci od „Stacha” i „Chrina”. Zastanawiano się, czy aby amerykańska ciężarówka Dodge na pewno przekroczyła mostek nad potokiem Jabłonka, gdyż z faktu, że była przed albo za mostkiem, wynika, kto strzelał.

Było, minęło. Gdzie indziej, poza Mazurami, już dawno porzucono te spory. Bo i co komu po tym, jak zginął Walter? Nie jest już bohaterem zbiorowej wyobraźni, zabrano mu ulice i patronat nad szkołami. Ale tutaj to tak nie działa, zwłaszcza między starymi.

No więc – opowiadano mi – strzelili go Ukraińcy, co w końcu, patrząc na całą historię Waltera, było wielce usprawiedliwione. Albo oni – komuniści polscy lub sowieccy – żeby mogli później dokopać temu, kto akurat wpadł pod rękę.

Tyle że Walter żył po śmierci – a jakże! – przez cały PRL. Jak w zamówionej przez propagandę poezji okolicznościowej. Co z tego, że w wierszach jest bez skazy, a w rzeczywistości kolegował się z szatanem?

Śmierć żołnierza,  
śmierć komunisty  
nigdy nie bywa samotna.  
Kochałem sprawy i ludzi,  
są ze mną aż do końca,  
dlatego nie trudno umierać.

Tak pisał Wiktor Woroszyński w poemacie *Świerczewski*.

Oraz także:

Tobie, wrogu, na imię faszysta.  
Dobrze się znamy, jak dobrze!

To i co się dziwić, że dalej poszło z Ukraińcami, jak poszło.

\*

Swoistym końcem sprawy Waltera jest historia Jana Gerharda, oficera z patrolu pod Jabłonką, który podobno ruszył w tyralierze w górę zbocza, ku upowskim pozycjom. Przed wojną Gerhard należał do syjonistycznego Bejtaru, faszyzującej organizacji żydowskich radykałów (na faszyzm, niezależnie od narodowości, panowała wówczas wielka moda), o której z szacunkiem wyrażał się sam Benito Mussolini. Był we francuskim ruchu oporu, zapisał się do tamtejszej partii komunistycznej. Kiedy wrócił do Polski, wstąpił do wojska.

Nienawidził Ukraińców. Podczas akcji „Wisła” zastrzelił pojmanego rannego partyzanta UPA i pozwalał na mordowanie innych jeńców. Był odpowiedzialny za palenie ukraińskich wsi. Przeszło mu przedwojenne, ideowe faszyzowanie, lecz pozostał charakter, odporny na zmiany ustrojów i politycznych planów.

Jana Gerharda wsadzono do kryminału w 1952 roku, podejrzewając go – tak, tak, choć byli siebie warci – o spisek na życie Waltera i o szpiegostwo na rzecz kapitalistycznej Francji. Został zwolniony dwa lata później i oczyszczony z zarzutów do tego stopnia, że w latach sześćdziesiątych, mimo antysemitycznych nastrojów i czystek, mógł zajmować się również polityką. Dostał od PRL-u Virtuti Militari i dwukrotnie Krzyż Walecznych.

W 1959 roku ukazała się książka Gerharda *Łuny w Bieszczadach* – beletrystyka, ale autor dawał do zrozumienia, że wielu opisywanych wydarzeń doświadczył



osobiście. Wydawano ją kilkanaście razy, łącznie w przeszło półmilionowym nakładzie, była przez lata w kanonie PRL-owskich lektur szkolnych, a na jej podstawie nakręcono film *Ogniomistrz Kaleń*, fabularnie znakomitą opowieść ze świetną rolą Wiesława Gołasa, lecz tak propagandowo skłamaną, że trudno szukać większego fałszu.

O Bieszczadach Gerhard pisał więc z pierwszej ręki (również w gazetach), pełen jadu i nienawiści. Jego wyobrażenie o żołnierzach UPA jeszcze dzisiaj, choć – dzięki Bogu – w mglistych powidokach, to platynowo-irydowy wzorzec ukraińskiego partyzanta: sadystycznego, krwawego rzeźnika z najczarniejszej polskiej legendy.

Jego smagła twarz nie rozpozadzała się nigdy. Na wąskich wargach, przeciętych od dzieciństwa blizną, nikt chyba nie widział uśmiechu. Oczami o szarym połysku zdawał się świdrować każdego, z kim rozmawiał, i mało było ludzi, którzy pod ciężarem tego wzroku nie czuliby się nieswojo. Hryń nie uznawał rozgrywek [...]. Brał udział w tradycyjnych wsiowych bójkach, w których wyróżniał się rzadkim okrucieństwem. W czasie jednej z takich bójek rozplątał siekierą głowę swemu ojczymowi.

Albo, co opublikował w „Przekroju” pod pseudonimem Tadeusz Narbutowicz:

To są tchórze i do tego podli tchórze. Ten cały ich nacjonalizm to nędzny płaszczyk, płaszczyk do bandytyzmu. Właściwie jest to grupa byłych esesmanów, gestapowców i policjantów ukraińskich, poszukiwanych jako zbrodniarze wojenni, która kryje się w górach i napada tylko na niewinną ludność cywilną dla zdobycia żywności. Musimy ich wyszukiwać po górach i wygniatać jak pluskwy [...]. Natłukliśmy tego ścierwa niemało, ale też całą noc trwała zabawa.

Reportaż w „Przekroju” został opatrzony zdjęciem, podpisanym – a jakże! – że to polska wieś spalona przez UPA, do której wchodzi nasi bohaterscy żołnierze; można się domyślić, że dowodzeni przez Gerharda. Kłopot w tym, że na fotografii żołnierze wychodzą (!) ze świeżo podpalonego sioła, mając za plecami żar, dym i płomień. Lecz takimi detalami niewielu wówczas się przejmowało.

Jan Gerhard przez lata pracował w Polskiej Agencji Prasowej. Gdy Ryszard Kapuściński, podówczas korespondent PAP-u w Afryce, zapytał go pewnego razu:

„Panie Janku, tak naprawdę było w tych Bieszczadach, jak pan pisze?”, o mało nie dostał po twarzy.

Podwładni z wojska donosili na Gerharda (podobnie jak on na swoich przełożonych, na przykład Stanisława Plutę). Podobno, prócz niesłychanej brutalności, defraudował pieniądze przeznaczone dla żołnierzy na podwójny żołd, należny za liniową służbę, bo tak potraktowano wysiedlenia i akcję przeciwko zawszonym, głodnym partyzantom UPA. Gerharda akurat nie złapano za rękę. A nawet jeśli – puszczono to płazem. Wszak byli gorsi.

\*

W 1971 roku Jan Gerhard był redaktorem naczelnym „Forum” – tygodniowego magazynu przedruków z prasy zagranicznej, pełnego antyzachodniej propagandy, niemniej poszukiwanego w kioskach, bo dającego choć przedsmak tego, o czym pisały światowe gazety. Dzięki *Łunom w Bieszczadach* stał się człowiekiem sławnym i milionerem, miał – co wówczas stanowiło rzadkość – zachodni samochód, był pyszałkiem i bawidamkiem. Posłował na sejm, był członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, której podobno nienawidził za to, czego doświadczył w stalinowskim kryminale.

Któregoś dnia sierpnia nie pojawił się w pracy. W mieszkaniu milicjanci, zaalarmowani przez redakcję, znaleźli ciało redaktora. Jan Gerhard zginął od kilku uderzeń w głowę zadanych tępym narzędziem, miał pasek zaciągnięty na gardle i nóż wbity w plecy: okrucieństwo jak z domniemanych banderowskich zbrodni, które tak ochoczo opisywał.

W lud poszła wieść, że mord najpewniej popełniono z przyczyn politycznych. Kilka dni wcześniej włamano się do generała Mariana Naszkowskiego, wojskowego politruka, partyjnego urzędnika i komunistycznego dyplomaty (to on wysłał Sowiecom notę informującą o rozpoczęciu deportacji Ukraińców), któremu w 1970 roku po raz kolejny polecono przyjrzeć się śmierci Karola Świerczewskiego. Z domu zginął tylko przechowywany w sejfie notes (nigdy go oficjalnie nie odnaleziono), w którym Naszkowski zapisywał wnioski ze śledztwa. Członkiem komisji był również Gerhard.

A więc – szeptała warszawska ulica – Gerhard zginął, bo znał tajemne związki Świerczewskiego z sowieckim wywiadem, sekretne plany generała, dawne i obecne intrygi partyjne. Zabito go w wyniku komunistycznych porachunków i frakcyjnych

walk: był z pochodzenia Żydem, podobno chciał opublikować w tygodniku „Polityka” ostry tekst przeciwko „partyzantom” Mieczysława Moczara (było ledwie dwa lata po antysemitkich czystkach i awanturach Marca '68), „do czasu kandydowania na posła – notowali esbecy – wyrażał niezadowolenie z powodu usuwania z odpowiedzialnych stanowisk państwowych osób o poglądach syjonistycznych”. Albo stał się ofiarą zemsty dawnych upowców za Bieszczady i Łuny... Polityczne motywy zbrodni sugerowało również Radio Wolna Europa.

Śmierć Gerharda poruszyła opinię publiczną – pisał w tekście *Kryptonim Bieszczady* profesor Grzegorz Motyka. – Śledztwem interesowało się najwyższe kierownictwo PZPR, a członek Biura Politycznego Stefan Olszowski zapewnił publicznie, iż sprawcy zostaną wykryci. Szerzyły się plotki. Najczęściej wskazywano w nich jako sprawców Ukraińców, którzy jakoby chcieli się zemścić za napisanie *Łun w Bieszczadach* lub wziąć odwet za śmierć przywódcy OUN Stepana Bandery, zabitego przez agenta KGB. Podejrzewano też partyzantów z oddziału Antoniego Żubryda, którzy zostali przedstawieni w powieści gorzej niż upowcy [...]. Niektórzy podejrzewali syjonistów, a nawet amerykańskiego [w rzeczywistości greckiego] milionera Onassisa, który miał w ten sposób zemścić się za krytyczne artykuły na swój temat w „Forum”. Zwolennicy [Bolesława] Piaseckiego mówili pół żartem, pół serio, że Gerharda zabił PAX. Chyba najbardziej absurdalna plotka wiązała śmierć pisarza z porachunkami między byłymi członkami AK. Bardziej poważne mówiły o rozgrywkach w aparacie władzy lub chęci ukrycia przez nią wstydlivych tajemnic, na przykład związanych ze śmiercią Świerczewskiego.

Rozkazem szefa ministerstwa spraw wewnętrznych powołano grupę śledczą Bieszczady. Milicja przeprowadziła kilkaset rozmów z sąsiadami, członkami redakcji „Forum” i znajomymi Gerharda. Zahaczono się o kilku byłych członków UPA, a potem zaczęto inwigilować ukraińską społeczność. Uzyskano informację z anonimowego telefonu, że zabójcami Gerharda są partyzanci od „Chrina” lub „Stacha”, a świadkowie bieszczadzkiej akcji Gerharda, byli żołnierze Wojska Polskiego, zeznali: „zlecił na przykład wykonanie publicznej egzekucji ciężko rannego upowca ujawnionego w czasie akcji przesiedleńczej na wozie ewakuowanej rodziny ukraińskiej. Z jego rozkazu zlikwidowano na miejscu bez sądu innych ujętych członków band UPA”.

W tej sytuacji – notuje Grzegorz Motyka – mniejszość ukraińską w Polsce postanowiono poddać bacznej kontroli. Ustalono adresy byłych członków oddziałów UPA, w tym dziewiętnastu członków oddziału „Chrina”, i sprawdzano ich alibi. Starano się także zidentyfikować osoby pochodzenia ukraińskiego przebywające w Warszawie w dniu zabójstwa. Ponadto, czytamy w dokumentach SB: „przedsięwzięto czynności zmierzające do rozpoznania środowisk ukraińskich w Polsce skupionych na terenie województwa rzeszowskiego, wrocławskiego, szczecińskiego i olsztyńskiego” . Zwrócono uwagę, iż stawiają one żądania wycofania z księgarń *Łun w Bieszczadach*, a z kin *Ogniomistrza Kalenia*. „Równocześnie uzyskano dane, że wśród Ukraińców w Polsce istnieje opinia, iż Polacy usiłują przypisać im morderstwo na osobie Gerharda, aby ich skompromitować w oczach społeczeństwa”.

Domniemany ślad ukraiński poprowadził milicję w ślepią uliczkę – podobnie jak inne polityczne tropy, ale też wątki obyczajowe; podejrzewano, że Gerharda mógł zabić zdradzany mąż jednej z jego licznych kochanek. Koniec końców wyszło, że był to mord rabunkowy, choć sprawcy – student Politechniki Warszawskiej starający się o rękę córki Gerharda i jego kolega – zostawili w mieszkaniu ofiary wiele cennych przedmiotów i gotówkę. Podobno planowali napady na innych ówczesnych celebrytów (między innymi aktorkę Mieczysławę Ćwiklińską i piosenkarza Jerzego Połomskiego), udowodniono im wcześniejsze rozboje.

Po trzytygodniowym, częściowo utajnionym procesie skazano ich na karę śmierci. Pierwszy ze skazanych tłumaczył zabójstwo brakiem zgody Gerharda na małżeństwo z córką. Drugi, podobno – odwetem za śmierć Świerczewskiego, za którą jego zdaniem odpowiedzialny był Gerhard. Wyroki wykonano po kilku miesiącach, bardzo szybko, nawet jak na komunistyczne standardy.

## Dobrych Polaków traktować grzecznie

Jedyna postać, która w pisarstwie Gerharda jest równie krwawa, okrutna i podła jak Ukraińcy, to kapitan (lub major) Antoni Żubryd „Zuch”, żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych. W gazetach z jesieni 1946 roku, gdy został wraz z żoną zastrzelony w wyniku akcji bezpieki (to zresztą temat na osobną, zgrabną powieść kryminalną), pisano, że współpracował z UPA, choć w rzeczywistości strzelał do Ukraińców z zapalem enkawudzisty lub polskiego pogranicznika z Wołkowyi.

Ale jest faktem, że polskie podziemie wierne rządowi w Londynie szukało kontaktu z UPA. Już w 1945 roku zawarto garść lokalnych porozumień, głównie na Lubelszczyźnie, a wiosną następnego roku Ukraińcy i Polacy przeprowadzili udany atak na Hrubieszów, odbijając więźniów politycznych z miejscowego więzienia. W sierpniu przedstawiciele obu partyzantek spotkali się z korespondentem „Sunday Timesa”. W październiku UPA pomogła Polakom rozbić posterunek Urzędu Bezpieczeństwa we Włodawie.

Lecz po sfałszowanych wyborach w styczniu 1947 roku z polskiego podziemia nie było praktycznie co zbierać. UPA też była w fatalnym stanie, zwłaszcza że przypuszczano, że okres masowych deportacji raczej się skończył, więc ocalałe wsie chciały po prostu odpocząć.

Wasyl Mizerny „Ren”, dowódca odcinka taktycznego UPA „Łemko”, pisał o chorobach zakaźnych nękających partyzantów, pijaństwie, grabieży, dezercjach, niesubordynacji.

Były wypadki, kiedy niektórzy strzelcy, a czasem i całe pododdziały były ludność ukraińską, wykorzystując przewagę, jaką daje im ich broń, przeprowadzali także na własną rękę, pod pretekstem szukania wojskowych rzeczy, rewizje, grozili, używali ordynarnych słów [...]. Taki stan jest niedopuszczalny i musi się radykalnie zmienić. Wszyscy strzelcy, dowódcy i polityczni wychowawcy muszą odnosić się do swojej ludności, jak i do dobrych Polaków uprzejmie, przyjaźnie i grzecznie [...]. Wszystkich źle zachowujących się należy z miejsca karać.

Morale UPA siadło tak bardzo, że „Ren” musiał przypomnieć:

W ostatnim czasie zaszły dwa wypadki, iż w czasie boju zostawiono na polu walki rannego strzelca. Podobny wypadek nie powinien drugi raz się powtórzyć i rannego należy za wszelką cenę zabrać ze sobą. Jeśli powtórzyłoby się to w przyszłości, to odpowiedzialni za ten wypadek będą przede wszystkim komendanci i ci strzelcy, koło których wspomniany żołnierz czy pracownik siatki konspiracyjnej został ranny. Wroga niewola dla żołnierza UPA nie istnieje. W krytycznej i beznadziejnej sytuacji żadnemu żołnierzowi nie wolno poddać się żywcem w ręce wroga. Każdy z nas w takim wypadku musi być przygotowany na śmierć i powinien zastrzelić się własną bronią lub rozerwać się własnym granatem. Wszyscy ci, którzy dostają się żywi do niewoli, to tchórze. Z tego powodu strzelców, którzy przejawiają ochotę do poddania się lub poddają się, należy z miejsca rozstrzeliwać.

W instrukcji na lato 1947 roku dowództwo UPA pisało zaś:

Naprawić odzież i obuwie, przeprowadzić zbiórkę wśród polskiej ludności, brać krowy i sprzedawać na ten cel, przyspieszać rekwizycje. Nie prowadzić walk zaczepnych, chyba że trzeba coś zdobyć albo od czasu do czasu pohamować zuchwałość i rozproszenie wroga w terenie. Oszczędzać amunicję!!! Czasami trzeba gdzieś uderzyć na wroga, żeby strzelcy nie stracili bojowego ducha, ale wybrać miejsce dobrze, żeby uderzyć bez własnych ofiar i amunicji dużo nie wystrzelać. Nie należy jednak dopuszczać do tego, żeby w terenie zawsze uciekano przed wrogiem. W obronnych walkach, jeśli nie ma możliwości pokonania wroga, odrywać się i zniknąć. Zamiast prowadzić pracę polityczną wśród polskiej ludności, robić rajdy na polskich terenach. Zachowywać się „korekt”, nie prowadzić odwetowych i karnych akcji. Nie trzymać się jednego lasu i rejonu. Każdemu oddziałowi wyznaczyć teren działania na polskim obszarze. Oddział ten winien często przebywać w tym terenie, możliwie jak najdłużej, a na własny teren przechodzić tylko na odpoczynek. Ten rok dla oddziału ma być rokiem „rajdów” i pracy politycznej wśród cudzoziemców. Należy poznać dokładnie lasy dalej na zachód i na północ od naszych terenów. Nasz partyzant musi oddalać się od „chaty” – to znaczy nie powinien ograniczać się do podtrzymywania na duchu Polaków – oni nie są tego warci. Nam chodzi

o międzynarodową arenę, o sformowanie antybolszewickiej opinii świata, chodzi nam o przyspieszenie procesu wybuchu wojny.

Słowem: dowództwo UPA apelowało o to, by się jakoś trzymać. Zatytułowało odezwę *Walka o chleb – walką o życie*. Ale jak to zrobić, co uczynić, jaki wydać rozkaz? Oficerowie nie mieli już takiej wyobraźni. Sprawy stały się zupełnie beznadziejne, a szansą jawiła się ucieczka („poznać lasy na zachód i na północ”).

To już nie była partyzancka wojna, ale „dorzynki. Nikt nie zadzierał nosa, a jeśli, to świadomie kłamał. No bo jak inaczej, skoro w relacjach z ukraińskich wsi pojawiały się opinie, że ludność – naturalne zaplecze – jest sterroryzowana, zrujnowana, często głodna i pragnie jedynie spokoju i oddechu. Podobnie jak partyzanci.

Osyp Hałabud, strzelec UPA, opisuje:

Za dłuższą nieobecność w oddziale karali surowo, żadne tłumaczenia nie mogły tu pomóc. Jeden partyzant z mojej wioski odłączył się od sotni po jakimś boju i nie wracał trzy dni. Przyszedł na czwarty. Postawili go przed sądem, skazali na śmierć. On krzychał: „Byłem w ss [Galizien], walczyłem za Ukrainę, a wy mnie rozstrzeliwujecie! Za co? Będą was jeszcze rozstrzeliwać! Ja Bogu ducha winien, nie mogłem szybciej do was dołączyć”. On pewnie i był niewinny. Jednak wyrok wykonano.

Pisze również o kobiecie powieszanej za to, że zbierała grzyby w lesie, który podobno był pod kontrolą Polaków. I o chłopcu w wieku rekruckim, który ledwie co wrócił z robót w Niemczech i nie miał ochoty na wojaczkę. Nie chciał – jak mu oznajmiono – walczyć o Ukrainę. Kara mogła być tylko jedna.

Z kolei Polacy meldowali (wewnętrzne sprawozdanie Polskiej Partii Robotniczej):

Ujawnia się wśród banderowców pewien objaw załamania. Dość liczne bandy uciekały przed kilkunastoma żołnierzami. W dwóch wypadkach 18 stycznia 1947 roku wojsko rozproszyło dwie bandy, kładąc trupem raz trzynastu, drugim razem siedmiu i biorąc trzech żywcem. Wzrost pewności siebie wśród ludności polskiej i brak odwagi UPA wywołał reakcję ludności ukraińskiej, która masowo wzięła udział w wyborach [...]. Nie znam ilości pozostałych Ukraińców – według pobieżnie zebranych informacji jest ona pokaźna. Zagadnienie

mniejszości ukraińskiej nie zostało rozwiązane – istnieje nadal, tylko my nie posiadamy dostępu do tej mniejszości, bośmy się go pozbyli, jedynymi przedstawicielami państwa, jacy zagadnieniem ukraińskim w terenie zajmują się, są dowódcy wojskowych oddziałów zwalczających bandy, poziom polityczny, jak i metody z konieczności stosowane przez tych ludzi nie przyczynią się do rozwiązania zagadnienia Ukraińców. Istnieje niebezpieczeństwo, że ropień ukraiński może pozostać na stałe, mógłby on kiedyś przynieść nam wielkie szkody.

W Nowym Targu, czyli przecież na Podhalu, starosta powiatowy informował:

W roku 1945 większość Łemków została bądź wcielona do Armii Czerwonej, bądź wysiedlona do ZSRR [...]. Aby stworzyć graniczne powiaty czysto polskimi, co leży w interesie państwa, i aby usunąć kwestię Łemków z zagadnień polityki polskiej, wskazanym by było przesiedlenie Łemków w głąb Polski. Takie załatwienie tej kwestii pozbawiłoby równocześnie nacjonalistyczne bandy ukraińskie baz wypadowych i moralnego oparcia przyjaznych im elementów.

Z kolei w opinii dowództwa 9 dywizji piechoty:

Notowane napady stosowane przez nacjonalistyczne bandy UPA przede wszystkim mają na celu zdobycie żywności i odzieży, jak również krów i koni, które następnie sprzedają ludności i kupują mundury, względnie materiały na nie [...]. Z zeznań jeńców banderowskich wynika, że nastroje wśród band UPA są bardzo pesymistyczne. Dowódcy jedynie terrorem podtrzymują dyscyplinę, lecz mimo to dezercja nie ustaje. Za próbę dezercji, jak również za dezercję stosują karę śmierci przez powieszenie lub rozstrzelanie.

Profesor Grzegorz Motyka uważa (i nie jest odosobniony), że przed akcją „Wisła” można było wojskowymi metodami zniszczyć ukraińską partyzantkę.

Bierność strony polskiej zimą 1946/1947 roku zaskoczyła samych Ukraińców, którzy spodziewali się w tym czasie wielkich obław. Byłyby one tym bardziej niebezpieczne, że ludność ukraińska po zakończeniu wysiedleń zaczęła tracić ochotę na popieranie partyzantki, nie widząc w jej działaniach większego sensu. Pojawienie się w lutym/marcu 1947 roku oddziałów Korpusu Bezpieczeństwa



Wewnętrzne stanowiło dla UPA poważne niebezpieczeństwo, ale miały one zbyt mało czasu do opanowania sytuacji. Fakty te rzucają zupełnie inne światło na rozpoczętą w kwietniu 1947 roku akcję Wisła. Pokazują bowiem, że byłaby ona zupełnie bezcelowa, gdyby władze rzeczywiście priorytetowo traktowały problem zwalczania UPA.

## Ludność idzie na ogół chętnie

Jak to wówczas było? Komu wierzyć? Na pewno rozkazom, które mówiły, że wysiedlenia „ostatecznie rozwiążą kwestię ukraińską”.

Zastępca do spraw wychowawczych grupy operacyjnej „Wisła” meldował już na samym początku wysiedleń: „Ludność była zaskoczona wyjątkowo humanitarnym postępowaniem naszych żołnierzy w stosunku do przesiedlanych. Akcja obecnie prowadzona jest kontrastem tych metod przesiedlenia, jakie stosowano tu w poprzedniej kampanii”.

Może więc nacisk trzeba położyć na słowo „kontrast”, skoro pomniejsi politycy donosili, że „żołnierz nie widział wyraźnej linii podziału pomiędzy ludnością cywilną a bandami”, i rzymskim katolikom po metryce (niektórzy uzyskiwali ją całkiem świeżo) – czyli z definicji Polakom – wmawiano, że byli Ukraińcami w pokoleniu dziadów, a na dodatek musieli wysługiwać się UPA, skoro przeżyli?

Sam generał Stefan Mossor zauważył, że „ogarnęła wszystkich gorączka gromadzenia ludzi na punktach zbornych i stacjach załadowniczych. Wysiedlano na początku na ślepo, bez planu i przewidywań, nie zorganizowano pomiędzy odległymi punktami zbornymi a stacjami załadowniczymi punktów pośrednich, nie wykorzystano odpowiednio transportu kołowego i samochodowego do przewiezienia dobytku przewiezionych”.

Ale powszechnie panowała opinia, iż „ludność stwierdza, że obecnie przeprowadzana akcja przesiedlania odbywa się w nie do porównania lepszych warunkach aniżeli przesiedlanie w ubiegłym roku, a wojsko pomaga ludności przesiedlanej”.

Wtedy zabijano. Teraz starano się tego unikać.

Bo i o co się handryczyć? O chorych wynoszonych z domów w łózkach, ponieważ do deportacji kwalifikowali się wszyscy Ukraińcy? O brak opieki medycznej i głód w transportach (zakładano ćwierć kilograma chleba, pół kilo ziemniaków, trochę kaszy, tłuszczu i mięsa na osobę, ale w praktyce, jak w Olszanicy, był to kilogram chleba, pół solonego śledzia i puszka konserw na kilka osób)? O gwałty w punktach zbornych i na stacjach załadowniczych? Słyszał

z tego Przeworsk, gdzie bicie, rozbieranie kobiet do naga i gwałty należały do metod przesłuchań; jeśli jakaś się broniła, znaczy, że była banderówką, i wieziono ją do obozu koncentracyjnego w Jaworznie.

Spalono kilkadziesiąt wysiedlonych wsi. Niszczono cerkwie. Polscy cywile, ale też żołnierze, milicjanci i ubowcy rozkradali majątek deportowanych, kiedy ci stali pod karabinami tuż za progiem własnych domów. Niektórych funkcjonariuszy postawiono za to przed sądem.

Wojsko dziwiło się, że wysiedlani nie stawiają oporu. Obelgi i złorzeczenia – to wszystko, na co się ważyli. Prawie nikt nie uciekał, może dlatego, że masa żołnierzy skutecznie odcięła lasy. Niektórzy niszczyli mienie i rujnowali domy, by nie oddawać obcym. Ale zdecydowana większość pogodziła się z losem.

Generał Grzegorz Korczyński donosił (dokument cytuje Eugeniusz Misiło w *Akcji „Wisła” 1947*):

Ludność ukraińska na ogół chętnie idzie na wysiedlenie, oporu nie zanotowano. Akcja wysiedleńcza idzie więc dość sprawnie. Na ogół z wyjątkiem powiatu lubaczowskiego i częściowo przemyskiego, gdzie powiatowe urzędy bezpieczeństwa publicznego nastawiły się na generalne wysiedlenie wszystkich elementów podejrzanych przy okazji akcji wysiedlania Ukraińców, poważniejszych odchyłeń od założonego planu nie zaobserwowano. Problemem oddzielnym, dla którego nie znaleźliśmy jeszcze rozwiązania, jest problem ludności ukraińskiej i rodzin mieszanych osiadłych w miastach.

Bo ile można uciekać, choć tym razem wojsko starało się nie strzelać uciekającym w plecy? Ile da się mieszkać w ziemiankach i prowizorycznych szałasach jak podczas poprzednich deportacji? Nie ma wsi, sąsiadów, cerkwi, przeszłego życia. Kilka minionych lat odcisnęło się na Chełmszczyźnie i w Bieszczadach, w Beskidzie Niskim i na Pogórzu Przemyskim potwornym strachem i przeraźliwym zmęczeniem. Bywało w końcu i tak, że ukraińscy leśni, a z drugiej strony polscy partyzanci i regularne wojsko podstępami sprawdzali lojalność nachodzonych przez siebie wsi: po ukraińsku (lub po polsku) prosili o wodę albo o mleko, a kiedy dostawali odpowiedź w tym samym języku, bili lub strzelali.

Ludzie opuszczali domostwa z przekonaniem, że tak musi być, bo przecież jedno wysiedlenie już było; rozwaleni psychicznie, w hysterii albo w apatii, drżący

o życie. Meldunki informowały, że wielu donosi na sąsiadów, przy okazji błagając o zmiłowanie, wrzeszczy, a za chwilę potulnie godzi się na wszystko i ustawia w karne przesiedleńcze kolumny.

Bywało i tak, że wysiedlani prosili o jak najszybszy wyjazd. Tłumaczono to chłopskim przywiązaniem do ziemi – Ukraińcom obiecywano gospodarstwa, a czas prac w polu zbliżał się nieuchronnie.

Lecz mnie się zdaje, że już po prostu mieli dosyć. Odczłowieczeni i wystawieni na działalność sił wyższych, nie do pojęcia w tych zabitych dechami wsiach (w wojskowych raportach powtarzają się opisy potwornej nędzy, niemal łykowych łapci zamiast butów i „ciemnego zabobonu”), mieli dość. Każdy by miał.

\*

– Dostaliśmy godzinę na spakowanie – opowiada Włodzimierz, który po wywózce odnalazł się w powiecie kętrzyńskim, pod granicą z obwodem kaliningradzkim. – Wszyscy płaczą, bo ojca zabrali na UB; był jakiś czas wójtem w Dzikowie Starym. Na furmance skrzynia ciuchów, pięć kurek, żarna, kołyska z płaczącą siostrą. Starszy brat uwiązał jedną krowę. Resztę nam rozebrali. Pamiętam jak dziś, choć byłem małym chłopcem.

Ojciec szczęśliwie dołączył w punkcie zbornym. Żołnierze i ubecy dziwili się: „Co ty tutaj, banderowcu, robisz?”. A przecież od partyzantów trzymał się z dala, na ile się dało. Był w gminie władzą, podobnie jak dziadek, a władza – Włodzimierz miał kiedyś takie wyobrażenie – jest ponad swarami, każdą rację przyjmuje, by słusznie rozsądzać i szukać sprawiedliwości.

Dziadka we wsi szanowali wszyscy, a osobliwie miejscowi Żydzi. Poszło o karcznię, w której chrześcijanie przepijali zarobiony grosz. Tak i zebrały się dzikowskie baby, podpuściły kilku chłopów i dawaj – spalić Żydów za gorzałkę. A dziadek na to: „Hola, nie będzie tu żadnego pogromu. Co to, Żydzi każą waszym pić? Piją, bo chłop pije, ani baba, ani ksiądz tu nic nie pomoże”.

Tłumaczył, przekonywał, groził i – koniec końców – karcznię ocalił. Wraz z nią pewnie kilka żydowskich istnień, bo swojego każdy broni, nie patrząc, co go spotka. Nastroje we wsi były normalne, nikt specjalnie do nikogo nic nie miał, ale jeśli już miał, nie daj Bóg.

Kiedy więc dziadek umarł, przed cerkiew i na jego pogrzeb przyszli wszyscy dzikowscy Żydzi, wystrojeni jak na szabat, w kapeluszach, cisi, smutni i nabożnie

skupieni. Dziękować przyszli, bo dziadek wśród obywateli Dzikowa Starego nikogo nie wyróżniał i nie poniżał.

– Przecież we wojnę nie tylko nasi chodzili tu po lasach – mówi Włodzimierz. – Byli też Polacy, a Niemcy ścigali ich tak samo. Razu pewnego złapali kilku, zamknęli w piwnicy. Byliby ich rozstrzelali, gdyby nie tata. Zaręczył, że to dobrzy ludzie, własną głowę postawił za ich życie. Już na wysiedleniu często powtarzał, że gdyby ci Polacy wiedzieli o naszej wywóźce z Dzikowa, pewnie byśmy zostali. Porobili kariery w ministerstwach, ważni byli, a ojcu tak dziękowali, nie mogliby zapomnieć. Ale bo to ja wiem, jak by było? Człowiek zmienny bardzo.

Z podróży do Kętrzyna najbardziej pamięta czas, dłużący się niemiłosiernie. Oraz głód – dziecko po prostu chce jeść. Prosił matkę, a ona spłakana mówiła: „Co ci dam? Mniej jedz”.

\*

„Szczęście nasze zostało zburzone, kiedy to 15 czerwca 1947 roku wkroczyło do naszej wsi wojsko polskie i zabrało na przesłuchanie naszego ojca i obydwu braci, jak też innych mężczyzn” – napisała Halina Synicyn. Działo się to w Suszowie, powiat tomaszowski, niedaleko Chełma. Zgoda – wcześniej Polacy burzyli cerkwie, palili obejścia, w czasie wojny trzeba było kryć się po lasach przed partyzantami i deportacją do Związku Radzieckiego. Ale wcześniej rodzina była razem. To może być powód do radości.

Wkrótce po zabraniu ojca i braci sąsiad przyprowadził do naszego domu dwóch wojskowych. Bardzo bili naszą mamę. Bili we dwóch, pałami, gdzie popadło, wyzywając od najgorszych banderowskich k... Kiedy mama straciła przytomność i upadła, jeden z nich kopał mamę i krzyczał, aby wstała. Mama nie wstała – wówczas wylano na nią wiadro wody i dalej wyzywając od najgorszych, kazano wstać. Mama nie dawała znaku życia – wówczas drugi z wojskowych powiedział: „przestań, ona ma już dość”. Wszystko działo się na moich oczach, płakałam i krzyczałam, byłam pewna, że mama nie żyje. Kiedy bandyci wyszli, mama jeszcze długi czas leżała na podłodze, nie dając znaku życia.

A przecież wojsku nie szło o mamę, tylko o ojca i braci Haliny. Wrzaski bitych słyszała cała wieś, a potem ich los opowiadano sobie w punktach zbornych,

w transportach.

Wywoływano po nazwiskach, kiedy padło nazwisko Synicyn, do wyjścia poderwał się najstarszy brat. Ale wyszedł ojciec. Ostatni raz szedł na własnych nogach. Katowano go strasznie i bardzo długo. Złoczyńcy bili, odpoczywając, ponieważ ojciec nasz był człowiekiem zdrowym, silnym, wysokim i nigdy nie chorował, trudno było zbrodniarzom od razu go zabić. Kiedy ojca skatowano tak, że nie dawał znaku życia, kazano „zabrać to ścierwo”. Przyniesiono go do domu wczesnym rankiem 16 czerwca. Nieśli go na drabinie moi obydwaj bracia i kilku innych mężczyzn. Miał połamane palce u rąk i nóg, głowa porozbijana, brocząca krwią, krew ciekła z uszu, z nosa, z ust. Poobijane stopy, całe czarne, potwornie spuchnięte. Jak nam później przekazano, ojca kopano nieprzytomnego ze wszystkich stron. Nigdy tego nie zapomnę.

Dostali dwie godziny na spakowanie dobytku. Nie zabrali prawie nic, bo najważniejsze – myśleli – to ułożenie skatowanego ojca na furmance. „Czuł się bardzo źle, mama też ledwie chodziła”. Pojechali do Bełżca; wszyscy wiedzieli, co tam się działo niewiele wcześniej. Stacja kolejowa była przygotowana na deportacje.

Zabrali mamę na przesłuchanie. Ponieważ było bardzo gorąco, poszła skromnie ubrana w cieniutką bluzkę, takąż spódniczkę i boso. Miała zaraz do nas wrócić i nie wróciła, a my z umierającym w strasznych cierpieniach ojcem ruszyliśmy pociągiem. Kiedy dojechaliśmy do Wrocławia, słyszałam, jak starszy brat wysyłał młodszego po wojskowych, żeby nam pomogli, bo ojciec umiera. Kiedy wojskowi zabierali ojca na nosze, w niektórych miejscach ciała już nie było, odpadało od kości na naszych oczach, a spuchlizny ogólnie ojca nie da się nawet opisać. Ojca już więcej nie widzieliśmy, było to nasze ostatnie pożegnanie. Nas dowieziono do Legnicy. O mamie w dalszym ciągu nie wiedzieliśmy nic.

\*

Nie jest łatwo chłopakom bez frontowego doświadczenia wyrzucać ludzi z domów. Niewiele przeżyli, mało widzieli poza swoimi wsiami, sumienia jeszcze miękkie. Chyba że przyjmiemy pogląd obecny między niektórymi Ukraińcami, z ich punktu widzenia uprawniony i prawdziwy (bo coś jest na rzeczy), że każdy z tych

żołnierzyków chował się na *Ogniem i mieczem*, gdzie Ukraińcy to czerń. Byli z domu rzymskimi katolikami. Pobierali naukę wiary od proboszczów, najczęściej z narodowym zacięciem, i – tak zwykle się zdarzało – wywodzili się z chłopskiej rodziny, mieli wdrukowane w geny, że są reprezentantami wyższej, polskiej, katolickiej i oczywiście szlacheckiej kultury, cywilizującej (a może kolonizującej?) rusiński wschód.

Sadzano więc ich po salkach przejętych przez wojsko od miejscowych parafii albo wieczorami pod gołym niebem, gdzie prowadzono – tak to zwano – „gawędę żołnierską”, podpartą wspomnieniem o Lenino i zdobywaniu Berlina. Frontowcy byli herosami, ci ledwie ich poputczykami, naśladowcami. Dlatego – napominano – warto się będzie wykazać.

Nam, którzy przybyli na ten teren, Naczelne Dowództwo powierzyło zadanie bojowe o wiele mniejsze, niż wypełnili nasi koledzy na froncie. I nam starczy sił i odwagi, by powierzone zadania wykonać. Resztki band faszystowskich, które mamy doszczętnie zniszczyć, przedstawiają bez porównania mniejsze siły niż hordy hitlerowskie na froncie. Mamy olbrzymią przewagę uzbrojenia i zaopatrzenia. Jest nas siedemdziesiąt razy więcej niż band. Jesteśmy uzbrojeni w najlepszą na świecie broń [...]. I tą bronią wytępiamy resztki band faszystowskich UPA. Bandy ukraińskie nie są dla nas poważnym wrogiem. Są one bite przez wojsko polskie od niemal dwóch lat. Walki band z wojskiem polskim w bardzo dużej mierze wyszczerbiły ich szeregi. Bandytów są przemęczeni ciągłą tułaczką i niewygodą pobytu w lasach, są tropieni i ścigani bez wytchnienia przez olbrzymie oddziały wojska polskiego, rozbite i gnębione mogą być w bardzo krótkim czasie przez nas doszczętnie wyniszczone [...]. Strzelać musimy do ukraińskich zbrodniarzy celnie i pewnie. Nie wolno nikomu tchórzyc, nie wolno nikomu uciekać z pola walki [...]. Do walki z bandami zmusza nas świadomość o doznanych przez naród polski krzywdach od ukraińskich bandytów. Byłoby niegodnym narodu polskiego, gdyby ukraiński faszysta hasał bezpieczny po terenie Rzeczypospolitej [...]. My, żołnierze, nie możemy dłużej tego znosić, trzeba nam wyteńczyć wszystkie nasze siły do zwycięskiej walki z bandami UPA, którymi kierują hitlerowscy oficerowie [...]. Jesteśmy zbrojnym ramieniem narodu.

\*

Nadzieja wracała właśnie pieszo z Włodawy, gdy w ciemności zobaczyła sznur furmanek ciągnących drogą, usłyszała płacz ludzi i ryk wystraszonych zwierząt. Jest noc, luna tu, luna tam, kolumna trzymana pod bronią, a i tak ludzie ganiają jak otumanieni.

Nadzieja biegnie do domu. We wsi starzy we łzach całują progi chałup. Rozpacz, groza – starzy wiedzą, że to wywózka na zawsze. Na wozie stojącym przed jej rodzinną chałupą jest już jedzenie, ubranie w skrzyniach, lecz ani jednego mebla, bo nie pozwolili zabierać. Przyszli Polacy, kumowie ze strony mamy. Podstawili drugą furmankę, ale nic nie mogli pomóc.

W piecu wojsko podpaliło książkami, choć to czerwiec, noc z siedemnastego na osiemnastego była raczej ciepła. Rozkradają mamine kaczkę i gęsi. Ktoś w mundurze wygania owce z zagrody. Ktoś pruje poduchy (po co?), nad podwórkiem latają kłęby pierza. Ukraińcy w obłędzie, polscy sąsiedzi, przynajmniej ci spowinowaceni, z rozdziawionymi ze zdziwienia gębami. Młodzi żołnierze uwijają się jak w ukropie, klną, bluzgają, jeden, drugi szturchnie, raczej mocniej niż słabiej. Książki jakoś nie mogą się dopalić, a pod piecem leży jeszcze wielka ich sterta.

– Żeby człowiek żył tysiąc lat, nie zapomni – mówi Nadzieja, zerkając to na porcelanowe figurki stojące na półkach zaszklonej meblościanki, to na ikony. Nie patrzy w oczy, bo wtedy łatwiej zobaczyć, że wzrok ma szklany. – Żegnaliśmy się ze swoim życiem, poza wsią nie było świata, żadnej innej ojczyzny. Niby czas filtruje wspomnienia, łagodzi obrazy, ale nie odcedzi wszystkiego, nie ma bowiem jak.

Już po drodze do Włodawy Polacy ukradli im jedyną krowę. Kazali koczować przez kilka dni na łące przy dworcu kolejowym. Podstawiono towarowy skład, który wcześniej wysypano wapnem (powtarzano to na niemal każdym postoju). Upchnięto ludzi, dwie–trzy rodziny w jednym wagonie. Szarpanina, krzyki, że napad, rabują. Za takie krzyki żołnierze bili, nie patrząc, kobieta czy dzieciak.

Pociąg włókł się niemiłosiernie, czas nie chciał mijać, droga nie uciekała. Gdy transport stanął w szczerym polu gdzieś za Siedlcami, podeszli ludzie z pobliskiej wsi. Jeden zapytał: „*Wy kuda?*”, więc powiedzieli mu, że nie wiedzą. Zdziwił się, cholernik, że odpowiedzieli po polsku – dookoła poszła wieść, że takimi pociągami, w które sypią wapno, wiozą na zachód faszystów. Żeby faszysta po polsku mówił i na dodatek był tak niemiłosiernie złachany, chodził prawie w szmatach, żeby ciągnął ze sobą te liche krowiny, upiornie ryczące z głodu, chude



konie bez podków? Takich faszystów tu nie widzieli, zdziwieni bardzo i chyba współczujący.

Tak dojechali do Ornety w powiecie braniewskim.

\*

– Jak dzisiaj na to patrzę, to aż się dziwię, że nikt z nas nie uciekał – wspomina Maria. – Za pierwszych wysiedleń szliśmy do lasu, bo Polacy i Rusczy robili obławy tylko we wsi, a lasu się bali. Tam mieliśmy wszystko: konie, krowy, świnie. W lesie było ciężko, zimno, mokro, głodno. Ale bezpiecznie.

Teraz już – myśli Maria – chcieli tylko spokoju. Nawet nie jakiegokolwiek pewności, co się z nimi stanie. Ludzie po prostu mieli dość ciągłych uciezek i ukrywania się, wystawania po krzakach w obawie, że ktoś nadejdzie i kołowrót zacznie się znów kręcić. Niech się stanie, co ma się stać. Raz, a dobrze. Nieodwołalnie.

Na jednej furmance cały majątek rodziny Marii. Kolumna ruszyła z Żurawiec ku Rudzie Żurawieckiej, a potem na Lubyczę Królewską i Bełzec – znów Bełzec, gdzie przetrwała pierwszą deportację i gdzie bez przerwy śmierdzi palonymi ciałami. Nikt nie powiedział, jakie miejsce będzie kresem podróży. Nikt o to nie pytał; tłum wygnanych, a wszyscy jakby z boku, cicho, w samotności.

Marii zdaje się również, że prawie nikt ich nie pilnował. Nie pamięta żołnierzy ani żadnych dantejskich scen, nie pamięta krzyków, protestów, rozrywania szat. Jest za to bezwolność, zgoda na każde nieszczęście. Może gdyby ktoś się wydarł, postawił. Ale nie, wieś zamieniła się w ponury, maszerujący za wozami anonimowy tłum. Mogliby tak iść gdziekolwiek.

Najgorzej – wspomina – było już prawie na miejscu, na dworcu w Olsztynie. Trzymano ich w wagonach przez tydzień, może dłużej, nie wolno było wyjść ze stacji. Miejscowi – skąd Maria miała wiedzieć, że to również wysiedleńcy – przyglądali się transportowi bez żadnych uczuć. Czasem ktoś wyzwał od banderowców, ale nie żeby codziennie.

Po Żurawcach Olsztyn wydawał się miastem ogromnym. Tak samo jak Giżycko, z wielką taflą jeziora Niegocin tuż koło torów. Wreszcie mogli wyjść z wagonów. Znów ustawili się w kolumny, tym razem mniejsze, kierowane w różne miejsca, oddzielone od siebie lasami i jeziorami. Ruszyli w drogę, krowy dreptały za

wozami, uwiązane na sznurkach. Pierwszą noc spędzili w Pozezdrzu. Drugą – kawałek dalej.

Gdy znaleźli się w Rudziszkach, Maria pomyślała, że jest tu jeszcze bardziej pusto niż w Żurawcach. Powiedziano im, że to już koniec. Nikt nie uwierzył.

\*

Wraz z żołnierzami w rejon akcji „Wisła” pojechali dziennikarze. Kraj miał usłyszeć, jak władza ludowa radzi sobie z ukraińskimi faszystami i sługusami Hitlera. Jan Gerhard ze swoimi *Lunami w Bieszczadach* jest ledwie ich naśladowcą.

Na początku propaganda uznała, że trzeba opłakać w gazetach bardzo konkretnymi, podniosłymi słowami śmierć generała Waltera, który poległ z rąk „bandy ukraińskiej, złożonej z bulbowców, banderowców i innych bandytów”. Władysław Gomułka ogłosił nad trumną Karola Świerczewskiego, co przytoczyły gazety: „Pomścimy śmierć twoją, wytępiamy do ostatniego wszystkich faszystowskich niedobitków, gdziekolwiek jeszcze pozostają”.

A potem można było się rozhulać.

O walkach z UPA podczas akcji „Wisła” zamieszczały teksty „Głos Ludu”, „Życie Warszawy” czy „Żołnierz Polski”. Najczęściej były to cykle reportaży pisane przez specjalnych wysłanników. Nie miało znaczenia, że pierwsze odcinki ukazały się jeszcze przed rozpoczęciem wywózek. Teksty były gotowe już zawczasu.

Niektóre gazety pisały o zacofaniu ukraińskiego ludu, a jego ciemnotę tłumaczyły uciskiem ze strony polskich panów, rosyjskich bojarów i Żydów. Ale wnet dodawały, że na polsko-ukraińskim etnicznym pograniczu rozrósł się wrzód, a Ukraińcy, „zamiast spokojnie pracować u siebie, działają zbrodniczo między nami”, więc „sami na siebie wydali wyrok”. Ochoczo porównywano ukraińskie podziemie do oddziałów organizacji Wolność i Niezawisłość, zahaczając o jeszcze legalnie działające Polskie Stronnictwo Ludowe Stanisława Mikołajczyka.

Pisano o żołnierzach Wojska Polskiego idących nocą przez wymordowane przez banderowców wsie, gdzie drą się wniebogłosy tylko zdziczałe koty. O wycinaniu w pień i puszczaniu z dymem, o rabunkach, o znęcaniu się nad rannymi i o bezczeszczeniu zwłok. Oraz o szybkim i udanym zagospodarowaniu poukraińskich (nie używano tego słowa) terenów przez polskich osadników.

Korespondent „Sztandaru Ludu” już w pierwszej dekadzie czerwca 1947 roku dosłyszał „dźwięczne klepanie kos” we wsi Rzeczyca i skonstatował, że „ziemia tęskni za nowym gospodarzem”. Problemem, według gazety, była tylko wiejska szeptanka, przekazywana z ust do ust przez nieuświadomiony politycznie element, która rozwiewała się jednak jak dym z komina, bo wokół panował porządek i spokój.

Rzeczyca to jeden z najjaskrawszych dowodów na to, że w akcji „Wisła” szło głównie o wywózkę, a nie o walkę z UPA lub osadzenie polskich osadników w ukraińskich wsiach. Kilka tygodni po publikacji entuzjastycznego reportażu nikt w Rzeczycy nie organizował spółdzielni rolnej, posterunku Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, Samopomocy Chłopskiej. Wsi nikt nie chronił, bo i po co, skoro trzeba było się skupić na deportacjach. Została wnet spalona przez UPA, jak wiele innych wysiedlonych poukraińskich wsi. Ormowców zabito, a osadników wygnano. Nikt o tym nie napisał, ponieważ deportacja załatwiała definitywnie sprawę Rzeczycy.

\*

Dziennikarze jechali w teren również po to, żeby opisać zabitych i chwypanych przez wojsko partyzantów UPA. Nie szło im zbyt dobrze; zresztą po redakcjach zapewne krążyły ustne instrukcje, usłyszane podczas propagandowych odpraw w najważniejszych centralach, jak trzeba pisać o leśnych.

Najczęściej więc upowcy mieli tępe, zawzięte twarze. Wyglądali na okrutników, ludzi zdolnych do największych zbrodni. Śmierdzieli, bo przecież się nie myli. „Z brudu, jaki się widzi wśród zabitych i ujętych członków band, widać, że mydła jest brak”. „Twarze ich pokryte są dawno niegolonym zarostem i brudem. W złachmanionej odzieży. Swym wyglądem zewnętrznym przypominają zupełnie owych to zbójców, o których poeta pisał, że »wzrok ich dziki i suknia plugawa«”.

Ale już oficerowie, jakby chcieli dodać sobie wojennych przewag, meldowali dowództwu, że partyzanci są świetnie przygotowani do walki, często umundurowani w sowieckie bluzy i wojskowe płaszcze z Zachodu. Dowództwo narzekało, że brakuje bitewnych sukcesów z uwagi na rozproszenie podziemia i unikanie walnych starć. Wszyscy się zgadzali, że upowcy mają broń starannie wyczyszczoną i naoliwioną. To była podobno – pisały gazety – cecha rezuna.

Generał Korczyński donosił:

Nastawienie podziemia ukraińskiego do akcji przesiedleńczej jest mniej więcej następujące: przesiedlaniu na ogół nie przeciwstawiają się, ale siatka wojskowa i cywilna ma rozkaz pozostać na terenie w bandach. Tym niemniej wyczuwa się, że pewna z góry nastawiona część siatki jedzie z rodzinami celem utrzymania łączności organizacyjnej (często w przebraniu za chłopów). Prócz tego wyczuwa się przemykanie członków band, którzy dezertują z oddziałów, by nie rozstawać się z rodzinami [...]. Bandy chodzą głodne i nastrój u nich pogarsza się z dnia na dzień. Porwano łączność, zniszczono bunkry. Wyników bardziej efektywnych należy oczekiwać w tych dniach.

Grzegorz Korczyński miał rację: sotnie UPA ledwie dyszały, i to nie w wyniku przesiedleń, lecz przede wszystkim beznadziejnej walki.

Trwa za nami nieustanny pościg. Niejednokrotnie zdarza się, że przez dwa–trzy dni nie jemy, nie mówiąc już o zaspokajaniu najprymitywniejszych potrzeb. Wojska nasze są teraz tak przemęczone, że mają ogromnie nędzny wygląd. Najbardziej odczuwany brak odzieży (jesteśmy obdarci), obuwia, bielizny. Obecnie, po wysiedleniu ludności z wiosek, warunki pogorszyły się. Polacy tropią nas nieustannie i wydaje się, że nie ma już dla nas miejsca na ziemi.

Sam „Chrin” zapisał po potyczce, w której zginął Karol Świerczewski:

Otrzymujemy od wszystkich gratulacje. Nazywają nas „rycerzami Łemkowszczyzny”. Ale ci „rycerze” tak wyglądają, że można ich wysłać na postrach ludziom. Chodzimy wszyscy obdarci. Płaszcze popaliliśmy przy ogniskach, bo nie mamy taboru (pięć nam rozbili). Niektórzy nie mają nawet koszuli ani kalesonów. Nikt nie goli się, bo nie ma mydła, ogień dobywamy, krzesząc hubki, i obserwujemy, czy nie pali się gdzieś trawa, podpalona przez Polaków. Dużo strzelców chodzi w łapciach z krowiej skóry.

Dodał za jakiś czas: „I my zostaliśmy jak Robinson Crusoe, nie mamy żadnych wiadomości ani gazet – w ogóle nie mamy. Jakoś przeżyjemy, byle było zdrowie”.

I jeszcze Jarosław Hamiwka (za PRL-u zmieniono mu nazwisko, bo ktoś mógłby go strzelić za dawną zdradę), partyzant UPA, ale już za pierwszej sowieckiej okupacji wschodnich ziem Rzeczypospolitej współpracownik NKWD, a potem agent polskich służb, wykorzystywany do rozbicia sotni „Chrina”:

W wyniku tego przesiedlenia zerwane zostały wszelkie kontakty, jakie zapewniała sieć agencyjna ludności cywilnej. UPA znalazła się na obszarze opustoszałym, bez zaopatrzenia, bez zapasów [...]. Tragedią UPA jest to, że zmuszono ją myśleć o żołądki. Głód, nastrój niepewności, brak oparcia dla łączników spowodował depresję i psychiczne załamanie.

Z kolei oficer polityczny z sotni Eustachego Brewki „Kłyma” zauważył: „Zdawano sobie sprawę, że to już koniec partyzantki, po co dalej walczyć, co pomaga wywieszanie Ukraińców przez Urząd Bezpieczeństwa za byle głupstwa?”.

Czym emocjonalnie się różnią te meldunki od świadectw obrońców Czerniakowa ostatnich dni powstania warszawskiego? Niczym. Więcej nie warto gadać.

Do połowy maja 1947 roku wojsko zabiło ponad sześćdziesięciu upowców, a aresztowano ponad pół tysiąca podejrzanych, z czego wielu już w transportach. Przy okazji wpadło kilkunastu polskich konspiratorów organizacji Wolność i Niezawisłość. Tak czy siak Warszawa nie była zadowolona z przebiegu akcji. - Żądano więcej i mocniej.

# Ukraińska procesja

Pierwsi ukraińscy więźniowie przyszli do Jaworzna już 9 maja 1947 roku. Było ich kilkunastu, maszerowali niewielką kolumną w asyście uzbrojonych wojaków od stacji kolejowej w Szczakowej. Mieszkańcom rozpowiedziano, że żołnierze prowadzą za druty „morderców świętej pamięci generała Świerczewskiego”, więc na umęczonych ludzi posypały się obelgi i kamienie.

Sam obóz był już gotowy od hitlerowskich czasów. Utworzono go w 1943 roku jako jedną z kilkunastu filii KL Auschwitz dla przymusowych robotników eksploatowanych w pobliskiej, właśnie rozbudowywanej elektrowni i w śląskich kopalniach węgla. Nazywał się Neu Dasch. Baraki mogły pomieścić pięć tysięcy niewolników – byli to głównie Żydzi z podbitej Europy – a pilnowały ich dwie setki esesmanów.

W połowie stycznia 1945 roku Jaworzno zostało zbombardowane przez sowieckie lotnictwo. Samoloty zniszczyły obozową kuchnię i magazyn z żywnością. Z obozu w zwartych kolumnach wyprowadzono trzy tysiące więźniów, gnając ich do lagru w Gross-Rosen na Dolnym Śląsku, a po drodze mordując tych, którzy nie wytrzymywali tempa marszu śmierci.

Nie minął miesiąc, a w nienaruszonej infrastrukturze kacetu (nie działała tylko kuchnia, baraki wyglądały jak spod hitlerowskiej igły) znów zaczęto zamykać. Tym razem jeńców niemieckich, „zdrajców Narodu Polskiego” (kogokolwiek za takiego uznano, mógł być nawet żołnierzem antyniemieckiego podziemia), folksdojczów, kolaborantów i Ślązaków. Wiek, płeć czy ewentualna wina nie miały większego znaczenia. Pracowali – jak za III Rzeszy – w pobliskich kopalniach. Marli z głodu i chorób; w Jaworznie wybuchły epidemie tyfusu i duru brzuszego.

W takie miejsce zwożono „podejrzanych Ukraińców” z grup oznaczonych podczas deportacji literami „A”, „B” i „C” – osoby notowane przez Urząd Bezpieczeństwa, obserwowane przez zwiad wojskowy lub wskazywane w punktach zbornych przez agenturę i uznane za niepewne. Żeby trafić do Jaworzna, wystarczył donos nieprzychylnych sąsiadów.

Pułkownik Oskar Karliner, za Stalina zastępca prezesa Najwyższego Sądu Wojskowego i drohobyczanin z urodzenia, był postacią raczej paskudną. Bozia dała mu urodę Rudolfa Valentino, ale również charakter politycznego fanatyka i skłonność do bicia. Komunista od młodości, adept prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim i więzień polityczny II Rzeczypospolitej, złapał wiatr w żagle po 1945 roku. Oskarżał kierownictwo Polskiej Partii Socjalistycznej – WRN, uzasadniał akt oskarżenia w procesie generała Stanisława Tatara. Wcześniej, w trakcie akcji „Wisła”, był prokuratorem w Krakowie; obóz koncentracyjny w Jaworznie znajdował się pod jego jurysdykcją.

Komisja do zbadania odpowiedzialności byłych pracowników Głównego Zarządu Informacji, Naczelnej Prokuratury Wojskowej i Najwyższego Sądu Wojskowego (powołana w 1956 roku) – pisał Igor Hałagida w pracy o Jaworznie – ustaliła, że Karliner jest odpowiedzialny między innymi za wprowadzenie praktyki przedłużania aresztów, zapoczątkowanie w NSW bezzasadnego zaostrzania represji karnej i wyrokowanie na podstawie niepewnych dowodów, wywieranie nacisku na sąd w kierunku skazania na określone wysokie kary (według sugestii organów bezpieczeństwa, jak również z własnej inicjatywy) i za nastawianie wyroków sądowych na jak najdalej idącą uległość wobec żądań organów śledczych i prokuratury z pogwałceniem prawa oskarżonych do obrony. Mimo że Komisja wnioskuje między innymi degradację Karlinera do stopnia majora rezerwy i zakaz pracy w wymiarze sprawiedliwości na pięć lat, 13 grudnia 1956 został zdemobilizowany w stopniu pułkownika. W 1957 roku został dyrektorem Zespołu Współpracy Międzynarodowej w Biurze Pełnomocnika Rządu ds. Wykorzystania Energii Jądrowej.

W marcu 1968 roku, na fali antysemitycznej histerii, Karliner został wydalony z partii komunistycznej, wyrzucono go również z pracy. Krótko później wyjechał do Izraela.

Ale w sprawie Jaworzna Karliner, twardy – co wynika z dokumentów i z zeznań ofiar – stalinowski prokurator, meldował:

Wśród aresztowanych znajdują się Polacy [garstka, ale kto wówczas tym się przejmował], Ukraińcy, którzy po odbyciu kilkuletniej służby wojskowej

w Armii Czerwonej wrócili z odznaczeniami, starcy, kobiety brzemiennie, chorzy i nieletni, bez jakichkolwiek dowodów winy, którzy dostali się do Jaworzna przypadkowo, w nawale pracy grup operacyjnych zajmujących się wysiedlaniem. Stwierdzono, że w niektórych wypadkach właśnie sąsiedzkie i pomówienia o współpracę z bandami były powodem skierowania danego osobnika do Centralnego Obozu Pracy.

Można przypuszczać, że Karliner był zaskoczony ogromem bezprawia (nawet wedle ówczesnych reguł!) dziejącego się w Jaworznie:

Formalnie prokuratura orzekła na wniosek organów Bezpieczeństwa Publicznego areszt tymczasowy w stosunku do około dwóch tysięcy osób. Natomiast około tysiąca osób, faktycznie aresztowanych, przebywa w COP Jaworzno bez sankcji prokuratorskiej na areszt mimo moich wielokrotnych interwencji w tym kierunku.

Meldunki stalinowskiego prokuratora robią wrażenie:

Nadmieniam, na podstawie moich osobistych obserwacji, jak też spostrzeżeń oficerów prokuratury, że osoby przetrzymywane w COP w Jaworznie pod zarzutem współdziałania z UPA są tam o wiele gorzej traktowane niż przebywający w obozie w ilości kilku tysięcy niemieccy jeńcy wojenni i podejrzani o współpracę z okupantem względnie odstępstwo od narodowości polskiej, czego dowodem jest nieproporcjonalnie wysoka śmiertelność wśród pierwszych w stosunku do drugich, wśród których przypadek śmierci należy do rzadkości.

To pismo z grudnia 1947 roku – od wywózek Ukraińców nie minęło nawet dwanaście miesięcy. Albo:

Stwierdzam, że wielka ilość aresztowanych, względnie przetrzymywanych w Jaworznie, kwalifikuje się do zwolnienia. Są tam osoby narodowości polskiej, które terroryzowane przez bandy „płaciły” im kontrybucję, nie donosząc o tym władzom, w obawie przed represjami ze strony band, które były w niektórych okolicach silne i bezkarne, z uwagi na niedocenianie problemu UPA przez organy władzy, ograniczające się do „represji bieżącej”. Ponadto jest w Jaworznie wiele



osób, które znalazły się tam zupełnie przypadkowo, w toku akcji przesiedleńczej oraz wskutek nawału pracy organów wojska i Bezpieczeństwa Publicznego, a nawet w poszczególnych wypadkach nadużyć ze strony niektórych, nieuchwytnych dziś funkcjonariuszy [...]. Nadto w Jaworznie przebywają starcy (Ukraińcy) i nieletni, kobiety z dziećmi, w stosunku do których brak jakiegokolwiek materiału obciążającego. Nadmieniam, że ostatnio coraz częściej otrzymuję projekty postanowień o umorzeniu postępowania z uwagi na śmierć podejrzanego, stwierdzoną świadectwem lekarza obozowego. Daleki jestem od podejrzeń gwałtownej śmierci, niemniej wycieńczenie i chłody mogą spowodować wzmożenie śmiertelności w Jaworznie [...]. Obawiam się, że zagadnienie „Jaworzna” stało się wstydliwym tematem, o którym nie można mówić bez narażenia się na podejrzenie pobłażliwości czy też wyrozumiałości dla upowców. Należy jednak rozgraniczyć zagadnienie represji od przypadkowego przetrzymania i jak najszybciej przystąpić do zwalniania przypadkowych „mieszkańców” Jaworzna.

\*

Oskar Karliner miał (we własnym mniemaniu, lecz nie tylko) najlepsze powody, by być gorliwym stalinowskim prokuratorem. Żyd z przedwojennych Kresów, ideowy komunista jeszcze w latach trzydziestych, ocalony z Zagłady, bo uciekł do ZSRR; wszystko to sprawiało, że walkę z faszyzmem – a tak traktował ukraiński opór wobec nowych polskich porządków, ale też polskie podziemie od AK po NSZ – uważał za sprawę wartą nadzwyczajnych środków. Czynił zło, lecz wiara w stalinizm stępiła ludzkie uczucia, a swoje dołożyły okropności wojny; dawała mu fałszywe alibi. Może faktycznie – jak pisał – nie wierzył, że w Jaworznie katuje się Ukraińców na śmierć. Nawet jednak on donosił przełożonym, że obóz koncentracyjny i panujące w nim porządki to barbarzyństwo.

\*

Dla bez mała czterech tysięcy Ukraińców wydzielono specjalny podobóz – pięć baraków męskich i dwa kobiece oraz specjalny budynek do przesłuchań – oddzielony od reszty Jaworzna dodatkowym drutem kolczastym. Każdy barak dzielił się na trzy sale z gęsto ustawionymi drewnianymi pryzkami. Więźniom nie wolno było przysiądać na nich w ciągu dnia, a ponieważ w sporej części nie

wychodzili do katorżniczej pracy, w zasadzie mogli tylko stać lub kucać. Już jesienią 1947 roku ponad sześćdziesiąt procent uwięzionych nie miało butów. Wszyscy byli zziębnięci i osłabieni. Panowała wszawica. Wybuchła epidemia tyfusu. Nie dezynfekowano latryn, nie pozwalano się myć, a nawet jeśli, to nie było mydła. Władze Jaworzna twierdziły za to, że choroby wśród więźniów szerzą się dlatego, że Ukraińcy nie umieją przestrzegać podstawowych zasad higieny. W obozie rodziły się dzieci; pewna Ukrainka musiała podrzeć jedyną spódnicę, by owinąć noworodka.

Posługiwano się stalinowską technologią przesłuchań i torturami stosowanymi przez dwie specjalne grupy śledcze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Na porządku dziennym było uporczywe bicie (ręką, deską, kablem, metalowym prętem), elektrowstrząsy, zrywanie paznokci i wbijanie szpilek, podwieszanie za wygięte przedramiona i „pal Andersa”, czyli sadzanie przesłuchiwanego na nodze od stołka. Więźniów zmuszano do wielogodzinnych marszobiegów, czołgania się w błocie i w śniegu, stójek, „żabek”, przysiadów. Wielu umieszczano na długie godziny w karcerze wypełnionym do połowy zimną wodą.

„Najwięcej ludzi zginęło od śledztwa, a nie od głodu czy musztry – opowiadał Bazyli Tokarczuk we wspomnieniach z Jaworzna opracowanych przez historyka Bohdana Huka. – Na śledztwie ludzi bito, a umierali oni w barakach. Rzucali się ludzie na drut elektryczny. Było komu bić, bo śledczych naliczyliśmy około siedemdziesięciu. Bili tak, że ciało odpadało, i dalej bili”.

Śledczymi w Jaworznie byli często bardzo młodzi słuchacze kursów Centralnej Szkoły Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi oraz funkcjonariusze delegowani niemal z całej Polski. Nie mieli dużo czasu, więc musieli się sprawdzać już od pierwszego dnia. Gówniarze zacządzeni komunistyczną wizją lepszego świata i zwykli sadyści, ale też ludzie mszczący się za wojenne krzywdy na każdym, kto podszedł pod rękę. W opiniach służbowych chwalono ich za inicjatywę osobistą, prawowitość i zapał, pomysłowość, „wielkie zdolności operatywne”. „Umie zachęcać agenturę celną i odpowiednio wykorzystywać. Jest zdyscyplinowany i pilny”.

Twarze nadzorców są na zdjęciach. Najczęściej pocziwe; niespełna trzydziestolatkowie w mundurach ze stójkami lub w marynarkach pod krawatem. Pies tańcował z ich nazwiskami. Nie warto pamiętać.

Być może właśnie w Jaworznie odkryto słynne później w Polsce Ludowej „ścieżki zdrowia”, zwane tu „ukraińską procesją”. Uwięzionego wpuszczano

w szpaler funkcjonariuszy, bito tym, co kto miał w ręku. Z czasem w barakach podobozu ukraińskiego brakowało desek na pryczach – zużyto je podczas tortur i „procesji”.

Baraki nadzorowali kapo, czyli tak zwani gońcy. „Nadbarakowym był Węgrzyn z Birczy. Spod Sanoka pochodził Jagniszczak – mówił Tokarczuk. – Jemu i hitlerowiec nie dowierzałyby. Węgrzyn, dobrze zbudowany mężczyzna, podchodził, uśmiechał się do więźnia i bił go. Był urodzonym katem”.

„Szczególnie bolało to – zapamiętał ksiądz Jarosław Hrebeniak – że obozowej administracji udało się do tej brudnej i ohydnej roboty zwerbować naszych ludzi – takich samych aresztantów jak my [...]. Owi nieludzie rozdawali jedzenie, wydawali je według własnego uznania, zatrzymywali dla siebie to, co »najlepsze«. Na dany im znak stawali w drzwiach bloku i nahajkami bili po plecach wszystkich, którzy wychodzili przez drzwi na apel, który odbywał się na zewnątrz przed barakiem”.

Kolejną torturą był głód. Śniadanie – pół litra czarnej kawy i ćwiartka gliniastego czarnego chleba, którą trzeba było oszczędzać aż do kolacji. Obiad – gorąca woda i kilka kawałków brukwi. Kolacja – znów pół litra kawy.

Personel obozu rozkradał przydziały jedzenia dla siebie, za to tępił każdą próbę jego zdobycia. „Któregoś dnia podczas spaceru wokół baraku schyliłem się i podniosłem ogryzek jabłka – opowiadał Mirosław Omelan. – Zobaczył to wartownik z wieży, dostałem dziesięć razy deską”.

„Ze mnie był taki mężczyzna, że ważyłem dwadzieścia pięć kilogramów – mówił Roman Pupiec o powrocie z Jaworzna. – Matka chowała przede mną jedzenie, ale jak ona zajęła się czymś, to sam brałem, co mogłem, i jadłem, jadłem. Jeszcze trochę, a zrobiłbym rodzinie Jaworzno, bo wszystko bym zjadł. Raz pojechałem do Gdańska, w śmietniku leżały rybie głowy – poszedłem i zjadłem”.

\*

Stół był, pamiętam, szeroki i z grubego drewna. Stał na nim najpewniej posrebrzany krucyfiks, a na ścianach znalazło się miejsce dla krzyża i kilku ikon. Niewiele, bo resztę zastawiały książki i papierzyska, wciśnięte w niezgrabne, krzywe regały, więc dlatego – mimo że za otwartym oknem stało słońce i iskrzyły się dachy Przemyśla – w pokoju pachniało kurzem, może farbą drukarską, a może wspomnieniami. Ksiądz mitrat Stepan Dziubina patrzył na mnie łaskawie, ton jego

głosu zaś, spokojny, naznaczony latami kazań, modlitw i spowiedzi, był cichy, łagodny i jakoś protekcyjnalny. Zdało mi się wówczas, że ksiądz mitrat miesza w swoim głosie akceptację i przyganę, bo – jego zdaniem – nic nie rozumiałem. Drobny, w grubych okularach, no i dobry dla ludzi – wszyscy tak mówili.

Miał rację – rozumiałem mniej niż dzisiaj, a i byłem pełen dobrych myśli, które on, łysy staruszek w prostej sutannie, wywalał do góry nogami. Może miał zdolność dalekowidzenia, a może siedziało w nim przeszłe, jak drzazga za paznokciem?

Pewnie jedno i drugie – rozmawialiśmy ze dwadzieścia lat temu, gdy wydawało mi się, że polsko-ukraińska przeszłość odchodzi w imię pojednania, doznane cierpienia wyparowują zaś spod skóry. Tymczasem mitrat Dziubina rachował ukraińskie krzywdy, wypominał ofiary, grzmiał o poniżeniu, powtarzając, że Polak to pan, a Ukrainiec w polskich oczach – cham.

Nie był ksiądz mitrat łatwym rozmówcą. Wyłożył mi samą prawdę, a podał ją tak, że zabolalo. Nie pasowała, zdawało mi się, do tamtych czasów. Zresztą – nie tylko mnie.

– Nasi sąsiedzi – powiedział w homilii, która sprawiła, że się spotkaliśmy – bardzo często kochali swój naród z wielką krzywdą dla naszego, ukraińskiego narodu, i dlatego było tak wiele ofiar. Było tak wiele ofiar, bo Polacy nie chcieli po chrześcijańsku, po bożemu się dogadać.

I jeszcze:

– Na całym terenie dzisiejszej Polski zginęło pięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu Polaków. Proszę porównać: Polaków zginęło niecałe sześćset osób, a Ukraińców około ośmiu tysięcy, a niektórzy mówią, że ponad dziesięć. A więc kto mordował? Kto kogo mordował, pytam?

Wołyń i Galicja Wschodnia, gdzie w bratobójczym konflikcie ginęli przede wszystkim Polacy, nie były w centrum zainteresowania księdza mitrata. Ale wówczas wydawało się, że jeden stary ksiądz, pilnujący kanonicznie świętej – ze swojego punktu widzenia – wersji historii to dinozaur minionego.

Dziś pewnie inaczej bym o nim pomyślał.

\*

Nieformalnym liderem koncentra w Jaworznie mógłby być ksiądz Eugeniusz Chylak, Łemko, jeszcze za rozbiorowych czasów patriota Wielkiej Rusi i Moskwy.

Mówiono o nim „rusofil” i być może dlatego przesiedział podczas I wojny światowej w austriackim obozie koncentracyjnym w Talerhof, gdzie cesarsko-królewscy nadzorcy wybili prawie całą łemkowską inteligencję.

Niełatwo było mu za II Rzeczypospolitej, no i za Niemca – siedział w więzieniu i został internowany w Kielcach, podejrzany o rusofilskie sympatie. Z Jaworzna wyszedł po sześciu tygodniach, podpisując zobowiązanie: „Ja, Chylak Eugeniusz, daję ten podpis w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie z tym, że przyrzekam dobrowolnie okazywać pomoc w walce z ludźmi podrywającymi siłę i jedność narodu polskiego. Wszelkie wiadome mnie wystąpienia przeciwko rządowi polskiemu zobowiązuję się donieść do WUBP. Doniesienia swoje będę podpisywał pseudonimem »12«. Współpracę swoją zobowiązuje się trzymać w ścisłej tajemnicy”.

Nie był jedynym, którego złamali śledczy. Bo i represje oraz szykany spadające na duchownych – bez różnicy: prawosławnych czy greckokatolickich – były szczególnie wymyślne. Głód i tortury nie wystarczały. Trzeba było ich upodlić, odebrać im każdy skrawek godności.

Prawosławnego księdza Damiana Towstiuka podczas zatrzymania wywleczono z cerkwi, zdjęto mu z szyi krzyż, zawieszono karabin i prowadzano po wsi Waręż, leżącej do korekty polsko-sowieckiej granicy w 1951 roku na wschodnim koniuszku Polski, i wołano: „Oto ksiądz banderowski!”.

Księdza Emiliana Kotysa, uwięzionego w Jaworznie razem z córką Iwaną, pobito przy wsiadaniu na ciężarówkę; był gruby i niedołączny.

Księdza Aleksego Kolankowskiego – był jedynym ukraińskim duchownym, od którego wydobyto zeznania świadczące o kontaktach z UPA – skazano w raptem półtoragodzinnej rozprawie na dziesięć lat więzienia. Zarzucono mu, że „wyspowiadał członków bandy” oraz że „w pierwszym dniu Świąt Wielkanocnych został zaproszony celem poświęcenia produktów żywnościowych zgodnie z tradycją. Poświęcenie to odbył w lesie Dahany oddalonym od Werchratedy o pięć kilometrów i wraz z członkami bandy, których było około stu, spożył święcone”.

Kolankowski przeżył Jaworzno, ale najpewniej został utopiony w beczce przeciwpożarowej przez strażników w więzieniu w Sztumie, gdzie odsiadywał wyrok.

Ksiądz Dziubina nie krył się z opowieściami o Jaworznie, ale też nie ogłaszał ich publicznie, a po 1989 roku, gdy wreszcie można było mówić głośno o obozowych przeżyciach, nie eksponował własnej krzywdy. Miałem wrażenie, że uważał się za wyjątkowego kapłana, któremu wierność narodowi i obrona grekokatolicyzmu odebrały nadzieję na sakrę biskupią. Gdy już rezydował w Przemyślu, słał listy do Jana Pawła II: „Teraz jest w Polsce prześladowanie, jakiego nie zna historia Kościoła katolickiego, bo prześladowanie katolików przez księży i biskupów katolickich”, więc siłą rzeczy nie był faworytem przemyskich ordynariuszy. Prezentował się jako strażnik ukraińskiej historii („chciałbym, żeby Przemyśl był na Ukrainie, bo założyli go Rusini. Ale to tylko marzenia”), lecz nigdy nie podkreślał nadzwyczajności i szczególnej martyrologii swojego losu.

Opowiadał mi, jak z rodzinnego Gładyszowa jechał do Gorlic za karawanami wysiedlanych Łemków, którzy na oczy nie widzieli w swoich lasach upowskich sotni. Zwinięto go na peronie i zamknięto w gorlickim areszcie UB, gdzie przez dwa tygodnie słuchał krzyków torturowanych. Proponowano mu zwolnienie w zamian za współpracę. Odmówił, zawieźli go zatem do Jaworzna i znów namawiali, by został agentem.

– Wierzyłem, że w moim uwięzieniu jest jakiś wyższy zamysł – wspominał, patrząc zza grubych szkieł. – Nie mogłem donosić, więc moim udziałem stał się normalny ukraiński los. Wyszedłem bardzo wyniszczony, ale moralnie przetrwałem.

Wiadomo, że w Jaworznie ksiądz Dziubina spowiadał uwięzionych, a nawet ochrzcił potajemnie ukraińskiego noworodka. No i płakał, gdy patrzył na niedolę współosadzonych. O sobie zanadto się nie troszczył. We wspomnieniach zapisał, że polscy strażnicy wyszukiwali spośród więźniów tych szczególnie zdemoralizowanych. Dziubinę upatrzyli sobie Józef Iwanow z Sanoka oraz Stefan Węgrzyn (obu zanotowano w wielu opowieściach o obozie): „Prawdopodobnie administracja obozowa, dowiedziawszy się, że wyjątkowo nie lubi księży, wszystkich ich dała pod jego nadzór. On [Węgrzyn] rzeczywiście okrutnie nas wszystkich katował, zadając fizyczne i moralne tortury”.

By moralnie poniżyć księży, wymyślano nam inne prace – wspominał Dziubina. – Gdy spadł pierwszy śnieg, wydano nam nakaz zamieść go z drózek między barakami wysypanymi żużlem. Zmiecione błoto kazali nam kłaść na wóz, któremuś z księży zaprząc się, a innego duchownego wsadzili na błotnistą

kupe na wozie, dawali miotłę i pośród krzyku oraz śmiechu wywozili poza terytorium baraków. Jednego razu znaleźli między barakami zdechłego kota. Zmusili księdza Jurija Mencińskiego do urządzenia mu pogrzebu. Narzucili na niego jakąś płachtę, która miała imitować ornat, w rękę wetknęli miotłę, zgonili innych więźniów. Po drwinach nareszcie zanieśli kota na śmietnik za barak i zakopali.

Strażnicy i gońcy jeździli na księżach wierzchem. W święta religijne zganiali ich do obozowych latryn lub pod strażnicze wieże i kazali śpiewać pieśni. Ksiądz Julian Krynicki zmarł w wyniku tortur. Zapamiętany został szczególnie, bo jako jedyny duchowny miał pogrzeb w trumnie, choć córce, również uwięzionej w - Jaworznie, nie pozwolono uczestniczyć w uroczystości.

Gdy po trzech miesiącach pobytu w koncentracji ksiądz Dziubina ciężko zachorował, leczyli go więźniowie z niemieckiej części obozu: jeńcy wojenni i folksdojcz. W szpitalu widział, jak lekarze dają najciężej chorym śmiertelne zastrzyki – wyjaśnili mu, że to eutanazja ze względów humanitarnych. Poznał też polskiego katolickiego księdza z pobliskiej parafii, spowiadającego więźniów. Po spowiedzi poprosił go o przekazanie wiadomości rodzinie. Kapłan odmówił.

Informację o uwięzieniu księdza Dziubiny przekazał wywiezionej rodzinie folksdojcz wychodzący z Jaworzna. I co tu się dziwić, że ksiądz był ostry w sądach?

\*

A tak wspominał Jaworzno Włodzimierz Pajtasz. Jego słowa zarejestrował Andrzej Kryk, dziś z Harszu na Mazurach:

Pożegnawszy się z najbliższymi w domu rodzinnym (Przekopane, peryferie Przemyśla), wyjechałem do Krakowa na ulicę Wiślną do ojca Mykoły Deńki, który był duszpasterzem wiernych obrządku greckokatolickiego i zarazem moim dawnym profesorem. Celem mojego przyjazdu do Krakowa było znalezienie pracy i „przeczekanie” akcji „Wisła”.

W pomieszczeniach sąsiadujących z kancelarią przebywała pewna kobieta z dzieckiem (żona jednego z partyzantów) i młoda dziewczyna zatrudniona na stałe. Na plebanii byłem od tygodnia. 8 maja 1947 roku udałem się na pocztę z zamiarem wysłania listu do rodziców i przyjaciół z Ukrainy. Plebania tworzyła

z cerkwią jedną wspólną zabudowę. Główne drzwi prowadziły prosto do cerkwi, a gdy ta była zamknięta, to po schodach na prawo – do kancelarii parafii. Podszedłem do głównych drzwi i zadzwoniłem do kancelarii. Otworzyły się drzwi i naprzeciwko mnie wyskoczyło dwóch cywilów z rewolwerami i okrzykiem: „Ręce do góry – rewizja!”. Zorientowałem się, że stoi za nimi mitrat Mykoła Deńko i patrzy na mnie. Za księdzem na ścianie wisiał wielki krzyż. Ojciec Deńko zasłonił sobą Jezusa. W tym momencie odniosłem wrażenie, jakby to ksiądz mitrat wisiał na krzyżu. Oprócz ojca Deńki w kancelarii znajdowali się interesanci, którzy przyszli w jakiejś sprawie, mianowicie Ołeniak i Małynowski (obaj z Przemyśla) i jeszcze dwóch cywilów (sierżant w cywilu ożeniony z grekokatoliczką oraz jego teść). Ci, którzy trafiali do kancelarii, nie mogli już z niej wyjść, miejsce to można by określić mianem „kotła”. Do wieczora znalazło się w nim około dwadzieścia osób. Nocą wywieziono nas samochodem do budynku milicji (bezpieki) i umieszczono w piwnicach – celach. Wszyscy zostali rozdzieleni. Ja trafiłem do celi, w której byli akowcy i członkowie WIN-u.

\*

Zima to czy już wiosna? Drzewa przy drodze ciągle mają czarne, bezlistne gałęzie, rozcapierzone, rosochate – tak tu jest. Ale lód na jeziorze Harsz wygląda jak zsiadłe mleko w kamiennym garnku: miejscami szare aż do czarności, pocięte żyłami wypływającej wody, gdzieś tam też jednak białe, świeżo zmarznęte. W kałużach otwartej wody pływają łabędzie, przy brzegach zwiędłe trzciny, bure jakoś i szeleszczące, gdy tylko zawieje wiaterek. Zimno, nikogo nie ma. Przyjdzie lato, przyjadą turyści, bo miejsce piękne, niedaleko do Sztynortu, z wiekową, obróconą w ruinę siedzibą pruskich grafów Lehndorffów, portem jachtowym i mazurską tawerną Zęza, znaną we wszystkich generacjach żeglarzy.

No więc drzewa się szczerzą ku niebu, mróz ledwie trzyma, zaraz przylecą żurawie, a Andrzej Kryk, dziejopis tych ziem, opowiada:

– Te trzy drzewa, w cholerę nikomu niepotrzebne, spróchniałe, stoją na samej krzyżówce – mówi. – Krzyż pod nimi na pamiątkę, kobiety czasem przyjdą na majowe, ktoś wstążki zawiesi, nic więcej. Trzeba by było je wyciąć, bo zagrażają, ale miejscowi nie ruszą. To miejsce naznaczone.



Kiedy to było, nikt w Harszu nie pamięta. Trzech chłopców znalazło na skrzyżowaniu drogi bitej i piaskowej kilka min czołgowych albo przeciwpiechotnych, w sam raz ułożonych pod drzewami, podówczas zgrabnymi, bez przerostów i śladów na pniach po uderzeniach samochodów. Majdrowali, majstrowali, grzebali, aż – bum, poszli do nieba. Wybuch rozrzucił zwłoki, kto mógł i się nie brzydził rozerwanego, ten zbierał. Pochowali tych łebków na miejscowym cmentarzu, który pamięta jeszcze ofiary wielkiej zarazy pustoszącej Mazury za pruskich czasów. Zabrakło jednej nogi.

– Mama opowiadała, że od tego wybuchu nie może spać. – To lokalna historia, którą znają wszyscy, nie tylko Andrzej Kryk. – Budziła się w nocy, krzyczała, przychodziło do niej beznogie ciało jednego z chłopców, duchy jakieś. To, proszę pana, w ogóle jest kraina duchów.

Noga znalazła się – musiały minąć miesiące – o setki metrów od drogi, nad samym Harszem, w jakichś zbyt gęstych krzakach. Pochowali tę nogę i sny odeszły. Lecz duchy nie znikły.

No bo jak wytłumaczyć, że Andrzej Kryk, człowiek wykształcony, nauczyciel, pewnego dnia poczuł, że musi kupić kamerę wideo i jeździć po okolicy, żeby nagrywać. Szukał Polaków przywiezionych tu po wojnie. Dotarł do Niemców i rodowitych Mazurów; kto by dziś wiedział, że w Pieczarkach (dawniej Pietzarken) nad Darginem mieszka rodzina niemieckiego mistrza przedwojennych olimpiad w rzucie dyskiem.

Lecz przede wszystkim szukał swoich, Ukraińców z akcji „Wisła”. Może nie tak – Ukraińców z „Wisły” jest tu tak dużo, że nie trzeba ich szukać.

– To i tak sobie teraz nagrywam – opowiada Kryk. – Dobrze, że już od jakiegoś czasu to robię, bo dzisiaj nie nagrałbym prawie nic.

Z tymi drzewami sprawa jest bardzo ciężka i zawiła. Dookoła rosną stare lipy, gdzieś klony, droga obsadzona potężnymi pniami, jak kiedyś w całych Prusach. Tylko te trzy drzewa – lipy, klony, jeden Pan Bóg wie, bo po korze nie poznasz – sterczą w niebo, uschłe i poczerniałe, bez jednego listka, obrosłe jemiołą na najwyższych, patykowatych gałęziach. Wszędzie wokół zieloność, korony ciężkie od liści, aż czynią ponad drogą gęsty, chylący się ku ziemi korytarz, niczym wielometrowy tunel. A tu nic, jedynie martwe pnie, nawet wiosną i latem martwe do bólu, wtopią się w krajobraz tylko późną jesienią i zimą, gdy inne drzewa utracą liście i zasną.

Zdawało mi się, że kiedy Andrzej Kryk opowiada o minach, urwanej nodze i o drzewach, chowa się w jakichś miejscowych gusłach. Ale to było, gdy w bruzdach jeszcze leżał śnieg. Teraz słońce świeci do połowy nocy, jest ciepło, radośnie. A na nieważnej krzyżówce dróg stoją trzy umarłe pomniki głupiej śmierci.

\*

Którejś nocy zostałem zabrany na przesłuchanie – mówił Krykowi Włodzimierz Pajtasz. – Pytano mnie o kontakty z UPA. Byłem bity pięściami i kopany. Rok wcześniej, gdy zostałem aresztowany w Przemyślu, obyło się bez bicia. Nie miałem pojęcia, że tu, w Krakowie, w innym pokoju została umieszczona moja siostra, która słyszała wszystko, co mówiłem. Oficerowie śledczy niczego się ode mnie nie dowiedzieli. Oficer pytał, czy znam rodzinę Bieganów z Przekopanego. Odpowiedziałem twierdząco. Wymieniłem członków rodziny: Marijkę, Natalkę, Józefę i tak dalej, na co śledczy odparł: „Ta Józefa przyjdzie i w oczy ci powie o twoich kontaktach z UPA”. Istotnie, była to prawda. Józefa wiedział o mojej pracy na wsi, ale do mnie nie przyszła i nie zeznawała przeciwko mnie. 15 maja wywieziono nas (trzydziestoosobową krakowską grupę) do Jaworzna. Byliśmy wiezieni samochodem ciężarowym, mocno ściśnięci. Tam zobaczyłem, że jedzie z nami moja siostra Iryna, która przyjechała do mnie do Krakowa w odwiedziny i trafiła do „kotła”.

Na bramie wjazdowej widniał wielki napis: „Centralny Obóz Pracy Jaworzno”. Przywieziono nas do jakiegoś baraku, gdzie mały korytarz prowadził do kancelarii, w której należało oddać w depozyt wszystkie rzeczy osobiste. Wchodziliśmy pojedynczo. Czekaając w kolejce, słyszeliśmy krzyki, bo w kancelarii bito ludzi. Nie było odwrotu. Wszedłem i ja z małą walizką. Usłyszałem kilka pytań dotyczących personaliów. Zauważyłem, że stało tam kilku żołnierzy rozebranych do połowy (gdyż było ciepło) i trzymających ręce z tyłu. Trzymali w nich sprężynowe i gumowe nahajki. Nagle ze wszystkich stron na moją głowę i plecy posypały się uderzenia i zgiąłem się wpół. Wówczas żołnierze bili mnie gdzie popadło. Nie straciłem przytomności, ale niewiele do mnie docierało. Nie odczuwałem bólu, lecz jedynie dotyk, gdy byłem bity i kopany. Po pewnym czasie wyrzucono mnie drugimi drzwiami na podwórze,

gdzie stali już inni pobici. Wszystkich zawieziono do łaźni. Naszą odzież zabrano do dezynfekcji.

Oglądaliśmy ślady pobicia na ciele. Prawdopodobnie miałem ich najwięcej, bo podszedł do mnie wojskowy i zapytał: „Dlaczego masz takie czerwone pasy?”. Odrzekłem, że nie wiem, bojąc się udzielić innej odpowiedzi. Wtedy oficer chwycił dwoma palcami moją górną wargę, uniósł ją do góry aż pod sam nos i oglądał, szukając jakiegoś znaku. Później dowiedziałem się, że Niemcy utworzyli taką formację wojskową, która była tatuowana pod wargą. Miałem wtedy niecałe dwadzieścia lat.

Niedługo potem poczułem, że moja głowa jest mocno opuchnięta. Gdy wszyscy mężczyźni zostali ostrzyżeni, sformowano całą krakowską grupę i zawieziono do sali numer 3 w baraku dwunastym. W tym długim budynku znajdowały się trzy wielkie sale, w których umieszczonych zostało od stu do stu pięćdziesięciu mężczyzn, tak więc w całym baraku było nas około czterystu osób. W sali, w której znajdowałem się ja, było ponad dwudziestu greckokatolickich księży oraz inteligencja świecka (nauczyciele i farmaceuci).

\*

To były dziwne rozmowy. Andrzej Kryk opowiadał, jak bardzo się tu wszystko miesza. Parę lat temu brał kamerę i jechał pod wyszukany adres. W mieszkaniu w Węgorzewie albo w Giżycku zdejmował w przedpokoju buty, wchodził dalej do pokoju, gdzie najczęściej patrzył na meblościankę z połyskiem, pocztówkę z Chrystusem Pantokratozem, przyklejoną do kawałka sklejki, by wyglądała jak dawne ikony, na zdjęcie Jana Pawła II jeszcze w sile wieku (najlepiej, żeby było ze mszy we Lwowie) i portret Tarasa Szewczenki. Potem słuchał, w kamerze kręciła się taśma kasety.

I on, i gospodarze spotkania mieli poczucie, że wreszcie nadszedł czas, żeby mówić.

A teraz, pod tymi rozcapierzonymi drzewami na drodze z Pozezdrza do Sztynortu, słyszę od niego, żeby jednak nie dopytywać.

– Przecież ma pan, panie Andrzeju, wszystko to nagrane. Twarze, słowa, nazwiska, adresy.

– Mam. I mam ostatnio pozmieniane w życiu. Jak wszyscy tutaj. To nie jest łatwe: być w Polsce Ukraińcem.

\*

„Na dobę dawano nam jedną pajdę chleba – ćwiartki, na śniadanie pół litra czarnej kawy, na obiad chochłę zupy z ziemniakami lub kaszą, ewentualnie grochową, a na kolację pół litra rzadkiej zupy” – opowiada Włodzimierz Pajtasz, a Andrzej Kryk wrzuca to na wiek wieków w internetową rzeczywistość.

Chleb trzeba było dzielić według własnego uznania. Wskutek lichego pożywienia więźniowie szybko opadali z sił. Wyglądali jak chodzące szkielety. Po takich dwóch miesiącach pobytu w obozie nie byłem w stanie iść prosto, a nogi ledwo wlokłem po ziemi, gdy zaś trzeba było jedną z nich podnieść, brałem nogawkę spodni w rękę i dźwigałem nogę, bo nie miałem siły zrobić kroku. Ubikacja była jedynym oddzielnym budynkiem sąsiadującym z barakiem, gdzie wszyscy więźniowie chodzili parami „za swoją potrzebą”. Nocą korzystali z kubłów, które następnie wynosili. Między barakami było wielkie podwórze, po którym przechadzali się śledczy blokowi i „kapusie”. My, więźniowie, również mogliśmy tam chodzić. Gdy czasem jakiegoś śledczego czy wojskowego ponosiła fantazja, wywoływał on ludzi na podwórze i przeprowadzał z nimi „ćwiczenia”. Bywało i tak, że więźniowie musieli biegać pojedynczo dookoła baraku, a blokowi stali na rogach i bili gdzie popadnie. Nahajów z rąk nie wypuszczali.

Chcemy posłuchać jeszcze?

Śledczy prowadzili przesłuchania w wolnych barakach, skąd dochodziły do nas krzyki katowanych. Widziałem przemysłanina Ołeniaka, który po śledztwie leżał na pryczy. Torturowano go prądem po uprzednim założeniu pierścieni na palce. Ze śledztwa więźniowie przynieśli go na noszach. Jeden ze śledczych postawił stół na podwórzu (a było gorąco) i tam, siedząc, prowadził przesłuchania. Mnie zawołał również. Przyszedłem i rzekłem: „Więzień Pajtasz melduje się na rozkaz”. Stałem i odpowiadałem na pytania. Dotyczyły one moich kontaktów z naszymi partyzantami. Przekonywałem, że nie miałem z nimi nic wspólnego, że mój dom stał niedaleko policji kolejowej i niemożliwe jest, aby przychodzili do nas upowcy. „Upowcy, rzekłem, ukrywają się gdzieś daleko w lasach i znam tylko ich nazwiska” (tu podałem kilka). Śledczy wybałuszył oczy i zapytał: „A skąd ty to wiesz?”. A ja na to, że pisały o tym „Nowiny Rzeszowskie”

i zapamiętałem tę informację. „A, my to już wiemy” – odparł śledczy. Udawałem zupełnie niedoświadczonego w tej materii i ów śledczy był przekonany, że mówię szczerą prawdę, więc mi uwierzył. Nawet mnie nie bił. Powiedział tylko: „Ty o wszystkim tak ładnie opowiadasz, ale masz banderowskie serce. Idź”. Odmeldowałem się. Później tę rozmowę podpisałem i skończyły się przesłuchania. Świadców, na szczęście, nie było. Chociaż z mojej miejscowości Przekopane w gronie więźniów był Stefan Puszyński i mój sąsiad Hyczkiewicz, to nikt mnie o nich nie pytał i jakoś zgubiliśmy się w tłumie.

Dzisiaj Andrzej Kryk czasem tak sobie myśli, że jego szczerzy rozmówca Włodzimierz Pajtasz teraz by tego nie powiedział. Chyba że w wielkiej desperacji.

\*

Minęło kilka miesięcy i zawołano mnie z siostrą oraz kilka innych osób do bramy po odbiór paczki-prowiantu – to znów opowieść Pajtasza. – Gdy siostra zobaczyła mnie po raz pierwszy od tak długiego czasu, odwróciła twarz, mówiąc: „Nie mogę na ciebie patrzeć. Sama skóra i kości”. Rozplakała się i oddała mi swoją paczkę. Los kobiet w obozie był nieco łżejszy niż mężczyzn. Było ich znacznie mniej i chyba lepiej je traktowano (choć nie mam co do tego pewności).

Nie wszyscy ludzie wytrzymywali głód i tortury, więc umierali. Widziałem, jak w kocach za mury obozu wynoszone były trupy i zakopywane gdzieś tam w piasku. Blokowi wybierali spośród więźniów tych, którzy nadawali się do pełnienia funkcji kapo-donosicieli. Otrzymywali oni nahajki, którymi mogli bić więźniów, oraz donosili na nich. Jeden z blokowych złożył mi taką propozycję, a kiedy odmówiłem, uderzył mnie po głowie i moja funkcja się skończyła.

Wśród kapo najgroźniejsi byli Węgrzyn, Jasio Ahnyszczak i Mucha. Jedzenia im nie brakowało, więc szybko odzyskali siły. Pewnego razu zobaczyłem, jak na podwórku rozpalany jest ogień. Zapytałem kogoś, co to takiego, a ten szybko wyjaśnił, że w brytfannie podgrzewany jest piasek, którym okładane są bolące miejsca na ciele chorego kapo Węgrzyna. A było to tak. Któregoś dnia blokowi zawołali Węgrzyna, „tego naszego kapusia”, i zapytali go: „Węgrzyn, czy chcesz wlać Niemcowi?”. „Mogę wlać” – usłyszeli w odpowiedzi. „My w karczerze mamy jednego Niemca i on coś nabroił, więc trzeba mu wlać” – stwierdził blokowy. Węgrzyn wziął swoją nieodłączną nahajkę, a blokowi wepchnęli go do

Niemca i zamknęli, przyglądając się ich walce przez otwór w drzwiach. Okazało się, że ów Niemiec był bokserem, odebrał Węgrzynowi nahajkę i tak mu dołożył, że wynieśli go na barak i okładali ciepłym piaskiem.

Jasio Ahnyszczak wrócił na Łemkowszczyznę i po jakimś czasie się spalił. Znalaziono tam notatkę o treści: „To za Jaworzno”. O trzecim, Musze, nie będę pisać. Kapo z Birczy, Feduń, już zmarł.

Za barakami znajdowały się warsztaty: szewski, rymarski i stolarski. Więźniów przydzielano tam do pracy. Szefem jednego z nich był więzień Ołeniak, który przyjął mnie do warsztatu rymarskiego, gdzie szyłem cholewki. Otrzymywaliśmy trochę obfitsze kolacje.

Pewnego razu Stefan Puszyński stwierdził, że ma podarte buty, i poprosił jednego z szewców o ich naprawę. Wówczas założyłem buty Puszyńskiego, z robotnikami przeszedłem w nich przez bramę i tam dałem szewcowi do naprawy, a sam zostałem bez obuwia. Zauważył to blokowy i spytał: „Gdzie masz buty?”. Wyjaśniłem, że oddałem do naprawy. Za to, że wcześniej tego nie zgłosiłem, za to przewinienie ów szewc, który naprawiał, Puszyński i ja byliśmy ukarani karcerem, to znaczy siedzieliśmy w piwnicy bez kolacji i śniadania. Dobrze, że na betonie było kilka desek, na których przedrzemaliśmy do rana.

– Mój Boże, Boże – wzdycha Andrzej Kryk. – Można tylko tego słuchać. Co można zrobić więcej?

\*

Listopad, na dworze śnieg z deszczem, wiatr, a pod nogami rozmokły piasek. Stoimy po pięć osób w rzędzie. Ja stoję jako piąty, a za mną ogrodzenie z drutu kolczastego. Apel się przedłuża. Więźniowie są liczeni. Każdy stoi skulony, bo zmarł. Mężczyzna, który stoi koło mnie, upada do tyłu na kolczaste druty ogrodzenia. Ledwo stoję, jestem tak słaby, że nie mam siły go podnieść. W tym czasie słyszę głos z innego rzędu: „Mężczyzna upadł na druty – podnieście!”. A był to głos naszego księdza Stefana Dziubiny. Chorego podniesiono i zabrano do baraku.

Innym razem pewien oficer przyszedł do baraku i wraz z blokowymi zarządził apel. Wyszli wszyscy więźniowie. Stanęliśmy po dziesięciu w rzędzie, by łatwiej nas było policzyć. Byłem ostatni w rzędzie. Za mną puste miejsce, a dalej barak

numer 11. Padła komenda: „Wszyscy księża wystąp!”. Wywołani duchowni wyszli z szeregu i znaleźli się za moimi plecami. Ustawiono ich po czterech w rzędzie i padł rozkaz: „Biegiem marsz, padnij, czołgaj się, żabki...”. Jeden z księży, ojciec Haszczak, nie mógł podnieść się i dalej biec, więc oficer uderzył go nahajką po głowie. Ksiądz zapytał, za co go biją. Usłyszał odpowiedź: „Ty się pytasz, za co? A kto utworzył UPA?”. Duchowny powiedział: „My nie utworzyliśmy”. Oficer wrzasnął: „To wy jesteście przywódcami narodu! Jak ten naród wychowujecie? Marsz!” – i znów zaczął bić.

Kiedyś na obiad jadłem kapustę i połknąłem wraz z nią kamień. Natychmiast odczułem ból ślepej kiszki i zostałem zabrany do szpitalika, z którego mało kto wychodził. Po tygodniu spędzonym pod nadzorem niemieckim ponownie wróciłem do pracy.

Pod koniec grudnia 1947 roku zaczęły się zwolnienia, ale nieco wcześniej, gdzieś w październiku, więźniowie byli zmuszani do podpisania aktu oskarżenia. Rząd utrzymywał, że chcemy oderwać południowo-wschodnie ziemie od Polski i przyłączyć je do Ukrainy. Któryś z więźniów nie chciał podpisać takiego aktu oskarżenia, więc blokowi tak go pobili, że musiał to zrobić. Pozostali już nie protestowali i złożyli podpisy, w tym także ja.

Pod koniec roku przygotowano transport więźniów do województwa szczecińskiego. Zostałem zwolniony, ale za pracę nie otrzymałem żadnego wynagrodzenia. Zapełniono więźniami dwa lub trzy wagony, które znajdowały się pod konwojem policji. Przyjechaliśmy do Szczecina. Tu zaproponowano nam współpracę z policją i kazano nam coś podpisać. Roześmialiśmy się tylko. Po takich torturach jeszcze propozycja współpracy? Nigdy! Przebywaliśmy tam jeszcze kilka dni, a następnie rozdzielono nas do powiatów. Mnie wywieziono z więźniami do Urzędu Bezpieczeństwa w Człuchowie, gdzie jeszcze przez dwa dni wnosiliśmy węgiel do piwnicy. Piątego stycznia 1948 roku przywieziono mnie do rodziców do Przechlewa.

\*

Pewnego razu na podwórzu między barakami zebrano ponad stu chłopców. Szybko powstał oddział i odmaszerowaliśmy czwórkami. Byłem na czele tej kompanii i usłyszałem, jak żołnierze powiedzieli: „Popatrz, jak równiutko maszerują, jak banderowcy ich wyćwiczyli”. Usłyszeliśmy komendę: „Niech

żyje Wojsko Polskie”. Odpowiedzieliśmy jednym głosem: „Niech żyje!” (trzykrotnie). Następnie rozległ się głos: „Precz z bandą UPA”, a my wszyscy krzyknęliśmy: „Precz! Precz! Precz!”, i pomaszzerowaliśmy dalej. Po takiej musztrze, gdy padł rozkaz „Spocznij”, od razu siedliśmy na ziemi, bo nasze nogi były tak słabe, że nie mogliśmy już ustać. Siedząc wśród chłopców, zaczynałem rozmowę na Różańcu.

Z modlitwą na Różańcu po raz pierwszy zapoznałem się w 1946 roku. Uczył nas w Przemyślu ksiądz kanonik Stefan Jaworski, profesor greki i mój wychowawca, prefekt Niższego Seminarium Duchownego. Przeczytałem wtedy książkę o Fatimie pod tytułem *Znak na niebie*. Teraz się to przydało. Matka Boska obiecała, że tego, kto codziennie odmówi dziesiątkę Różańca, ominą troski, a Ona przyjdzie mu z pomocą. Chłopcy nauczyli się tej modlitwy i ją odmawiali.

Do dzisiaj mam Różaniec wykonany z chleba na nitce wyciągniętej z siennika, w którym zresztą nigdy nie było słomy. Mam również łyżkę z Jaworzna. Słyszałem, jak niektórzy mówili, że Pajtasz jest apostołem Różańca. Cenię Różaniec i odmawiam go w dzień i w nocy w każdej wolnej chwili. Różaniec to mój oręż przeciwko szatanowi i najłatwiejsza, ale i zarazem ważna modlitwa.

Koniec opowieści. Włodzimierza Pajtasza już nie ma.

\*

– W domu panowało milczenie – wspomina Stefania Łajkosz. – Ojciec pewnie opowiadał mamie, ale nam, ośmiorgu dzieciom, już ani słowa. Do pewnego czasu nie dopytywałam się. Zapytałam raz, rok przedtem, jak zmarł. Przysięgłam sobie wtedy, że nigdy więcej nie zapytam.

Milczenie jednak nie oznacza, że brakuje znaków. Ojciec Stefanii był diakim – śpiewał w cerkwi – a wiara była dla niego bardzo ważna. Przychodził do nich często ksiądz mitrat Dziubina – jego parafia leżała w tym samym kawałku Pomorza Zachodniego, zgniłym od słonej, morskiej wilgoci, wietrznym i piaszczystym, gdzie nawet powietrze było inne niż w górach. Znali się jeszcze – słyszała Stefania – z więzienia. Z jakiego więzienia, jakim cudem jej tata i szanowany powszechnie ksiądz siedzieli w więzieniu? Nie rozumiała, bo dzieci nie rozumieją.

Czasami słyszała słowo „łaźnia”. Dzisiaj myśli, że to dotyczyło pierwszego dnia pobytu w Jaworznie, bo wszystkich aresztowanych zawsze prowadzono do łaźni,



gdzie strażnicy i śledczy witali ich strugami wody ze strażackich gaśnic i straszliwym biciem; wielu od tego mdlało. A może ojcu szło o karczer, betonowe pomieszczenie z okienkiem pod sufitem, gdzie trzeba było stać w wodzie do pasa, a sikawki też były na podorędziu?

Tak samo „żabki”. Co takie żabki mogły zrobić tacie? Chyba mogły, bo ojciec aż się przykurczał przy tym słowie. Tylko skąd dziecko ma wiedzieć, co to żabka?

– A przecież – opowiada Stefania – to był ukraiński dom we wsi, gdzie więcej mieszkało Ukraińców niż Polaków. Co niedziela jeździliśmy do cerkwi: siedem kilometrów do stacji, piechotą albo na rowerze, dziesięć kolejką i znów dwa, z dworca na cmentarz, gdzie stoi kaplica. Schodził na to cały dzień. W domu mówiliśmy po ukraińsku, czytaliśmy ukraińską gazetę i książki, wiedziałam chyba od zawsze, że brat mamy był w UPA, i nigdy nie wstydziłam się tego. Tylko o Jaworznie była cisza.

Kolejny znak to msze. Gdy przychodził czas kazania, ojciec zawsze wychodził; mówił, że na papierosa, choć nigdy nie palił. Oraz domowe wizyty jakichś facetów – kiedyś mama nie wytrzymała i ich pogoniła. Trwało to jeszcze w latach sześćdziesiątych. Dopiero o wiele później Stefania pojęła, że ojciec nie chciał słyszeć kazań, żeby z czystym sumieniem mógł powiedzieć na posterunku milicji, gdzie zjeżdżali esbecy ze Szczecinka lub z Wolsztyna: „Nie wiem, co mówił ksiądz”. Faceci też w którymś momencie przestali przychodzić.

Ojciec już miał zdiagnozowanego raka, więc Stefania pomyślała, że jeśli teraz nie zapyta, może po prostu nie zdążyć. Rozszlochał się jak dziecko, nigdy nie widziała go w takiej rozpacz i strachu. Sama – myśli dzisiaj – też wpadła w histerię, bała się, że ojciec umrze od tej nagle wzbudzonej pamięci.

– Nic nie powiedział, tylko płakał – opowiada. – Płakał, nie mógł się uspokoić. Nie miałam pojęcia, co się dzieje ani jak mu pomóc. To właśnie było dla niego Jaworzno.

Na pogrzebie dowiedziała się, że ojciec przemycił za druty książeczkę do nabożeństwa. Tę książeczkę zapamiętali mu starzy żałobnicy, więźniowie Jaworzna, łącznie z księdzem Dziubiną. Oraz to, że modlił się, kiedy już nie miał sił. Modlitwa pomaga.

Od mamy zaś usłyszała, że ojciec poszedł do Jaworzna za nic. Miał dwadzieścia cztery lata, a od piętnastego roku życia rodzinę pod opieką, bo dziadek wcześniej zmarł. Zabrali go od razu ze stacji kolejowej w Sanoku. Był w drugim transporcie;

zastali w obozie już kilkunastu uwięzionych Ukraińców. Wyszedł w styczniu 1948 roku.

Jako odprawę dostał bilet aż do Człuchowa. Tam na milicji powiedziano mu, że ma dostać się do Brzezia. W Brzeziu pokazano drogę do Bielicy, miejsca osiedlenia. Dwadzieścia pięć chałup rozdzielonych niewidzialną granicą – po jednej stronie wsi Ukraińcy, po drugiej Zabuzanie, a na ziemi niczyjej, po której wszyscy musieli codziennie chodzić, niechęć, strach i wyzwiska.

Po latach Stefania dostrzegła, że w ukraińskiej Bielicy mieszkały tylko kobiety i dzieci – jej ojciec był jednym z nielicznych mężczyzn. Co się stało z chłopami? Nie wiedziała. Zginęli podczas wojny, zamęczyli ich w obozie? Czy ma to w ogóle jakieś znaczenie?

Emilia Oktaba, więźniarka Jaworzna, pisała po dziesiątkach lat w kanadyjskim Toronto: „Czasem teraz sobie siedzę i myślę, że ja to Jaworzno przeżyłam, i chodzę, i żyję, ale czasem znów widzę to wszystko, wraca w snach. Budzę się, podnoszę pobitą we śnie rękę i myślę, czy dam radę nią poruszyć, czy nie”.

\*

Matka Haliny Synicyń odnalazła rodzinę pod Legnicą w końcu marca 1948 roku. Miała czterdzieści lat – wspominała Halina – a wyglądała na siedemdziesiąt.

Ze stacji w Bełżcu, gdzie w brudnych bydłowych wagonach Ukraińcy czekali deportacji, przewieziono mamę Haliny do urzędu bezpieczeństwa w Tomaszowie Lubelskim. Po miesiącu transport do Jaworzna. Była często przesłuchiwana, wyzywana od najgorszych banderowskich kurew, bita, poniewierana, stała w karcerze wypełnionym wodą.

Straciła rachubę czasu i dni, zapomniała nawet, jak się nazywa. Kiedy otworzono drzwi karceru, mama z zimna nie mogła zrobić kroku, tylko się przewróciła. Wówczas została dotkliwie skopana, połamano jej żebra, które nigdy się nie zrosły, i wybito zęby. Zmorą były częste apele i trzymanie biednych, źle odzianych ludzi po kilka godzin na mrozie. Brakowało mydła, nie było w czym się umyć, w czym przeprać bielizny osobistej, nie było też ścierek, którymi można by było wytrzeć miskę. Miski były ze zwykłej blachy, niewycierane rdzewiały, a za to była straszliwa kara. Tu miała pole do popisu blokowa Maryśka, która wyzywała się na kobietach, każąc im skakać żabką dookoła baraków i bijąc deską po plecach. [...] Jeszcze chciałam – kończy Halina

Synicyn – napisać parę słów o dziewczynie, którą mama ciągle wspominała, z którą spała na jednej pryczy, o nazwisku Dać Luba. Była bardzo często przesłuchiwana i strasznie katowana. Pewnego razu nie wytrzymała tej strasznej poniewierki i rzuciła się na druty wysokiego napięcia, jakimi otoczony był obóz. Mama o niej wspominała do końca i często w cerkwi, zamawiając panichidę za bliskich, wpisywała ja także. Wieczna jej pamięć.

\*

Już pierwsze zdanie tej publikacji jest szczególne: „Dominuje u nas pogląd, że przesiedlenie Ukraińców i Łemków w 1947 roku to zasługująca na jednoznaczne potępienie zbrodnia komunistyczna”. Jakby jego autor, naukowiec, doktor nauk historycznych Artur Brożniak z Instytutu Pamięi Narodowej w Rzeszowie nie znał dziesiątek, jeśli nie setek, tekstów, które państwowy bandytyzm pierwszych lat komunistycznej Polski objaśniają tak samo jak on: Ukraińcy sami sobie zawinili, a Polacy działali w stanie wyższej konieczności. Artur Brożniak opublikował to w „Biuletynie IPN” w czerwcu 2017 roku – to swoisty prezent dla wygnanych i represjonowanych, ofiarowany niemal dokładnie w siedemdziesiątą rocznicę deportacji.

A skoro Brożniak tak zaczyna, dalej może być tylko mocniej.

Pisze więc: „Członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów głosili kult siły, przemocy i bezwzględności. Pogardzali tolerancją etniczną, demokracją i osobami okazującymi litość”.

„Członkowie OUN i UPA byli zdemoralizowani i gotowi popełnić najstraszliwsze zbrodnie z przyczyn etnicznych, nawet na członkach własnej rodziny. Znaczna część cywilnej ludności ukraińskiej pomagała OUN i UPA dobrowolnie”.

Nie wiemy wprawdzie, co oznacza sformułowanie „znaczna część”. Możemy się domyślać, że to niemało. Trzydzieści procent? Połowa? Ciut więcej niż połowa? Dużo więcej? Ale już wiemy, że co najmniej jeden na kilku Łemków i Ukraińców miał naturalne kwalifikacje na zbrodniarza i zwyrodnialca.

Zadziwia więc miękkie serce polskiej komunistycznej władzy, która przeprowadziła operację w „sposób humanitarny, co dawało dostatecznie dużo czasu na przygotowanie się do zimy”. Równie zdumiewające jest miłosierdzie władz bezpieczeństwa: „Dla części osób uwikłanych we współpracę

z banderowcami przesiedlenie było swoistą szansą na uniknięcie odpowiedzialności karnej” i wyzwolenie od terroru ukraińskich band.

Artur Brożniak oczywiście wie, że istniał obóz w Jaworznie. W wielostronicowym tekście poświęca mu kilka linijek: „Aresztowani podejrzewani o współpracę z OUN/UPA byli kierowani do podobozu ukraińskiego w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie. Zgodnie z obowiązującym ówczasie prawem osoby te miały status tymczasowo aresztowanych. Do Jaworzna trafiło 3871 osób. Wśród osadzonych znajdowali się Ukraińcy, Łemkowie i Polacy, zatem odosobnienie nie miało charakteru represji z powodów etnicznych. Dość szeroko traktowano formę współpracy z banderowcami, ponieważ uważano za nią również zawarcie lokalnego porozumienia o zawieszeniu broni. W literaturze ukraińskiej COP w Jaworznie jest kłamliwie nazywany obozem koncentracyjnym”.

Zastanawiałem się, czym dla doktora Brożniaka, człowieka w końcu wykształconego, pracownika i reprezentanta instytucji nazywającej się badawczą i śledczą, jest „obóz koncentracyjny”? Jak sobie to wyobraża, jak we własnej głowie buduje to pojęcie, szczególnie naznaczone w naszej historii? Co przesądza – według Brożniaka – że obóz jest „koncentracyjny”, również w tym znaczeniu, w jakim przechowała to złowieszcze imię polska pamięć, nie tylko ta żyjąca wyłącznie z martyrologii? Kiedy jest to definicja kłamliwa?

Czy tortury, bicie, głód – obecne w Jaworznie codziennie – to cecha koncentra, a może codzienność dla ludzi „tymczasowo aresztowanych”? Czy „podobóz ukraiński” z definicji nie jest miejscem dla jednej narodowości, bo przymiotnik „ukraiński” nie daje w końcu wielkiego wyboru?

A może po prostu Brożniak uważa, że głodujący i bity Ukraińiec odczuwa głód i ból inaczej niż Polak?

Potem pomyślałem o jaworzniackich relacjach księdza Dziubiny i ojca Stefani Łajkosz. O opowieści Włodzimierza Pajtasza, która jest jak haczyk do łapania ryb: wbity w skórę nie wyjdzie, bo ma zadziór, żeby haczyk broń Boże się nie wyslizgnął, a jeśli już, to tylko z wyrwanym kawałkiem ciała. O tych dziesiątkach kratkowanych i gładkich kartek papieru, zapisanych na maszynie lub kulawym odręcznym pismem, opowiadających w najprostszyc słowach o zbrodni.

I zdało mi się, że historyk Brożniak (ale nie tylko on) jest dotknięty – by użyć jego słowa – „swoistym” nieszczęściem.

To nie jest wiedza ani pogląd, lecz raczej postawa, alergię albo odruch silniejszy niż empatia i potrzeba myślenia. Uczulenie na Ukraińców nie ma nic wspólnego z podziałem na lewicę i prawicę, na ludzi wykształconych i prostych, miastowych i chłopów. Artur Brożyniak z rzeszowskiego IPN-u nie stanowi tu wyjątku.

Pisał w kwietniu 2002 roku w lewicowym tygodniku „Przegląd” profesor Bronisław Łagowski, na ogół subtelny filozof:

Istnieje tyle rodzajów śmierci, ile rodzajów życia. Co innego być rozstrzelanym, a co innego zostać zarąbanym siekierą, przetrzyniętym piłą, mieć wydłubane oczy i wyrwany język, rozpruty brzuch i wywleczone wnętrzności. W taki sposób ukraińscy nacjonaści mordowali na Wołyniu, na Podolu i wszędzie, gdzie ich organizacje mogły osiągnąć bezbronnych Polaków [...]. To było jeszcze okropniejsze niż Katyń.

Dzisiaj się mówi, że „komunistyczne władze umiejętnie podsycaly wzajemne niechęci, umacniając w powszechnym odbiorze społecznym negatywny wizerunek Ukraińca”. To nieprawda. Władze komunistyczne kierowały się internacjonalizmem i na obszarze swego panowania tłumili narodowe wrogości. Za nacjonalizm było się karanim.

To pierwsze nadużycie: komunistów nacjonalistów było dość, również w początkach ludowej Polski. Wystarczy pomyśleć o Mieczysławie Moczarze i o Grzegorzu Korczyńskim, kombatancie z Hiszpanii uparcie świniącym towarzyszom walki o żydowskich korzeniach.

Drugie:

Zwalczanie band UPA nie było tak prostym zadaniem, jak to się wielu dzisiaj wydaje. Walka z partyzantką przedstawia tę trudność, jak zabijać terrorystów, nie czyniąc szkody niewinnej ludności, z którą są oni wymieszani. Różne rządy rozmaicie sobie z tym radzą. Francuzi w Algierii dokonywali masowych przesiedleń do stref specjalnych, nie od razu, ale po zdobyciu doświadczenia. W Kosowie, jak pamiętamy, ludność sama uciekała z terenów walk z partyzantką albańską, ale były też wysiedlenia z niektórych rejonów. Obecnie w Izraelu Ariel Szaron z całą pewnością chciałby uniknąć ofiar wśród cywilnej ludności palestyńskiej, ale przesiedlenia są tam niewykonalne. Czy ci niewinni

Palestyńczycy, którzy zginęli przypadkowo, nie woleliby zamiast śmierci być przesiedlonymi choćby na pustynię?

Profesor Łagowski najpewniej nigdy nie był w Kosowie ani w Palestynie, a jeśli był, nic nie rozumiał. Pytanie, które postawił: „Czy lepiej umrzeć, czy zostać wysiedlonym?”, jest tak puste jak beczka bez dna, nie tylko w ustach filozofa.

Przesiedlenie ludności ukraińskiej miało cele oczywiste. Polskie ówczesne władze żadnego z tych celów nie musiały się wstydzić [...].

Czytam, że „uderzenie w całą społeczność ukraińską żyjącą w Polsce było zastosowaniem odpowiedzialności zbiorowej...”. Nieprawda. Jest to nieporozumienie pojęciowe i pomyłka co do faktów. O zbiorowej odpowiedzialności można by mówić, gdyby akcja „Wisła” miała na celu karanie ukraińskiej ludności. Tymczasem była to operacja socjotechniczna, pragmatyczna, bez znamion zemsty.

„Żabki” ćwiczone w Jaworznie, bicie i poniewieranie, okradanie z dobytku, wyrzucanie z domów to – zdaniem filozofa humanisty, który powiada, że serce ma po tej wrażliwszej, lewicowej stronie – tylko „pragmatyczna socjotechnika”.

„Gdyby nie zbrodnicza działalność OUN-UPA, nie byłoby operacji »Wisła«” – tytułuje swoje pisanie profesor historii Czesław Partacz, specjalista, jak sam o sobie mówi, od polsko-ukraińskich dziejów i laureat odznaczenia Polonia Mater Nostra Est. Na kilku stronach dowodzi słuszności swojego odruchu. Mylą mu się pseudonimy – „Stiah”, czyli Jarosław Staruch, prowidnyk „Zakerzońskiego Kraju”, miesza się ze „Stachem”, dowódcą sotni UPA nieznanym z nazwiska – lecz profesorowi to nie przeszkadza. Stawia tezę, że wytyczona przez Moskwę polsko-sowiecka granica na Bugu była po myśli ukraińskich nacjonalistów („Pragnęli oni [niektórzy politycy radzieccy] włączyć do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej ziemie polskie od Włodawy aż po Sanok, Lesko, Brzozów i Krynicę. Było to zbieżne z celami OUN-UPA”). Dlatego:

przesiedleńcza operacja „Wisła” została zaplanowana i zrealizowana w interesie narodu i państwa polskiego [...]. Dziesięć lat terroru i zbrodni oraz możliwość oderwania od RP 19 powiatów południowo-wschodnich! Jakie państwo mogło tolerować taki stan rzeczy? Należy sobie uświadomić, że gdyby nie zbrodnicza działalność OUN-UPA, nie byłoby operacji „Wisła”, i zaprzestać szerzenia

kłamstw neobanderowców i reprezentantów partii zewnętrznych [...]. Znając charakter, zawziętość i fanatyzm nacjonalistów ukraińskich, gdyby pozostali oni na ziemiach południowo-wschodniej Polski, zgotowaliby nam w sprzyjających warunkach lat dziewięćdziesiątych nowe Kosowo. Na szczęście władze ówczesnej Polski częściowo zlikwidowały to zagrożenie, a w zasadzie odsunęły je w czasie, ponieważ w Polsce i na Ukrainie neobanderyzm wśród trzeciego-czwartego pokolenia przesiedleńców odradza się.

Profesor Partacz ma ostre pióro.

Patrząc z perspektywy 70 lat, należy stwierdzić, że przeprowadzenie tej operacji przesiedleńczej było wyższą koniecznością w imię tego, co Francuzi zwykli określać mianem *raison d'État* – racji stanu. Faktu tego do dzisiaj nie chcą uznać ani w Polsce, ani na Ukrainie pogrobowcy ukraińskiego integralnego nacjonalizmu, agenci wpływu i tzw. pożyteczni idioci różnego rodzaju, uplasowani szczególnie w mediach i na uczelniach. Mamy czego się obawiać. Będą oni teraz poruszać opinię publiczną w Polsce i na Ukrainie, siać nienawiść i rozpowszechniać kłamstwa historyczne. Wszak w demokratycznej Polsce wychowaliśmy co najmniej kilka tuzinów tzw. negacjonistów wołyńskich, często niepolskiego pochodzenia. Pną się oni coraz wyżej po szczeblach kariery. Do tego musimy dodać „zakamuflowanych Ukraińców”, których dziadkowie zamieszkali na ziemiach obecnej Polski, posługując się zrabowanymi dokumentami zabitych Polaków z Kresów. Wielu z nich zajęło wysokie stanowiska w urzędach, uczelniach, służbach specjalnych i mediach.

Kim jest „negacjonista wołyński niepolskiego pochodzenia”, „zakamuflowany Ukraińiec” i „agent wpływu” – tego już Partacz nie objaśnia, choć jako historyk, który doktorat pisał pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, musiał poznać schematy i frazy nacjonalistycznej propagandy 1968 roku, które ochoczo stosuje.

„Trzeba powiedzieć otwarcie, że za tym wszystkim stoi pieniądz” – pisze Partacz. Uważa, że Ukraińcy i Łemkowie chcą dzisiaj na akcji „Wisła” po prostu zarobić.

Pogrobowcy ukraińskiego integralnego nacjonalizmu usiłują wygrać walkę, którą 70 lat temu przegrali z kretesem ich zbrodniczy przodkowie [...]. W miarę

postępującego renesansu struktur i wpływów ruchu neobanderowskiego na Ukrainie oraz rehabilitacji przez jej władze zbrodniczych formacji będzie kwitła oficjalna „przyjaźń” propagandowa na płaszczyźnie polityczno-medialnej, natomiast przepaść między narodem polskim i ukraińskim będzie się pogłębiać. Najgorsze jest jednak to, że obudzone na Ukrainie upiory mogą doprowadzić do powtórki tragicznej przeszłości i nowych ofiar. Bo ze zwolennikami banderyzmu i nazizmu, jak pisze w jednym z tekstów Bohdan Piętka, żartów nie ma.

Temu, co krytykował stalinowski prokurator Oskar Karliner, przyglądając się obozowi koncentracyjnemu w Jaworznie, i co udało się generałowi Juliuszowi Hibnerowi już w 1956 roku, gdy bił się w piersi za antyukraiński gwałt, temu nie dali rady humaniści, filozofowie i historycy Brożyniak, Łagowski i Partacz.



## Problem już nie istnieje

– W Rudziszkach nie było nic – wspomina Maria. – Sołtys przydzielił nam klitkę w domu, gdzie już mieszkała jedna rodzina, za małą na cztery osoby. Po urzędach chodziła siostra mamy. Prosiła, błagała, żeby dali więcej.

Drugim domem była drewniana chałupa w kolonii pod lasem. Do najbliższego sąsiada ze dwa kilometry, trzeba było iść przez stary cmentarz, gdzie ktoś palił świece, tak samo jak na polach. Gdy otworzyli drzwi, na łóżku leżał szkielet obciążony gdzieś wyschniętą, poczerniałą skórą, z bagnetem wbitym między żebra. Kto by się tym przejmował.

Po dawnych niemieckich folwarkach już siedzieli Polacy. Z Wileńszczyzny, jakoś inaczej mówili i wszystko u nich było nie takie, nawet tańce na zabawach. Co zrobić, trzeba się przyzwyczaić. Raczej cichutko, choć ci Polacy nie byli tacy źli. Dawali zarobić, a to przydało się podczas pierwszej zimy, bardzo śnieżnej i mroźnej. Kościół w Olszewie, jedna niedzielna msza dla wszystkich, bo przecież Bóg ten sam, tylko – myśli sobie Maria – kiedy zachodził do ukraińskich domostw, robił się mizerny, smutny i biedniejszy. Pytała Boga: dlaczego ich wywieźli i rzucili na taki koniec świata? Nie odpowiadał, a to znaczy, że nie wiedział.

– Granica była tuż-tuż obok nas, szła przez podwórka – opowiada. – To i zachodzili do nas pogranicznicy, pytali, czy jacyś obcy się tu nie kręcą. Jakie to były wizyty? Normalne, tylko strach, bo do domu wchodzi wojsko. Nie można się było niczemu sprzeciwić.

\*

– Tu było samo dziadostwo – wspomina Szymon. – Wszystko, co lepsze, już rozebrane przez Polaków. Papiery mieliśmy paskudne, bo przed wywózką opinie pisali Ukraińcom agenci. Napisałi, a potem bili, zabierali nie wiadomo gdzie, nikt z zabranych nie wrócił. Człowiek był pewien, że jeśli nie zabili go w Kobylnicy, zabiją tam, gdzie zawiozą. A gdzie jechał, nie miał pojęcia. Tyle że po drodze przynajmniej nie gnębili i nie tłukli.

Nie zabito też na miejscu, nie znęcano się specjalnie, bo i nie było po co. Nie byli – pamięta Szymon – ludźmi, tylko chodzącym przerażeniem. Dotarli na Mazury pod koniec czerwca, zboże nie zdążyłoby urosnąć, więc był strach, że pomrą z głodu. Z tej szopy, gdzie ich zakwaterowano, zostali wygnani tuż przed zimą. Znaleźli pusty dom w kolonii, ostatek ze spalonego gospodarstwa, gdzieś w środku lasu; na podwórku kamienna studnia, ale wody mało.

– Jedzenie na kartki: cukier, mąka, czasem mięso. Byliśmy goli i bosy, a zostawiliśmy w Kobylnicy pełnowartościowe gospodarstwo. Dość paskudna była ta Polska Ludowa, ale Polacy już różnie. Czasami na zabawie ktoś chciał przyłożyć Ukraińcowi, ale masowo nie krzywdzili. Poza tym, że była tu kompletna anarchia, żadnej władzy, żadnej dyscypliny. Ludzie uciekali do miast, bo inaczej się nie dało. Uciekali ci z fachem. Reszta miała PGR-y, trzeba było po prostu przeżyć.

Szymon miał też nadzieję, że kiedyś wróci do siebie. Bo najmilsza jest przecież rodzinna wieś. Tu nie zostaną – to pewne. Z pewnością niedługo, raczej wcześniej niż później, wybuchnie następna wojna. Na Mazurach będzie straszniejsza niż gdzie indziej. Jak wrócą Niemcy, wezmą się za obcych i nikt nie będzie pytać, czy obcy mieszka tu z przymusu, czy dobrowolnie ukradł, co nie jego.

– No i jednak zostaliśmy na zawsze. Nie z własnej woli, ale tu już nasze miejsce. Kupiliśmy dom w 1963 roku, choć Ukraińcom nie wolno było kupować, ale coś się załatwiło. Z czasem już byliśmy tutejsi, a nie z akcji „Wisła”.

\*

Michała przywieźli do Harszu; był 25 maja 1947 roku. Bolało, bo na polach, które im odebrano, ziemniaki posadzone, zboże już wzeszło.

Miał osiemnaście lat, ale się odmłodził. Gdyby nie kłamał – miał szczęście: drobny, wąż się jeszcze nie sypał – zostałby w Jaworznie za UPA.

Dom ten sam co dzisiaj, nieduży, do jeziora blisko, brukowana droga i stare drzewa na poboczach. Zamieszkali przy innej rodzinie. Nie było okien, podłoga zerwana, praca tylko w PGR-ze. Potem gdzieś czytał, że pod Leskiem podobno zostawili lepianki kryte słomą, a tu zastali wodę w kranach i ceglane mury.

Mury były – fakt – ale nic poza tym. Polacy ukradli konia i krowę, wiezione aż z Bieszczad. Normalnie poszliby na milicję ze skargą. Tylko że normalnie nie było.

– My byli ci banderowcy – mówi Michał, wyrzucając słowa z gardła ściśniętego niedawnym wylewem. – Bez żadnych praw byliśmy, bez żadnej ochrony.

Wszystko można było z nami zrobić. Zależało od ludzi, czy chcieli krzywdzić, czy nie bardzo.

Niektórzy chcieli „robić wszystko”. Inni – nie. Harsz z dala, więc liczyło się to, co na miejscu, jakiego człowieka spotkało się przy drodze, choć Polacy donosili na milicję do Giżycka i do Węgorzewa, a wtedy się kiepsciło. We wsi trzydzieści rodzin z akcji „Wisła”, upchniętych po kilku domach. Ze trzydzieści rodzin mazurskich, niby na swoim, ale pokiereszowanych tak samo jak Ukraińcy (koniec końców wyjechali do Niemiec co do jednego) i trzydzieści polskich, osadników spod Wilna. Bieda wspólna, tylko ta ukraińska jakby większa. Mazurskiej nie licząc.

– Dali trochę kukurydzy, zboża pod zasiew. Jak siać, skoro już maj, a i konia nie ma pod orkę. Tośmy wegetowali, w nudzie i w strachu. Taki był początek.

Sołtysi nastawiali jednych przeciwko drugim. Lecz jeśli ktoś cierpi, niekoniecznie da się nastawić. Jeden nawet chodził po domach i ostrzegał: „Przyjadą upowcy, trzeba uważać”. Było mu wszystko jedno, do kogo mówi, bo ostrzegał przed upowcami też tych z „Wisły”.

Kłopot prawdziwy pojawił się, gdy trzeba było iść do szkoły. Michała to ominęło, ale młodszych braci już nie. Nie mówili po polsku, tylko tak, jak się gadało pod bieszczadzkiem Leskiem. Nie warto wspominać. Jak ktoś nie mówił po polsku, nie miał w szkole łatwo.

\*

Wieś Jarosława rozsypano po trzech powiatach – węgorzewskim, kętrzyńskim i giżyckim – jeśli nie liczyć tych, którzy przepadli na sowieckiej Ukrainie i w Besarabii. Paru w transporcie chorowało, a tu ani lekarza, ani pielęgniarki. Czasem pociąg zatrzymywał się nad jakąś strugą, żeby napić bydło. Ale trzeba było o to prosić.

Z Giżycka pojechał wojskowym samochodem do Bań Mazurskich. Resztki dobytku żołnierze wywalili przed zrujnowanym młynem. Kazali samemu szukać gospodarstwa. Ale jak cokolwiek znaleźć, skoro byli ostatnim transportem? W młynie mieszkać się nie da, bo ścisk prawie taki sam jak w wagonie, którym tłukli się tu dwa tygodnie, a może dłużej.

Znaleźli chałupkę krytą słomą, z wybitymi oknami. Bieda jak najgorsza bieda na wschodzie. Tyle że na wschodzie były koń, krówka, obsiane pola, a tu nic poza

murowaną stodołą. Sąsiad po prawej – Ukrainiec z wywózki wcześniejszej o kilka tygodni. Po lewej – Polak spod Suwałk, nastawiony politycznie na banderowców, ale nie bardzo. Elektryczności nie było tu do 1963 roku.

Na jesieni wysiali żyto. Zbierali ziemniaki u Polaków – dostawali koszyk kartofli za dzień pracy. Polacy pytali, ale Jarosław nic nie mówił. A miałby co, tylko nie warto było się przyznawać, zupełnie jak dzisiaj.

– Mama gotowała dla partyzantów, gdy przechodzili do wsi – wspomina. – Jak miała nie gotować, skoro byli głodni, obdarci. Byliśmy bezbronni, a oni dawali oparcie. Dla Polaka powiedzieć, że UPA to zbrodniarze, łatwiej niż plunąć. Ale ci chłopcy bronili mojego domu. Każdy gnojek ze wsi chciał do nich iść, nie po to, żeby była wolna Ukraina, ale... żeby dom stał, dobytku nie zabrali, nie spalili, żeby z dziewczuchami nie harcowali, nie wywieźli. Przychodziło polskie wojsko, bili, ubliżali, kradli. Za to kiedy wiedzieli, że wsi pilnują leśni, trochę się bali.

Tyle że w Baniach już nie ma leśnych. Trzeba było liczyć na łaskawość i ten koszyk ziemniaków po całym dniu pracy.

– Zabrali mnie jako Ukrainca – mówi Jarosław. – Poniewierali mną jak Ukraińcem, ale mówili, że jestem tylko wysiedleńcem, takim gorszym Polakiem. Przypomnieli sobie, że jestem Ukraińcem, jak umarł Stalin i przyszedł Gomułka. Za Gomułki można było trochę odetchnąć. To nawet było niezłe życie. Ale niektórzy wstydzili się przyznać, skąd są.

\*

Łał straszny deszcz. Nadzieja mówi, żeby pod dachem schować choćby dzieci, ale szef miejscowej Milicji Obywatelskiej, Kozicki, nie pozwala. Przywieźli ich odkrytymi wozami do domów, które były do wzięcia, jeden daleko od drugiego. W rodzinnej wsi Nadziei było ciasno: jak człowiek chciał zagadać, wychylał się przez okno. Tu las albo przestrzeń, obco, nawet bardzo. Ale co wspominać dawną wieś, skoro nawet przyjaciółka mamy – Polka – na oczach wysiedlanych ukradła kanapę, a ludzie zaczęli między siebie dzielić ich dobytek.

– Wszystko w tych poniemieckich domach obrabowane, wyrwali nawet futryny – opowiada. – Zostały tylko kolorowe kafle na podłodze, a w okienkach jakieś witraże, nie mam pojęcia, w jaki sposób ocalały. Mama zadecydowała, że nie zostanie tu, bo między niemieckimi trupami mieszkać nie będzie. Ja trupów już nie widziałam. Kiedy tu jechaliśmy, koń się spłoszył, spadłam z wozu, złamałam nogę

i zabrali mnie do szpitala. U nas konie niekute, a tu bruk, ślizgały się w tym deszczu. I tym sposobem przypadła nam nędzna lepianka.

Dziury po oknach zabili deskami, póki nie wystarali się o jakieś ciemne, matowe szkło. Tygodniami mieszkali bez drzwi. Z przydziału dostali też pole, ale nieobsiane.

\*

Już skończyły się masowe wywózki. Południowy wschód Polski wyczyszczono według kryteriów etnicznych i religijnych. Ocaleli nieliczni, głównie jakoś zasłużeni władzy ludowej, ale tych też postanowiono dorznąć.

Instrukcja Państwowej Komisji Bezpieczeństwa:

Tajne. Pozostały jedynie wątpliwości co do wysiedlenia Ukraińców z zaplecza obszaru przygranicznego w Lubelszczyźnie, mianowicie z powiatów Krasnystaw, Zamość i Biłgoraj.

W tej sprawie należy trzymać się dyrektyw następujących:

W zasadzie wszystkie rodziny ukraińskie z tych powiatów bez względu na stopień lojalności i przynależność partyjną mają być wysiedlone. Wyjątki mogą być robione za zgodą ministra obrony narodowej i ministra bezpieczeństwa.

Wysiedlenie tej ludności, która na ogół wykazywała się lojalnością wobec Polski demokratycznej, należy przeprowadzić w sposób nadzwyczaj staranny, czyniąc jej wszelkie ułatwienia w sprawie zabrania dobytku. Wysiedlić ją należy po dokonanych zbiorze i wymłóceniu zboża [...].

W sprawie najbliższych rodzin oficerów wojska polskiego i pracowników bezpieczeństwa należy każdorazowo kierować zapytanie szyfrówką do ministra obrony narodowej względnie ministra bezpieczeństwa.

Ukraińskie rodziny zdemobilizowanych i szeregowych służby czynnej należy wysiedlić.

[...] Kilkakrotnie sprawdzić każdą wysiedloną wieś, aby nie pozostała w niej żadna rodzina ukraińska lub mieszana.

Z północy i zachodu Polski docierały inne komunikaty.

Sprawozdanie dowództwa Okręgu Pomorskiego wojska:

Tajne. W ostatnim okresie dało się zaobserwować wzmożenie aktywności wśród przesiedleńców ukraińskich z południowych województw na Ziemię Zachodnie. W związku z tym powiatowa komenda Milicji Obywatelskiej w Starogardzie przystąpiła do realizacji planu „W”, mającego na celu rozbitcie przesiedleńców na małe grupy celem niedania im możliwości utrzymania między sobą stałego kontaktu.

Na podstawie otrzymanych danych z województw Szczecin i Gdańsk stwierdzić się daje, że katastrofalna sytuacja gospodarcza i ekonomiczna ludności ukraińskiej może w najbliższym okresie wyrzucić złe skutki na bezpieczeństwo tych terenów, szczególnie w województwie Gdańsk.

Ludność ukraińska potrzebuje pomocy materialnej. Przesiedlenie jej w okresie przed zbiorami jest jednym z powodów. Poza tym Ukraińcy w większości otrzymali gospodarstwa zdewastowane, nie posiadają ani sprzętu rolniczego, jak również ziarna. Przesiedleńcy pod wpływem nędzy mogą być skłonni do bandytyzmu, jak i wystąpień antypaństwowych. Polepszenie ich bytu przez udzielenie pomocy i uprzedzenie niepożądanych wystąpień w dużej mierze zależy od władz administracyjnych.

Raport dowództwa Okręgu Pomorskiego:

Tajne. Przybyła ludność znajduje się obecnie w bardzo ciężkich warunkach materialnych. Warunki mieszkaniowe są wyjątkowo ciężkie, gdyż prawie wszystkie gospodarstwa wymagają remontu. To samo stosuje się odnośnie żywego inwentarza i stopnia zagospodarowania. Ta część ludności ukraińskiej, która przybyła najwcześniej, zdążyła jeszcze zasadzić ziemniaki i obsiać zboże jare. Procent jej jest jednak bardzo mały.

W powiecie Szczecinek zasadzono 230 hektarów kartofli i zasiano 70 hektarów jęczmienia. Natomiast w województwie gdańskim, gdzie pierwsze transporty przybyły po 15 czerwca, nie zdążono nic zasiać ani zasadzić. Daje się odczuć brak ziarna do siewu jesiennego. W powiecie Gryfice z 417 przybyłych rodzin 314 nie posiada kartofli ani ziarna na przetrzymanie zimy.

Za to wojewoda rzeszowski donosił z zadowoleniem: „Problem mniejszości ukraińskiej po ostatnim wysiedleniu przestał istnieć”.

# Uczyniliśmy wielkie krzywdy

Zapiski z tajnego protokołu Kolegium Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 5 czerwca 1956 roku, opublikowane w pracy *Akcja „Wisła” 1947*. Kolegium zwołano specjalnie przed zjazdem ukraińskiej mniejszości, zorganizowanym na fali postalinowskiej odwilży, moskiewskiego XX zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i tajnego referatu Nikity Chruszczowa o zbrodniach poprzedniej ekipy.

Dowódca Wojsk Wewnętrznych generał Juliusz Hibner – uczestnik, podobnie jak generał Karol Świerczewski „Walter”, wojny domowej w Hiszpanii – zastępca generała Stefana Mossora, szefa grupy operacyjnej „Wisła”:

W latach 1944–46 i 1947 władza na terenach objętych później akcją „W” należała faktycznie do band UPA. Mieliliśmy pełne prawo i obowiązek walczyć z tą kontrrewolucją przy pomocy wojsk regularnych. W walce tej były wydawane bezwzględne dyrektywy dotyczące ludności, które spowodowały, że cała ludność czynnie popierała bandy. W tych warunkach nie istniała praktycznie możliwość likwidacji band bez równoczesnego wysiedlenia ludności cywilnej.

Słowem – stara śpiewka, opowiadana w PRL-u już prawie dziesięć lat.

Ale zaraz Hibner dodaje:

Popelniliśmy ogromny błąd w stosunku do ludności ukraińskiej, stosując przeciwko niej ostre represje. Akcja „W” była ostatecznym wynikiem tego błędu. Oceniamy nasze stanowisko w tych sprawach jako niesłuszne i niesprawiedliwe, niezgodne z naszą ideologią, ale sama ocena nie usprawiedliwia naszych potwornych błędów. Konieczna jest pełna rehabilitacja i zdanie rachunku z tego, co było. Wniosek dokonania krytycznej oceny akcji „W” uważam za słuszny. Na projektowanym zjeździe należy powiedzieć prawdę, przypomnieć, jak było – nie po to, aby się usprawiedliwiać, ale że w każdym poszczególnym przypadku partia i rząd uczyni wszystko, co będzie możliwe do zrobienia. Uważam, że problem krzywd popełnionych rozwiązać

należy nie tylko poprzez powrót, ale przez udzielenie maksymalnej pomocy i opieki wszystkim tym, którzy czują się pokrzywdzeni.

Komendant główny Milicji Obywatelskiej Stanisław Wolański, podczas akcji „Wisła” dowódca 2 brygady KBW:

Zgadzam się z towarzyszem Hibnerem, że w owym czasie akcja „W” była absolutną koniecznością. Innej drogi nie było. Bezszykownie rzucano dywizje z frontu. Warunki terenowe i pomoc absolutnie całej ludności stworzyły konieczność poderwania bazy, aby można było zlikwidować bandy. Nie uważam jednak za słuszne występowanie z krytyczną oceną tych spraw. To nie jest tylko zagadnienie Ukraińców. Dając taką ocenę, musimy zahaczyć o problem Niemców wysiedlonych na Zachód. Ponadto ocena taka byłaby niesłuszna, tym bardziej że nie mamy praktycznych możliwości pełnego zadośćuczynienia.

Kwatermistrz KBW Zbigniew Fijałek:

Przedstawiona w notatce ocena tych zagadnień oznacza pełną rehabilitację ludności ukraińskiej. Uważam, że w tej kwestii jest na to za wcześnie. Do sprawy tej należy podejść ostrożnie. Trzeba wykazać błędy Ukraińców i nasze. Nie można rehabilitować wszystkich bez względu na to, czy byli winni, czy też nie. Oznaczałoby to przyjęcie całej winy na siebie.

Towarzysz Sosna z Departamentu Społeczno-Administracyjnego MSW (w protokole nie ma jego imienia):

Znane mi są nastroje panujące wśród wysiedlonej ludności ukraińskiej. Dla nich najważniejszą sprawą jest dyskryminacja w akcji „W”. Powszechne jest pragnienie zmycia piętna, które ciąży nad nimi od chwili wysiedlenia. Dopóki partia nasza nie powie, że akcja „W” była niesłuszna, dotąd w praktyce nie ustanie dyskryminacja. Ze sprawą tą wiąże się zagadnienie młodzieży ukraińskiej, którą powinniśmy wychowywać w naszym duchu. Młodzieży tej winniśmy dać zadośćuczynienie za wyrządzoną niesprawiedliwość.

Czesław Nakoniecznik, naczelnik wydziału drugiego Departamentu Społeczno-Administracyjnego:



Do niedawna tendencje powrotu wśród wysiedlonych były silne, ale istniały one dlatego, że władze miejscowe źle traktowały wysiedlonych. Oznaczanie budynków mieszkalnych wysiedlonych literą „W”, niedopuszczanie Ukraińców do udziału w życiu gospodarczym i społecznych stwarzały wzajemne antagonizmy. Stąd wynikało pragnienie powrotu jako środka rehabilitacji.

Zygfryd Sznek, wiceminister spraw wewnętrznych, komunista od przedwojnia:

Nie ulega wątpliwości konieczność zajęcia stanowiska w sprawie akcji „W” w związku ze zbliżającym się zjazdem Ukraińców. Nie chodzi tu tylko o oddanie świadectwa prawdzie historycznej i nie tylko o wychowanie naszej partii w duchu zasad marksizmu-leninizmu, ale także o to, że w życiu codziennym zachodzi wciąż wiele wypadków dyskryminacji w stosunku do ludności ukraińskiej. Walczymy z dyskryminacją nieudolnie, ponieważ nie mamy sygnałów ze strony poszkodowanych, którzy boją się występować ze skargami. Odważne postawienie sprawy rehabilitacji jest konieczne. Dopiero wtedy pokrzywdzeni zaczną mówić o swoich krzywdach. Pomoże nam to podjąć walkę z ogromem krzywd, które działy się i dzieją. XX zjazd dopomógł nam spojrzeć na zagadnienie nowymi oczyma. Widzimy pełniej nasze błędy w stosunku do mniejszości narodowych. Nie sądzę, by sprawa Ukraińców w jakikolwiek sposób mogła zmienić fakty nieodwracalne, i nie widzę powodu, byśmy się mieli obawiać wzmożenia wrogiej propagandy wokół tych spraw. Nasze zamierzenia w stosunku do ludności ukraińskiej to maksymalna pomoc materialna, kulturalna, to naprawienie krzywd doznanych.

Wygląda na to, że 5 czerwca 1956 roku, wczesnym popołudniem – posiedzenie kolegium bezpieki skończyło się około godziny trzeciej – nawet najbardziej zajadłych ruszyło sumienie, choć ubierali uczucia i poczucie winy w komunistyczną nowomowę. Wnet im przeszło, no i co zrobić?

Ale czy przeszło generałowi Hibnerowi? Czy jego wypowiedź o akcji „Wisła” to tylko komunistyczna nowomowa? Czy nie stało za tymi słowami coś więcej, jakieś rodzące się przeczucie?

Źle – co dzisiaj bardzo łatwo wypomnieć – Juliusz Hibner diagnozował ówczesny świat wokół siebie. Związał się z sowieckim totalitaryzmem w polskim wydaniu, również w imię sprzeciwu wobec faszyzmu, ale nie dla kariery i apanaży.

Chciał walczyć z nacjonalizmem, niech będzie ukraiński. Nie dostrzegął (albo zobaczył to za późno), że Ukraińcom w południowo-wschodniej Polsce bardziej idzie o własne zagrody niż o ideę nacji. Komuniści, w co trudno uwierzyć, w ówczesnej Polsce tak jednak było, mieli dwie możliwości: mogli być w służbie stalinowskiego porządku albo przestawali być komunistami. Za każdy wybór trzeba było zapłacić.

Gdy Hibner był dzieckiem, miał jedno marzenie: kiedy dorośnie, będzie tak bogaty, że od czasu do czasu wypije herbatę wprost z głowy cukru; przed wojną jego rodzina to była niewiarygodna wręcz żydowska nędza. Trochę podrośł i wymyślił sobie, że zostanie matematykiem. Ale komunizm wołał, kusił obietnicą sprawiedliwości i równości, co musiało podobać się żydowskiemu chłopcu dorastającemu wśród straszliwej biedy i poniżenia. Opowiadał żonie, młodszej o kilkanaście lat (zanotował to Piotr Lipiński w reportażu o powikłanych losach generała *Nierówność Hibnera*): „Nie jest łatwo pogodzić się z objawami dyskryminacji i upokorzenia w kraju, w którym czujesz się normalnym obywatelem, wcale nie gorszym od innych”.

Jedenaście lat przed wysiedleniami Ukraińców nielegalnie pojechał na wojnę domową do Hiszpanii, pokonując granice ukryty między osiami pociągów towarowych; jeden z nielicznych, którzy dotarli do oddziałów republikańskich bez wsparcia komunistycznej siatki. Znalazł się między tysiącami ludzi z całego świata, których do Hiszpanii przywiodło jedno pragnienie: zatrzymać faszyzm. Po zwycięstwie generała Franco został internowany we Francji i wysłany do obozu w północnej Afryce. W 1943 roku dotarł do Związku Radzieckiego i wstąpił do berlingowców.

Był odważny – to on poderwał polskich żołnierzy do szturm pod Lenino, gdy ich sowiecki dowódca leżał w okopie pijany w sztok. Ciężko ranny (nie pierwszy raz w życiu) zagubił się gdzieś w białoruskich bagnach. Uznano go za zmarłego i odznaczono tytułem Bohatera Związku Radzieckiego. Wrócił na wojnę do armii generała Karola Świerczewskiego. Od Hiszpanii darzył Waltera wielkim szacunkiem; między kombatantami Brygad Międzynarodowych wytworzyła się bardzo silna więź.

W październiku 1956 roku znalazł się w gronie oficerów wojska i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego – między innymi obok innego uczestnika wojny domowej w Hiszpanii, generała Wacława Komara – gotowych do obrony Warszawy przed interwencją sowieckich wojsk z północnej grupy Armii

Czerwonej. Żołnierze KBW obsadzili mosty i główne budynki w mieście, patrolowali ulice; Hibner był duchem oporu, zapowiedział Władysławowi Gomułce, że nie wyda rozkazu użycia wojsk KBW przeciwko zbuntowanemu miastu, ale do walki z Rosjanami – owszem. Sowieckie tanki zatrzymały się na Żeraniu.

Minął kolejny rok, a Hibner miał już dość polityki w wydaniu realnego socjalizmu. Kilkukrotnie składał dymisję – co w tamtym czasie było wyjątkiem i narażało na realne koszty osobiste. Nie chciano o tym z nim rozmawiać. Wymusił odejście z wojska w 1959 roku, szarpiąc za klapy ówczesnego ministra spraw wewnętrznych.

Miał pięćdziesiąt lat, gdy został bardzo cenionym fizykiem. Jego zdjęcie i nazwisko zniknęło nawet z książek poświęconych polskiem ochotnikom hiszpańskiej wojny. Szanowali go ludzie o tak różnych biografjach jak profesor Leszek Kołakowski i metropolita lubelski arcybiskup Józef Życiński.

Pisał wspomnienia o akcji „Wisła”, których nigdy nie udostępnił. O deportacje Ukraińców przepytował go Eugeniusz Misiło. Hibner odpowiadał ogólnikami, a Misiło miał wrażenie, że prawdziwy obraz wyrzucanych z domów ukraińskich chłopów, który wypierał z pamięci, bardzo mu ciąży: jako ideowy komunista walczył w Hiszpanii w obronie ludu, a tu krzywdził lud ukraiński. Misiło odnalazł raport szefa wywiadu wojskowego z kwietnia 1946 roku, w którym cytuje Hibnera: „Pomyślcie tylko, jakie niesłuszne kroki polityczne w stosunku do ludności ukraińskiej proponuje nasze dowództwo, zmuszając ich tym samym do ucieczki do band i wywołując nienawiść do Związku Radzieckiego”. Hibner – uważa Misiło – musiał wiedzieć o wszystkich okropnościach dziejących się w Bieszczadach: o mordach, torturach, o wymuszaniu zeznań na jeńcach i paleniu ukraińskich wsi. Nigdy nie powiedział ani jednego dobrego słowa o UPA. Ale wyrwa w sumieniu została na zawsze.

Pisze Piotr Lipiński:

Trochę więcej, ale też bez żadnych szczegółów, opowiadał po latach swojej córce Urszuli: „Na wspomnienia przyszedł czas, kiedy Palestyńczycy walczący z Izraelem przeprowadzali zamachy terrorystyczne. Tata porównywał sytuację Ukraińców do Palestyńczyków. Uważał, że jedni i drudzy znaleźli się w pułapce, z której nie było dobrego wyjścia [...]. Czuł, że ma tych ludzi na sumieniu”.

## Pomysł na przetrwanie

Ksiądz Mirosław Ripecki, przywieziony na Mazury ze wsi Liski w powiecie hrubieszowskim, musiał razem z rodziną iść ze stacji w Giżycku aż do ukrytego w lesie przysiółka Chrzanowo pod Ełkiem. Urodził się w czerwcu 1889 roku w Samborze. Jego ojciec był greckokatolickim księdzem, katechetą w okolicznych ukraińskich szkołach ludowych i znanym działaczem społecznym. Studiował w lwowskim seminarium duchownym, a równolegle skończył teologię na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Dużo pisał, w tym książki dla dzieci. Interesował się mniejszościami katolickimi w krajach Skandynawii. Działał społecznie, podpatrując organizujące się spółdzielnie w górach Bukowiny. Nim został wyświęcony przez przemyskiego biskupa Konstantego Czechowicza na księdza, ożenił się z Eugenią Smułką, również z rodziny duchownego.

Podczas I wojny światowej był kapelanem polowym w wojsku austro-węgierskim. Kiedy wrócił do parafii w Mostach Wielkich w powiecie żółkiewskim, po raz pierwszy trafił do więzienia; jego parafianie byli źle traktowani przez węgierskich honwedów walczących za cesarza Franciszka Józefa. Siedział krótko – okazało się, że młody ksiądz Ripecki był po słuszniej stronie sporu.

Gdy w powojennej zawierusze powstała Zachodnioukraińska Republika Ludowa, Ripecki znów dostał powołanie do wojska; był na froncie razem ze Strzelcami Siczowymi. Podczas walk z bolszewikami doszedł aż pod Winnicę. Chorował na tyfus. A kiedy marzenia o ukraińskiej niepodległości zamieniły się w worek kłaków, przedostał się do Sokala. Objął parafię w Liskach, wsi rozjechanej przez wojnę. Zbudował tam cerkiew, plebanię i dom parafialny, sławny w okolicy z krzewienia ukraińskości.

W ten sposób ksiądz Mirosław wpadł w oko policji politycznej II Rzeczypospolitej. Zrazu potajemnie, a potem otwarcie stawiano mu zarzuty, że sprzyja OUN, która nie brzydziła się politycznym terrorem. Oskarżenie wyszło z palca i w lipcu 1939 roku było już gotowe pismo, by za ukraińskie tendencje wywrotowe i niepodległościowe zamknąć Ripeckiego w Berezie Kartuskiej. Po trzytygodniowej odsiadce w więzieniu we Lwowie wyciągnął go metropolita

Andrzej Szeptycki, a poręczenie lojalności wobec RP dało kilku ukraińskich posłów na sejm.

Wybuch II wojny światowej zastał go w Liskach. Tam przetrwał sowiecką i niemiecką okupację. Przypadkiem – schował się z żoną w ziemiance – ocalał z pogromu wsi urządzonego przez polskie podziemie w marcu 1944 roku. Ukrywał się, gdy trwały wywózki polskich Ukraińców do ZSRR w 1946 roku. Zdiesiątkowane Liski, wieś mieszkająca w ziemiankach, poległy ze szczętem dopiero podczas akcji „Wisła”. Ripecki trafił do przysiółka, gdzie było raptem kilka chałup, a wokół pustka i lasy.

Już po kilku dniach pobytu w Chrzanowie, ksiądz Mirosław Ripecki odprawił pierwszą grekokatolicką mszę w izbie zajmowanej przez siebie lichej chałupy, którą zamienił w kaplicę. Udzielał komunii, dawał śluby, spowiadał, uczestniczył w pochówkach. Z czasem na jego msze przybywali Ukraińcy nie tylko z Mazur (wychodzili z miejsc zesłania w sobotę wieczorem, by na rano dojść do Chrzanowa), ale też spod Szczecina czy Zielonej Góry. Małutki przysiółek pod lasem, gdzie dzisiaj, tuż obok domu i cerkwi Ripeckiego, jest kopalnia piasku i żwiru szpecąca krajobraz, stał się miejscem nieformalnych pielgrzymek i centrum życia duchowego.

Wydawało się, że ksiądz Mirosław jest pod specjalną opieką losu. Przed uwięzieniem w obozie koncentracyjnym w Jaworznie uchroniła go żona. Gdy ubecy przepatrywali transport, wyszukując ukraińskich duchownych i inteligentów, by wysłać ich do Jaworzna, wybłagała u wyższego oficera, żeby mąż mógł jechać na Mazury. Podsyłano mu również prowokatorów, którzy przedstawiali się jako delegaci komórek OUN. Ripecki i jego kaplica byli pod ciągłym nadzorem milicji i bezpieczeństwa. Historycy badający jego działalność duszpasterską nie natknęli się w archiwach na choćby pojedynczy papier świadczący o tym, że ksiądz poszedł na współpracę.

Jak to się stało, że Ripeckiego, podejrzanego Ukraińca już w czasach II RP, nie przekabacano na agenta (niektórzy duchowni Cerkwi, przestraszeni i ugodowi, poszli na współpracę)? Nie istnieją żadne twarde tropy, pozostają domysły, a wszystkie interpretowane na korzyść duchownego. Jeden głosi, że w ełckiej komendzie UB był Ukrainiec, być może nawet jakiś daleki kuzyn, który chronił księdza. Lecz jeśli nawet Ripecki nie wchodził (choć wchodził bez dwóch zdań) w drogę UB, a może nawet coś opowiadał o parafii, akurat wygrał to starcie, bo nikogo nie skrzywdził, nie donosił. Znał chyba każdego Ukraińca zesłanego na

Mazury, odpowiadał na listy (stawiano mu najprostsze i najbardziej intymne pytania), działał w lokalnych strukturach powołutku organizujących się ukraińskich towarzystw kulturalnych.

Bo i Ripecki nie czapkował nikomu. Jeszcze w 1945 roku, krótko przed pierwszym aresztowaniem, biskup przemyski Jozafat Kocyłowski potwierdził, że jest władny sprawować duszpasterską opiekę nad grekokatolikami. Ksiądz Mirosław miał więc prawo domagać się swojego. Kościół rzymskokatolicki raczej rzucał mu kłody pod nogi – miał Cerkiew za młodszą, brzydszą siostrę, a nawet trochę niedorozwiniętą.

Ksiądz Mirosław podpadł administratorowi diecezji warmińskiej Teodorowi Benschowi, świeżo mianowanemu ordynariuszowi warmińskiemu i Wielkopolaninowi z urodzenia, który – rzucony na Warmię i Mazury, na dodatek w czasie walki z religią – nie miał pojęcia o grekokatolicyzmie. Na dodatek sam był na celowniku komunistycznej władzy (w początku lat pięćdziesiątych zmuszono go do rezygnacji z urzędu).

Dość było biskupowi Benschowi wygnanych księży katolickich narodowości niemieckiej lub Mazurów. Nakazał, wspólnie z prymasem Stefanem Wyszyńskim, przełożonym grekokatolików, by Ripecki (a po nim ewentualnie inni księża) przeszli na birytualizm, czyli odprawiali msze łacińskie. Słał zapytania, czy w Chrzanowie jest aby prawdziwa parafia. Kwestionował prawo do chrztów i ślubów. Sprzeciwiał się spowiedzi.

Wspomagał go kardynał Stefan Wyszyński, choć z czasem, po zapytaniach słanych do Watykanu, uznał, że w Chrzanowie jest prawdziwa Cerkiew. Ale w przemyśleniach Prymasa Tysiąclecia nie mieściła się Cerkiew grekokatolicka. Gdy ksiądz Mirosław, umocniony słowami biskupa Kocyłowskiego, prosił prymasa o posłuchanie, ten kazał mu czekać w przedpokojach, a kiedy wreszcie miał czas, by porozmawiać, zwracał się do księdza per „panie Ripecki”. Kwestionował jego prawo do udzielania ślubów i spowiedzi. Nakazywał, by księża grekokatolicy mieszkali osobno od swoich żon i dzieci. Nie zmienił postanowienia, gdy uznał, że jednak w Chrzanowie działa legalna parafia, i przyjął do wiadomości, że ksiądz Ripecki ma tytuł mitrata, przyznany w 1966 roku w Rzymie przez kardynała Josyfa Slipyja, uratowanego z sowieckich łagrów dzięki osobistej interwencji papieża Jana XXIII i członka Kolegium Kardynałów.

Szczęście raz opuściło księdza Mirosława. Albo, co też możliwe, ktoś gdzieś mocniej mu się przyjrzał. W początku lat sześćdziesiątych, gdy opresja przeciwko

Kościółowi katolickiemu lekko zelżała, a sytuacja grekokatolików w Kościele też stała się nieco mniej opresyjna, został skazany na trzy lata więzienia. Pretekstem był kolportaż świętych obrazków i literatury religijnej.

Ksiądz Mirosław Ripecki zmarł w 1974 roku. Pochowano go w Liskach. Dzisiaj na cerkwi w Chrzanowie wiszą dwie tablice – niby nie o nim, a o nim. Między Ukraińcami biega za świętego.

\*

– Nie było wyjścia, tylko uczyć się – wspomina Włodzimierz. – Mój starszy brat nie wytrzymał w szkole: przezywali go, ubliżali, wołał uciekać. Po kilku klasach rzucił, pracował w polu jako rolnik. Przestali mu dokuczać. A ja odwrotnie. Wiele nie dostałem, więc zostałem przy kształceniu.

Siedzimy w mazurskim Srokowie, tuż przy ryneczku, gdzie ratusz i pamiątkowa tablica Stanisława Srokowskiego, przedwojennego dyplomaty, geografa i szefa komisji państwowej spolszczającej niemieckie nazwy na Mazurach. Jest piekarnia, sklep z ciuchami z drugiej ręki, gdzieś od tyłu apteka i jeszcze parę składzików; wszystko otwarte do czwartej po południu.

Lecz mieszkanie w takim miasteczku ma jakiś wdzięk. Wystarczy zapytać kogokolwiek, a zaraz podprowadzi do pana Włodzimierza. Znany jest tu z pszczoł (ma ule od czterdziestu lat), ale przede wszystkim – był nauczycielem w okolicy. Kiedyś taka posada oznaczała szacunek. Zwłaszcza gdy nauczyciel był kształcony.

– Byli różni, a jeśli po maturze, znaczyło się, że wykształceni – wspomina. – Ja, no cóż, a jakie miałem inne wyjście.

Pierwsza szkoła Włodzimierza znajdowała się w Łęknicy, wsi tak ukraińskiej jak Ułazów pod Lubaczowem, tyle że w innym krajobrazie. Poniemiecki budynek, cztery klasy, na pięterku mieszkanie dla nauczyciela. Za Ukraińcami nikt nie krzyczał, bo innych we wsi nie było. Jak się Polakom chciało przesiedlić tyle tysięcy, to i mieli za swoje. Do granicy ze dwa kilometry. Wojsko łązi bez przerwy, milicja, UB. Po co oni łążą, skoro z drugiej strony radziecka Rosja? Takie mają polecenia, nic nie poradzisz.

Włodzimierz skończył studium nauczycielskie w Szczecinie. Potem dwie filologie – ukraińską i rosyjską – w Warszawie na uniwersytecie. Pracował tyle, ile mógł. W elementarzu była czytanka o lisie – w końcu to najprostsze litery – ale dzieci pisały i mówiły „lys”, po swojsku. Uczył więc o tym „lysie”.

Mieli sąsiada, niejakiego Adamczyka, prosto z Wołynia. Ciągłe zły, a może po prostu mu się nie wiodło. Nie pił więcej niż swoi. Po pijaku opowiadał, jak spalił popa w hajdamackiej wsi, a ten pop, zajęty płomieniem, tak śmiesznie piszczał. Nie było się co odgryzać.

Okoliczności zaś były takie, że często zajeżdżali tu funkcjonariusze z Kętrzyna. Wchodzili do domu Włodzimierza i wypytywali, co w okolicy. Głupawa rozmowa, oni mieli się dowiedzieć, a jemu było za jedno, bo na tak strasznej prowincji nic się nie dzieje. Raz funkcjonariusz poprosił o coś do picia. Włodzimierz poszedł do sieni po chłodny kompot. Ubek popił i poszedł, a on, wiedziony jakimś zmysłem, patrzy pod stół. Tam czarna skrzyneczka z anteną, przed domem dwie nyski najeżone drutami.

„Podśłuchujecie, łobuzy – podumał. – To i się nic nie dowiecie”.

Odtąd po wizytach UB w domu nikt nic nie mówił przez wiele godzin.

– Ale do partii musiałem przystać – wspomina. – Dla świętego spokoju. Jak wziąłem legitymację, odczepili się. Uczyłem ukraińskiego, więc nie za bardzo był wybór. „Zostanę towarzyszem – pomyślałem – i coś zwojuję”. Nie zostanę i nic nie zrobię.

Przykro było raz, na spotkaniu w Kętrzynie, gdzie za wspólnym stołem posadzono kilkudziesięciu dyrektorów podstawówek z całej Polski; pod Włodzimierzem była już szkoła w Bajorach. Śledź w oleju, galaretka z nówek, schabowy, wódka na okrągło. Rozkręciło się w dyskusji o ukraińskich zbrodniach. Najwięcej mówili ci, którzy ze wschodem nie mieli nic wspólnego.

– Było nas kilkunastu takich jak ja, z akcji „Wisła”. Czułem się jak w sieczkarni: ludzie, którzy nie mają pojęcia, jak było, szatkują jak kapustę mnie i moją pamięć, a wokół cisza. Odezwałem się, na co moi: „Władek, nie wychylaj się”. Wypiłem, wyszedłem, co się będę targać? Polacy z Wileńskiego, z Białorusi byli za mną. Ci z Kielecczyny, z Warszawy nie daj Bóg, choć Ukraińca na oczy nie widzieli.

Kiedy syn Włodzimierza pojechał do dziadków w Jagławce, było mu gorzej, bo Ukraińców we wsi ze trzy rodziny. Jechali na rowerach, a wtedy dzieci rzucały kamieniami.

Czasami trzeba było schować się z głośniejszymi śpiewami – to już w Kętrzynie, podczas zabaw między swoimi.

Minęło. Drobiazgi zawsze przechodzą.



Bielica, pomorska wieś Stefanii, była jak dwie mało pasujące do siebie części. Większa – ukraińska, ale też podzielona, bo część ludzi przywieźli tu z Lubelszczyzny, gdzie były ukraińskie czytelnie i działała samokształceniowa Proswita, a innych z ukrytych w górach przysiółków; nawet ich język był nieco inny. Mniejsza – polska, zamieszкана przez Zabuzan. Był też jeden Niemiec, który nie zabrał się ze swoimi. Gdy popił, a pił często, krzyczał na żonę: „Ty ukraińska kurwo”. Choć ona Zabuzanka, ale prawosławna, więc nie Ukrainka z „Wisły”.

Polskie i ukraińskie dzieci bawiły się z sobą. Czasem polskie urągały ukraińskim od banderowców, ale przecież były na siebie skazane, podobnie jak dorośli. Zresztą w Białym Borze była już w latach sześćdziesiątych ukraińska szkoła (powstała w 1958 roku) – niby zwyczajna, prowincjonalna podstawówka z internatem, ale nosząca imię Tarasa Szewczenki i z ukraińskim językiem nauczania. A potem, jak reszta rodzeństwa, Stefania poszła do ukraińskiego liceum do Legnicy.

– Niektórzy z naszych, nawet bardzo bliskich, ukrywali narodowość – mówi Stefania. – Chodzili do łacińskiego kościoła, mówili tylko po polsku, nawet z dziećmi, a może przede wszystkim z nimi. Rodzina taty, może przez jego Jaworzno, a może tak po prostu, dla bezpieczeństwa i wygody, całkowicie się spolonizowała. Dzieciom nadawali bardzo polskie imiona. Bez sensu, bo przecież i tak wszyscy wiedzieli, Ukraińcy i Polacy.

Rodziny, jak to zwykle, spotykały się w zasadzie tylko na wielkich uroczystościach, ślubach i pogrzebach. Ludzie zjeżdżali z całego Pomorza, a nawet z Lubuskiego i z Dolnego Śląska. Pewnego razu bliski kuzyn Stefanii podsłuchiwał rozmowę swojego ojca z wujem. Zaczęli po polsku, ale po kilku zdaniach język się zmienił na bardziej miękki, śpiewniejszy. Kuzyn zapytał: „Ty, tato, mówisz tym językiem?”. On na to: „Twoja matka też”.

Tak Zbyszek dowiedział się, że jest Ukraińcem; już studiował na uniwersytecie. Nie był jedyny. Gdy rodzina Stefanii jeździła do Białego Boru na nabożeństwa, spotykali ludzi, którzy w lekkim popłochu mijali cmentarną kaplicę zamienioną w cerkiew. Czasem mama powiedziała: „O, ci są z mojego Dzikowa”. Czasem ojciec wskazał kogoś, kto na wschodzie mieszkał w sąsiednim przysiółku. Biały Bór to niby prowincja, ale jak ktoś już tam trafił z okolicznych wsi, mógł ludzię się nadzieją, że schowa się między Polakami, nikt go nie pozna, nic nie wypomni i będzie mu ciut łatwiej. A co dopiero w Koszalinie, w Szczecinie, w Słupsku lub w Zielonej Górze. Ludzie chronili siebie i rodziny, zwłaszcza że w latach sześćdziesiątych wynudzeni jak mopsy powiatowi funkcjonariusze Służby

Bezpieczeństwa przypominali sobie o deportowanych i lubili od czasu do czasu postraszyć. Dzisiaj można się z tego śmiać, lecz wówczas nikomu nie było do śmiechu.

– Ten nasz Zbyszek był bardzo zdziwiony, zaszokowany – tak zapamiętała Stefania. – Miał ogromne pretensje do rodziców, zaczął uczyć się ukraińskiego, chciał za wszelką cenę przystać do naszego towarzystwa. Nie udało się, zresztą nie tylko jemu. Zbyszek nie był jedynym, komu coś zabrano i już nie potrafiło oddać.

Ci, których dziadkowie i rodzice ze strachu uciekli od ukraińskości, stawali się Polakami. Tak realizowała się w praktyce główna idea wywózek.

Bogu dzięki, że była jeszcze Cerkiew. Rodzice Stefanii po to, by pobrać się we wschodniej liturgii, kilka dni jechali do Cyganka pod Gdańskiem, gdzie od 1952 roku ksiądz Bazyli Hrynyk odprawiał w zrujnowanym gotyckim kościele skryte przed szerszą gromadą wiernych greckokatolickie msze (skończyło się, gdy poszedł siedzieć za – podobno – wspieranie UPA, w 1954 roku został skazany na sześć lat, wyszedł po Październiku '56). Stefania jest pewna, że religijność jej rodziny była równoznaczna z ukraińskością. Kto wytrwał przy starej wierze, z reguły nie odszedł od języka. W drugą stronę bywało już różnie.

– Mama mówiła, że u nas w Białym Borze nie ma prawdziwej cerkwi – opowiada. – Chodziliśmy na msze każdej niedzieli i w każde święto, a mama swoje: to nie jest prawdziwa cerkiew. Jakoś w latach osiemdziesiątych pojechałam do Dzikowa Starego, maminej wsi. Zobaczyłam murowaną ruinę: odpadający tynk, dziury w ścianach. W świątyni zrobili magazyn nawozów sztucznych, spelunę, gdzie walały się flaszki, taki szalet dla miejscowych pijaków. Weszłam do środka zza miejsca, gdzie kiedyś stał ikonostas. Miałam wrażenie, że naruszam świętość, wszystko mnie bolało; w cerkwi tam się nie wchodzi, to miejsce jest zarezerwowane dla kapłana. Wtedy zrozumiałam po raz pierwszy, o co szło mojej mamie z naszą cerkwią w Białym Borze, bez cebulastej, pękatej kopuły i tej szczególnej atmosfery, nawet jeśli była zdesakralizowana, zawalona workami z saletrą i potłuczonym szkłem. Oraz dlaczego nigdy nie chciała pojechać do - Dzikowa.

Stefania pamięta wieloletnie oczekiwania mieszkańców Białego Boru na nową cerkiew. Wezwanie ma piękne – Narodzenia Przenajświętszej Bogurodzicy. Powstała w 1997 roku, wystawiona według projektu Jerzego Nowosielskiego. Jest niewielka, lecz nadzwyczaj piękna: prosta bryła z dwiema kopułami, wzorowana na wczesnochrześcijańskich kościołach Wschodu. Ma jeszcze tę właściwość, że

słysząc w niej wyraźnie najcichszy nawet szept, spokojne kazanie brzmi doniośle, a muzyka psalmów i chorałów wylewa się daleko za budynek. Ściany zdobią święci o niemal czarnych twarzach. Czarne oblicze ma surowy i smutny Chrystus Pantokrator w ikonostasie składającym się z trzech obrazów.

– Wiem, że cerkiew Nowosielskiego jest piękna – mówi Stefania. – Młodzi doceniają jej urodę, polubili nowoczesność, ale starsi nigdy się nie przyzwyczaili i już nie przyzwyczajają. Bo w cerkwi musi być miejsce na wyszywane ręczniki, na wazoniki z kwiatkami, niech będą nawet plastikowe, na niezdarne niekiedy ikony, prościutki, pisane przez wioskowych twórców. Takie cerkwie były z nami od zawsze, ratowały obrządek i język, pozwalały przetrwać ukraińskości. Nie byłoby nas już, gdyby nie te ręczniki leżące przy ołtarzach. To był wyznacznik, może tandetny, pospolity, ale bardzo autentyczny, że jesteśmy różni i pilnujemy tej różnorodności, inni od polskiego otoczenia.

\*

Nadzieja:

– Odbyłam jakieś kursy w Pasłęku i w Mrągowie. Dostałam pracę w Giżycku. Wybrano mnie na przewodniczącą Związku Walki Młodych. Nie było już Stalina, rządził Gomułka, więc pytali mnie ludzie (miałam w końcu funkcję), czy można wracać do siebie. Co miałam mówić? Można, ale pod warunkiem że pójdziecie do spółdzielni rolnych, nic waszego tam już nie ma.

Jednak ojciec Nadziei pojechał, żeby się rozeznać. Z tego, co było kiedyś, został tylko spichlerz, a dookoła pusty plac. Powiedział, że wystąpi o powrót. Mama tęskniła za jaśminem. Wrócili. Pobudowali się.

Nadzieja została na Mazurach; jej mąż był ważnym sekretarzem w województwie. Ale partia wymyśliła, że Lublin będzie dla niego najlepszym odcinkiem.

W Lublinie towarzysze partyjni mówią Nadziei, że jest kacapka, Ruska, trzyma z komunistami, jakby oni trzymali z kimś innym. W domu mąż narzeka, że ta wschodnia wiara jest na przekór z jego, rzymską i prawdziwie katolicką. Sypie się Nadziei ten lubelski świat. Rozwodzi się, wraca na Mazury; tak na dodatek podpowiadają partyjne czynniki. Padło na Banie, na wschód od Węgorzewa.

Tam nowy kwas – ludzie chodzą do greckokatolickiej cerkwi, a Nadzieja jest prawosławna. Ale kalendarz świąt ten sam, język ten sam, pamięć tego, co było,

taka sama. Ma pracę w domu kultury. Spoza Bań docierają szept, że Nadzieja ukrainizuje wieś. A to tylko tańce i śpiewanie: trzydzieści głosów w chórze męskim, trzydziestu mandolinistów, zespół złożony z rodzin mieszanych, polsko-ukraińskich. Z drugiej strony ksiądz z miejscowej cerkwi – grekokatolik – plotkuje, że w domu kultury dzieją się bezceństwa i szerzy się ateizm; wszyscy wiedzą, że Nadzieja ma komunizowanie w biografii.

Życiorys Nadziei jest pogmatwany, jak chyba wszystkie tutaj. I tak typowy jak wszystkie życiorysy z polskiej prowincji. W Lublinie było źle, bo Ukrainka. W Baniach jest źle, bo prawosławna komunistka. Ale o wiele mniej źle, niż było w Lublinie.

Już nigdzie nie wyjechała.

\*

Jarosław:

– Zobaczyli nas jako Ukraińców dopiero w 1956 roku. Rok później w Węgorzewie wolno było odprawiać msze po naszymu. Wcześniej, jak to kawalerka, jeździliśmy do Chrzanowa pod Ełk, do księdza Ripeckiego, który w starej szkółce postawił ołtarzyk. Wychodziło się z domu ze dwa dni przed świętem. Rowery, spanie w rowach, czasami ciężarówka podwiozła na pacy. Wszyscy nasi wiedzieli o Ripeckim.

W szkole, nawet w starszych klasach, miał kłopot: kiepska polszczyzna. Ale – taki był czas – chłopskie dzieci wozili po Polsce; pojechali na wycieczkę do Krakowa i do Nowej Huty. Nie chciał zostać w Hucie, choć proponowano mu miejsce w brygadzie murarskiej. Wsiadł w autokar, wrócił, dali mu stanowisko w węgorzewskim ośrodku maszynowym. Potem zabrali do wojska.

– W koszarach poznawaliśmy się po nazwiskach – opowiada. – Polacy nie lubili nas. Co robić? Greków, komunistycznych emigrantów, też nie lubili. Grecy również nie przyznawali się, kim są, chyba że nam.

Chciał pójść do szkoły marynarki wojennej. Przepytawali, kazali dosyłać dokumenty, ale nie przyjęli. Został nauczycielem w trudnej zawodówce dla elementu. Uczył cwaniaczków, awanturników, zwykłych bandziorów.

Lepiej już było w państwowym ośrodku maszynowym. Zrobił kursy na prawo jazdy, a za pół litra szło załatwić na boku ze dwieście litrów paliwa. Jarosław kupił

syrenkę. Pojechał raz do wsi, skąd był deportowany. Jego dom zamieniono na pocztę.

\*

Trwa karnawał pierwszej „Solidarności”. W listopadzie 1981 roku, gdy Polska wrzała od strajków, zwolniono z warszawskiego więzienia na Rakowieckiej majora Iwana Szpontaka „Zalizniaka”, aresztowanego w Czechosłowacji pod koniec lat pięćdziesiątych i wydanego Polakom. Był dowódcą okręgu Sian, został skazany na śmierć, zamienioną na dożywocie. Odpowiadał – tu nie ma sporu – za zbrodnię w Wiązownicy na Pogórzu Tarnogrodzkim. Jego partyzanci zabili ponad dziewięćdziesięciu Polaków i spalili kilkadziesiąt gospodarstw.

Ale też „Zalizniak” bronił ukraińskich wsi przed wysiedleniem i wojennym prawem karał za morderstwa na Ukraińcach. Można było go wypuścić o wiele wcześniej – nie był bandytą, tylko więźniem politycznym, którego wizja świata rozsypała się w pył. Polska o tym nie pomyślała.

Po zwolnieniu z więzienia Szpontak wrócił do rodzinnej Czechosłowacji. Umarł w 1989 roku, tuż przed końcem komunizmu, w zabitej dechami słowackiej wsi. Odsiedział w polskim pierdłu ponad ćwierć wieku. Zmieniały się dekady, przychodzili i odchodzili w niesławie kolejni pierwsi sekretarze PZPR, a „Zalizniak” spał na tym samym więziennym sienniku. Nikt się o niego nie upominał.

## Czy, panie, to już koniec?

Był rok 1989, a Polska szła ku częściowo wolnym wyborom, po których jednak wszystko miało się odmienić, od polityki po nazwy ulic. Jeździłem wówczas po Mazurach i po Pomorzu, zaglądałem na ziemię lubuską i na Dolny Śląsk. Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego pytałem o Ukraińców. Nie stała za tym rodzinna historia przesiedleńców z Wołynia lub spod Lwowa, choć prababcia asystowała pradziadkowi w budowie spółdzielczej huty szkła w Kostopolu pod Równem na Ukrainie czy gdzieś w okolicach. Interes zresztą rychło splajtował, więc powrócili do Warszawy, a pradziadek mógł dalej marzyć, że socjalistyczna własność sprawdza się na wolnym rynku.

Wówczas w Węgorzewie poznałem bazylianina Marka. Był młodym chłopakiem, tak wspaniale otwartym i pomocnym jak niewielu ludzi. Jeździł ze mną (a raczej ja z nim) po wsiach i przysiółkach, chodziliśmy po domach w Baniach Mazurskich i w Giżycku, zatrzymywaliśmy się w dalekich koloniach pod lasem.

Marek pukał do drzwi, mówił „*Sława Isusu Chrystu*” i odpowiadano mu ukraińskim pozdrowieniem. Czasami zalewano nam kawę, czasami listki podłej herbaty parzonej w szklankach. Ale w zasadzie – mimo jego próśb – nie było o czym gadać, bo nikt nie chciał mówić prawdy.

– Pani Kateryno (Natalio, Stefo), panie Iwanie (Włodzimierzu, Dymitrze), proszę opowiedzieć o akcji „Wisła” – zachęcał Marek.

– A jaka to była akcja? Co tu wspominać?

– Panie Wasylu (Eugeniuszu, Piotrze), przypomni mi pan, co opowiadał pan o UPA.

– Ja księdzu coś mówiłem? Młody ksiądz, a pamięć już marna.

I tyle. Gdzieniegdzie tożsamość gospodarzy zdradzała mała ikona i obok zapalona świeczka, wyszywany ręcznik – nic więcej. Żadnych portretów Tarasa Szewczenki; te przyszły potem, gdy wydawało się, że sprawy zostały załatwione.

Akurat powstawał polski kapitalizm, ten ze szczękowych straganów i łóżek polowych, rodziła się demokracja, wszystko było już wolno. Marek pytał; znali go

przecież bardzo dobrze i bardzo szanowali. W odpowiedzi słyszeliśmy: „Ja Ukraińiec? Skąd!”.

Czułem, że Markowi jest głupio. Ludzie, którzy powieriali mu największe sekrety podczas spowiedzi, teraz kłamali, a on – choć swoją obecnością dawał mi certyfikat wiarygodności – rozumiał to kłamstwo i musiał w nim uczestniczyć.

Tak odbijałem się przez całe lata, domyślając się, że wcześniej usłyszę plotki – „a wiem, kto strzelił Świerczewskiego” – niż jakąś prawdziwą opowieść z upowskiego oddziału. Czas zaszczucia trwał dla ukraińskich kombatanów dekady dłużej niż dla polskiego podziemia. Na dodatek nikt z nich nie mógł szukać azylu na cmentarzach, jak co roku na 1 sierpnia powstańcy warszawscy, bo w PRL-u górą była wersja historii prezentowana przez Jana Gerharda: rezun ma tępą, mściwą twarz, morduje ze szczególnym upodobaniem, więc w dupę mu dawać po wsze czasy.

Ojciec Marek powtarzał:

– Ten był w lesie, tamten był w lesie, a potem tak dostali, że postanowili zapomnieć wszystko.

Marek, sam z rodziny wygnanych, odprawiał nabożeństwa w przysiółkach, gdzie po polsku mówili tylko nieliczni turyści szukający zapomnianych szlaków. Bajory, Asuny, północ powiatu kętrzyńskiego czy węgorzewskiego; w starych, niekiedy gotyckich kościołach – stawianych według woli wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego – od schyłku lat pięćdziesiątych stawały nie rzymskie ołtarze, tylko ikonostasy. Wierni żegnali się zamazyście, potrójnym znakiem krzyża, ale chowali się za słowem „przesiedleni”. Za ukraińskość, również zgodnie z powiatowymi ukazami, można było oczekiwać batów. Krzyczeli na nich wszyscy, także Kościół katolicki, którego wszak byli wiernymi członkami.

\*

Nie miałem już nadziei, że ktoś cokolwiek mi opowie, aż mniej więcej dwadzieścia lat temu spotkałem Józefa Mycę. Drobnym mężczyzną (gdy czytałem protokoły ekshumacyjne żołnierzy UPA rozstrzelanych pod Birczą, padały dane: 160 centymetrów wzrostu, 155 centymetrów, 165 centymetrów; dowód pośredni, w jakiej biedzie i poniżeniu żyła przedwojenna podkarpacka wieś), łagodny w słowach, cichy, choć pewny siebie.

Był pierwszym, który mi powiedział o swoim członkostwie w ukraińskiej partyzantce. Pamiętam, że przewodził małej organizacji, Stowarzyszeniu Ukraińskich Więźniów Politycznych. Ta nazwa pokazuje, że nawet w ówczesnym klimacie pojednania i proszenia o wybaczenie (pozornym, miało się wnet okazać) nie było miejsca, by stworzyć wspierającą się grupę ukraińskich kombatantów, ludzi już mocno starszych i potwornie pokiereszowanych przez los.

Myca pochodził z Bieszczad. Wywieziono go na Pomorze, gdzie w bardzo dojrzałym wieku wydzierżawił kilkaset hektarów ziemi, więc miał się, pewnie słusznie, za przedsiębiorcę ziemskiego. Zatrudniał popegeerowskich chłopów, Polaków i Ukraińców, nikomu nie patrząc w metryki i nie wypominając swojego losu. A mógłby się żalić, oj, mógłby.

Wstąpił do podziemnej organizacji jeszcze w szkole powszechnej. Z porywu serca – chodziło mu o niepodległą Ukrainę, bo „jak ktoś nie był z nami, dziewczyny z wioski nie chciały z nim chodzić” – ale również o to, żeby jego krajanów nie traktowano jak bydło czekające na bicie i wywózki. A może – jak rzucił kiedyś połówką słowa – był po prostu romantycznie głupi, jak każdy młodziak, zjezony na krzywdę i niesprawiedliwość, pełen nierealnych marzeń.

Trochę walczył w partyzantce, również pod Birczą, lecz uniknął niewoli i rozstrzelania. Schował się między cywilami, ale zdradził go młody wiek; UB zabrało go z transportu już na stacji w Lesku. W areszcie bił go oficer, wcześniej przez lata po prostu polski sąsiad. Ubek – wspominał Myca – nie był bardzo okrutny ani szczególnie zawzięty. Gdy zauważył, że nic nie wymusi kijem, podpisał nakaz wywózki do koncentraka w Jaworznie.

– Człowiek był młody, więc hardy – wspominał Myca. – Na przesłuchaniu w obozie powiedziałem, że zeznania wymuszano na mnie biciem. Śledczy, miał stopień majora, uśmiechnął się: „Takie zeznania są bez wartości, zaczynamy od nowa”. Dostałem tak, że podpisałem wszystko, co mi kazali.

Z Jaworzna wywieziono go do kryminału na Montelupich w Krakowie. Łącznie za kratami przesiedział pięć lat, wypuścili go w 1952 roku. W celi pomagali mu uwięzieni partyzanci AK, inaczej by nie przetrwał. Szkół nie skończył, nie było jak. Póki nie został przedsiębiorcą, wypominano mu czarne podniebienie.

– Najbardziej boli – opowiadał z żalem – gdy nawet dzisiaj mówią o nas „bandyci”. Kiedy bronisz własnej roli, mamy, ojca, dziewczuchy, nawet własnego psa, nie jesteś bandytą.



\*

Ale zdawało się, że już jest w miarę normalnie.

Uchwała Senatu Rzeczypospolitej Polskiej, 3 sierpnia 1990 roku, dziesięć lat przed moim spotkaniem z Józefem Mycą:

Zmiany społeczne i polityczne dokonujące się u nas i w sąsiednich krajach stawiają przed nami nowe wyzwania. Ze względu na obecność ludności ukraińskiej w Polsce szczególnego znaczenia nabiera wzajemne poznanie, zrozumienie i pojednanie Polaków i Ukraińców.

Różnie przeplatały się losy obu narodów w ciągu dziejów. Polacy i Ukraińcy nie tylko pracowali razem i żyli obok siebie jako sąsiedzi, ale również łączyli się często w tych samych rodzinach. Jednak obok zgodnego współżycia wiele było wzajemnych krzywd i niechęci. Była nienawiść, a nawet przelana krew. Ta przeszłość obciąża nasze stosunki. Tę przeszłość trzeba przezwyciężyć.

Pragnąc pojednania, dążymy do ukazania naszej trudnej historii w świetle prawdy. W szczególności wymaga to ujawnienia bolesnych wydarzeń, które zdarzyły się w okresie powojennym w naszej wspólnej Ojczyźnie.

Jednym z nich była wojskowa akcja „Wisła”, którą na mocy uchwały Prezydium Rady Ministrów z dnia 24 kwietnia 1947 r. przeprowadzono w południowej i środkowo-wschodniej części Polski.

Komunistyczne władze, przystępując do likwidacji oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii, dokonały wówczas przymusowych przesiedleń ludności, w większości ukraińskiej. W ciągu trzech miesięcy wywieziono z rodzinnych miejsc około 150 tys. osób, pozbawiając je majątku, siedzib i świątyń. Przez wiele lat uniemożliwiano im, a potem utrudniano powroty.

Senat Rzeczypospolitej Polskiej potępia akcję „Wisła”, w której zastosowano – właściwą dla systemów totalitarnych – zasadę odpowiedzialności zbiorowej.

Senat Rzeczypospolitej Polskiej dążyć będzie do tego, by naprawione zostały – o ile to możliwe – krzywdy powstałe w wyniku tej akcji.

\*

Ojciec Marek w refektarzu węgorzewskiego klasztoru Bazylianów (domek pod miastem, na górze, wyboista, szutrowa droga, na której ksiądz ani myślał hamować

rozklekotaną ładą, bo lubi ostro prowadzić; było to tak dawno temu, że nie przypominę sobie daty):

– My naprawdę chcemy uwierzyć, że to już koniec. A może nawet przyjdzie jakaś rekompensata za krzywdę?

## Bardzo prosi staruszek

Teczka jest z granatowego kartonu, ma pogięte rogi; spięta czarną gumką, żeby nic nie wypadło. Cieniutka, bo to żadne archiwum, tylko raptem parę listów, które gdzieś się zapodziały, odłożone na skraj biurka, a potem sprzątnięte podczas porządków. Niby już wszystko jest wiadome, lecz takich listów się nie wyrzuca (choć nie ma do nich nabożnego szacunku). Stoją w teczkach na półce i obrastają kurzem. Przypadkiem ktoś weźmie je w ręce, poczyta. Potem musi się napić, by móc usnąć.

Formularz wypisano na maszynie. Sporządzono go w czerwcu 1997 roku w obecności sędziego Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie, delegowanego do Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej. Przesłuchiwaną jest Olga Katarzyna Ignasiak, urodzona w czerwcu 1930 roku w Żernicy Wyżnej, powiat Lesko, województwo lwowskie, rencistka, bez wykształcenia.

Wyobraźmy sobie, co musiała czuć Olga Ignasiak, gdy w liście poleconym odebrała wezwanie z nagłówkiem „Główna Komisja Ścigania Zbrodni...”. Mówiła sędziemu prowadzącemu śledztwo:

Przed wojną mieszkałam we wsi Żernica Wyżna, gdzie się urodziłam. Mieszkałam tam z rodzicami, babcią oraz młodszym bratem Janem. Moi rodzice byli rolnikami. Mieli małe gospodarstwo o powierzchni około półtora hektara. Żyło się nam bardzo biednie. Do żadnej szkoły nie uczęszczałam z wyjątkiem jednej klasy. Całą wojnę spędziłam w Żernicy Wyżnej. Nie byłam świadkiem zbrodni popełnionych przez Niemców. Na temat zbrodni dokonanych przez nacjonalistów ukraińskich w czasie wojny nic powiedzieć nie mogę.

W protokole brzmi to na pewno składniej niż w rzeczywistości. Sędzia Andrzej Jaracz musiał zmieniać wypowiedzi tak, by tekst był w miarę zrozumiały. Protokół liczy trzy strony gęstego maszynowego pisma. Każda ze stron jest opatrzona krzyżykami, tak samo wygląda podpis ponad pieczętką potwierdzającą

oryginalność dokumentu. „Przesłuchujący stwierdził, że z uwagi na fakt, iż osoba przesłuchiwana jest niepiśmienna, protokół został podpisany trzema krzyżykami”.

Tak więc w maju 1947 roku – pięćdziesiąt lat przed przesłuchaniem przez sędziego Jaracza – niepiśmienna Olga Ignasiak została aresztowana przez dwóch żołnierzy, gdy pracowała w polu, i zawieziona do Baligrodu. Pobito ją batem, podczas śledztwa wyrywano garściami włosy. Miała potwierdzić współpracę z UPA:

Chcieli, abym się przyznała, że robiłam skarpety na drutach dla banderowców. Ja skarpet dla nich nie robiłam, nie umiałam zresztą sztrykować. Do wsi przychodzili czasem w nocy żołnierze UPA, ale ja nic z nimi wspólnego nie miałam. Jacyś umundurowani ludzie przychodzili do nas do domu i sami zabierali nam chleb. Czy to byli upowcy, czy też inni żołnierze, to tego nie wiem. Nie wiem, czy ktoś z chłopaków z wioski należał do UPA.

Po kilku dniach w Baligrodzie Olgę Ignasiak przewieziono do Sanoka, a potem do Jaworzna. W obozie przesłuchania trwały nadal: „Nie wykluczam, że ze strachu mogłam się do czegoś przyznać”.

Czytam to zeznanie i mam wrażenie, że jej jaworzniański strach powrócił albo rozbudził się na nowo. Jest słowo o obozowej diecie: „na dzień dawano nam ćwiartkę chleba oraz zupę, były też ziemniaki w małej ilości, do picia czarna kawa”. Oraz o samobójstwie: „jedna z kobiet to wiem, że zginęła na obozowych drutach, gdyż chciała uciekać i śmiertelnie poraził ją prąd, nie wiem jednak, kim była i czy była Ukrainką”.

Poza tym nie pamięta, nie skarży się, w obozie nie chorowała, no i w końcu siedziała mniej niż rok. Dodaje, że w Bobolicach na Pomorzu, gdzie wysiedlono jej rodzinę, mieszkają jeszcze Katarzyna Herman i Michał Dacko – z Jaworzna do nowego domu jechali razem pod wojskowym konwojem. Może oni coś więcej powiedzą w tej sprawie. Może nie, bo już pamięć nie taka.

Słowem – Olgę Ignasiak pytano o UPA, choć celem śledztwa miało być wyjaśnienie, czy przysługuje jej odszkodowanie za obóz.

\*

List pisany ręcznie, starannie, na papierze w kratkę. Rok 2002, styczeń, Świnoujście.

Szanowny Panie Premierze, jestem byłym więźniem Koncentracyjnego Obozu Pracy w Jaworznie. W 1947 roku na wiosnę w czasie realizacji planu „Akcji Wisła” zostałem wraz z rodzicami przymusowo wysiedlony z rodzinnej wioski w Bieszczadach na Ziemię Odzyskane. W czasie przejazdu wszystkie transporty z wysiedleńcami były zatrzymywane na stacji Oświęcim i tam dokonywano aresztowań. Aresztowano kobiety i mężczyzn w różnym wieku bez podania powodów, ja też zostałem aresztowany.

Z Oświęcimia przewieziono nas do tak zwanego Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie. Faktycznie był to obóz upodlenia i zagłady, gdyż panujące tam warunki były gorsze od warunków w hitlerowskich obozach koncentracyjnych z wyjątkiem pieców gazowych, których tam nie było. W tym koncentracyjnym obozie więziono mnie do 5 stycznia 1948 roku, ciężko pracowałem, byłem bity i głodzony. W lutym 1950 roku zostałem powołany do czynnej służby wojskowej, a przydzielono mnie do represyjnego 4 batalionu budowlanego, w którym pracowałem prawie trzy lata jako żołnierz niewolnik.

Mam już siedemdziesiąt cztery lata i jestem inwalidą I grupy. Na leczenie i lekarstwa wydaję miesięcznie połowę mojej renty. Nadmieniam, że byłem i jestem lojalnym obywatelem Polski. W sprawie zadośćuczynienia pisałem i piszę do różnych instytucji od 1991 roku, bez żadnych skutków. Pozostaje mi jeszcze Pan i ewentualnie Papież. Najbardziej bulwersuje mnie fakt, że ZUS nie chce mi zaliczyć do stażu pracy okresu przebywania bez wyroku w Jaworznie. Ten okres ciężkiej niewolniczej pracy przy robotach ziemnych winien być zaliczony do stażu pracy. Niemcy za pracę w obozach koncentracyjnych płacą dla byłych więźniów, a o obozie w Jaworznie nikt nic nie mówi, jakby taki nie istniał. Uważam, że za takie represje należy mi się zadośćuczynienie materialne i uprawnienia kombatanta. Bardzo proszę Pana Premiera o pomoc w mojej sprawie. Z poważaniem: Jan Kokolus.

Jan Kokolus doczekał się urzędowej odpowiedzi. Nadeszła po wielu miesiącach:

Uprzejmie informuję, że Pańska osoba znajduje się na liście osób przymusowo osadzonych w obozie w Jaworznie, która w dniu 25 lipca 2001 roku została przekazana do Kancelarii Premiera. Do chwili obecnej nasz Urząd nie otrzymał informacji w tej sprawie. Natomiast w sprawie świadczeń dla żołnierzy-górników wynikającej z Ustawy z dnia 2 września 1994 roku o dodatku

i uprawnieniach przysługujących żołnierzom zastępczej służby wojskowej przymusowo zatrudnianym w kopalniach węgla, kamieniołomach i zakładach wydobywania rud uranu i batalionach budowlanych należy zgłosić się bezpośrednio do organów emerytalno-rentowych.

\*

Myscowa w powiecie jasielskim. List pisany na maszynie, bez odręcznego podpisu, 2004 rok.

Zwracam się z uprzejmą prośbą o łaskawe przyjście mi z pomocą w moich staraniach o rekompensatę za doznane krzywdy bezpodstawnego więzienia mnie w obozie karnym w Jaworznie w latach 1947–1948. Nazywam się Repak Dymitr urodzony w Myscovej dnia 7 listopada 1926 roku. Podczas hitlerowskiej okupacji byłem przymusowo wywieziony na niewolnicze prace do Austrii, skąd wróciłem do Myscovej w połowie lipca 1945 roku. Nie było już tu mojego rodzinnego domu, rodziny ani nikogo z bliskich, bo przymusowo wywieziono ich na Wschód. Wbite w ziemię cztery kołki nakryte gałęziami jodły stanowiły mój dom, a motyka zastępowała wszystko.

Ktoś z osadników doniósł, że wrócił na swoje Rusinek, i to wystarczyło! Bramę obozu karnego w Jaworznie przekroczyłem 29 lipca 1947 roku, a zwolniony z tego obozu zostałem dnia 30 sierpnia 1948 roku. Zarówno przed tym, ani nigdy później nie byłem nigdy sądzony. Gorąco proszę o łaskawe udzielenie mi pomocy, abym w swojej ciężkiej sytuacji i zniszczonym zdrowiu, przed śmiercią mógł otrzymać jakąś rekompensatę za tak ciężką krzywdę. Bardzo prosi już staruszek Repak Dymitr.

\*

Ustrzyki Dolne, maszyna do pisania, podpisy odręczne, bardzo niezdarne. 2004 rok.

Proszę o ujęcie mnie na liście osób, którym przysługuje rekompensata za osadzenie w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie w latach 1947–1948. Moja matka Olga Bulwan, mając 19 lat, pomimo iż była w ciąży, została siłą zabrana w dniu 17 lipca 1947 roku przez uzbrojonych żołnierzy z pociągu w Oświęcimiu, w czasie deportowania mieszkańców wsi Ropienka na Ziemię Zachodnie

i osadzona w Centralnym Obozie pracy w Jaworznie. Zebrane przez prokuraturę dowody bezspornie świadczą o faktach znęcania się fizycznego i moralnego nad więźniami, bicia i torturowania w tym obozie.

W warunkach skrajnego wyczerpania, wycieńczenia organizmu przez słabe odżywianie i panujące anty-sanitarne warunki, nasilające się choroby zakaźne nastąpiło moje urodzenie. Miało to miejsce w niedzielę 21 grudnia 1947 roku.

Brak odpowiedniego ubioru, przy słabym ogrzaniu baraku, niewątpliwie dodatkowo pogorszyło już i tak fatalne bytowanie matki, jak i noworodka. Zwolnienie z obozu matki wraz ze mną jako dwumiesięcznym niemowlęciem nastąpiło 7 lutego 1948 roku.

Do pokonania było ponad pięćset kilometrów, w tym co najmniej dwadzieścia kilometrów pieszo, z dzieckiem na ręku, w srogą zimę, bez jakiegokolwiek zabezpieczenia w rzeczy do ubioru czy jedzenia. Przedstawiając powyższe, jestem przekonany, iż w pełni należą mi się uprawnienia odszkodowawcze jako więźnia Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie, będące symboliczną rekompensatą za moje cierpienia i mojej rodziny.

\*

List ze Szczepieszyna, pisany ręcznie (widać, że podpis złożyła inna, mniej wprawna ręka), a w zasadzie przypomnienie o prośbie o odszkodowanie. Rok 2004.

Dla przyspieszenia procesu sprawdzania podaję swoje dane. Kuć Maria z domu Techlowiec. Data urodzenia: 4 lipca 1933 roku w Hrebennem. Imię ojca: Jan. Imię matki: Katarzyna. Data przybycia do obozu: maj 1947 roku, zabrano mnie jako czternastoletnią dziewczynkę z Hrebennego. Data zwolnienia z obozu: czerwiec 1948 roku.

W załączeniu wysyłam pismo o umorzeniu śledztwa z dnia ósmego listopada 1995 roku.

„W okresie od maja 1947 roku do czerwca 1948 roku w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie w celu wymuszenia wyjaśnień nieustaleni funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego wzięli udział w pobiciu pozbawionej wolności więźniarki Marii Kuć, w ten sposób, że bili ją metalowym prętem po całym ciele, przez co narazili ją na bezpośrednie niebezpieczeństwo ciężkiego uszkodzenia ciała. Sprawców nie wykryto”.

\*

To pismo jest jak ze szkolnego zeszytu, niezdarne, podobnie jak styl rojący się od koślawości i błędów. Rok 2005, pisane w Brzeżawie na Podkarpaciu pod Birczą, z nadzieją na odszkodowanie.

Kochani moi urzędnicy. Ja Sobolak Karolina córka Jana i Anny urodzona 16 stycznia 1925 roku, w sprawie obozu Jawoźno. Ja podałam papiery, moje zwolnienie i zeznania świadków. Mnie zabrali do obozu z malutkim dzieckiem trzymiesięcznym. Aresztowano nas 24 czerwca, a wyszłam aż w lutym. Mam to na zwolnieniu, ale dziecka nie wpisano, bo wstyd im było komunistom, że takie malutkie dzieci w obozie trzymali.

W jesieni zabrali nas z baraków do cieplejszego domu matki z dziećmi. Było nas siedem. Warónki tam były okropne, ani co dać dziecku zjeść, ani ubrać, ani pieluszek. Dzieci chowały się tylko na piersiach, płakały, a my z nimi i modliły się, czekały na boskie zmiłowanie.

Mnie zabrali za mego narzeczonego, co z nim miałam dziecko. On był Ukrainiec, młody chopak, chodził ze mną jeszcze za Niemców. Jak w 45 wysiedlali Ukraińców, wyjechali jego rodzice, a on był podejrzany za współpracę i bał się jechać, bo enkawudziści młodych aresztowali i został się przy mnie i czekał, że może się uspokoi, tak koniecznie chciał przeżyć. Jak w 1947 znów wysiedlali na ziemie odzyskane, wybieraliśmy się wyjechać aby przeżyć, ale ludzi są mściwi i niedobrzy i donieśli do wojska i zabrali ich. Jeden z nich miał metrykę brata Polaka i przeżył, ale mój i jego szwagier zginęli, zasądzone w Rzeszowie na karę śmierci. Mój sąsiad a jego kolega też siedział w obozie w Jawoźnie i dostał pięć lat za współpracę. On mi napisał, że w naszej gazecie było napisane o tych wszystkich Ukraińcach co pomordowani w Rzeszowie i on mi wysłał te papierki, iż mój zasądzony i zniszczony. Ojciec syna nazwisko Tyrawski Michał, syn Stefana i Katarzyny, urodzony 22 października 1922 roku w Brzeżawie, stracony 7 czerwca 1947 roku. Syn mój już wie, gdzie jego ojciec zginął.

W obozie mnie pytali o tych, co aresztowani, jacy oni byli, że w dzień dobrzy, a w nocy brali karabin i szli. Zmuszali mnie, żeby podpisywać protokół na nich, ale ja powiedziała, że nie podpiszę, bo ja ich z karabinem nie widziała, a ja



wierząca katoliczka nie podpisuje nieprawdy. To mnie trącali i nakopali, idź ty kurwo, zdechniesz z tym małym bandziorem, takaś zacięta.

\*

Nakomiady pod Kętrzynem, lipiec 2005 roku.

W związku z decyzją o przyznawaniu świadczeń specjalnych osobom uwięzionym bez wyroku w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie zwracam się z uprzejmą prośbą o informację dotyczącą mojej osoby Eugenii Basiewicz z domu Urban. W czerwcu 1947 roku aresztowano mnie w Wyszatycach w wieku szesnastu lat i osadzono w areszcie w Przemyślu. Po kilku dniach zostałam przewieziona do obozu w Jaworznie, gdzie przebywałam do 30 grudnia 1947 roku. Posiadam zaświadczenie wydane przez wojskową prokuraturę wojskową w Krakowie jako dokument potwierdzający pobyt w obozie. W związku z powyższym zwracam się z uprzejmą prośbą o informację, jeśli to możliwe, gdzie takie świadczenie może zostać mi przyznane.

\*

Biuletyn Senatu Rzeczypospolitej Polskiej, siedem lat po uchwale przeprasającej Ukraińców za wysiedlenia. Przemawia senator Maria Berny, członkini Sojuszu Lewicy Demokratycznej, urodzona w 1932 roku w Trościance na Wołyniu.

Mijają pięćdziesiąt cztery lata od czasu, kiedy z rodzicami uciekłam spod noża nacjonalistów ukraińskich. Przez pięćdziesiąt cztery lata milczałam, początkowo ze strachu, a później świadomie. Uważałam, uważam tak zresztą i teraz, że pamięć tamtych czasów powinna zginąć, mogiły trawą zarosnąć, a Ukraińcy, z którymi dzielimy chleb, smutki i radości, z którymi po prostu żyjemy ramie w ramie, są takimi samymi jak my obywatelami Polski, niezależnie od tego, skąd przyszli [...]. Ale kiedy okazuje się, że to my, Polacy, mamy w Jaworznie wybudować pomnik naszym mordercom, nie mogę milczeć. Nie mogę dopuścić do tego, by polskie dzieci wstydyły się, że ich dziadkowie mordowali Ukraińców, kiedy było wręcz odwrotnie. Ukraińska Armia Powstańcza, bo taką nazwę nosiły te dyszące żądzą mordu hordy zbrojne w niemiecką broń, a często w obrzynki, noże i kłonicie, powstała w 1942 roku. Znałam osobiście pierwsze jej ofiary [...]. Przybliżone dane mówią o pół milionie Polaków, trzystu tysiącach

Żydów i trzydziestu pięciu tysiącach Ukraińców, ale to są dane niesprawdzone. Któż jednak zliczy i wspomni ofiary, jeśli z setek miejscowości nie uszedł z życiem nikt, kto by dał świadectwo prawdzie. Wsie spłonęły. Nawet sady polską ręką sadzone były wyrąbywane i palone. Po latach daremnych walk z głosicielami haseł „Smert Lacham”, „Lachy za San” została przeprowadzona akcja „Wisła”, w wyniku której Ukraińcy z pogranicza i ludność łemkowska zostali przesiedleni na zachodnie i północne ziemie naszego państwa. Byli to zarówno mieszkańcy wsi, którzy świadomie i z ochotą wspomagali działalność band UPA, jak i ci, którzy byli przez te oddziały terroryzowani. Na ziemiach zachodnich otrzymali gospodarstwa, o jakich marzyć przedtem nie mogli, otrzymali ziarno na siew i bezzwrotne kredyty na zagospodarowanie. W roku 1957 mogli wrócić. Z tej możliwości skorzystało około trzydziestu procent. Nacjoniści, bojowcy zostali osadzeni w obozie w Jaworznie. Nie czas i miejsce teraz na odtwarzanie historii [...]. Odciełam się zdecydowanie od uchwalonego przez Senat pierwszej kadencji apelu potępiającego akcję „Wisła”. Zobowiązałam się do podjęcia wszelkich działań, by nie dopuścić do budowy pomnika w Jaworznie. Apel, uchwalony na fali solidarnościowego antykomunizmu, poniża godność naszego narodu. Nawołuje do samooskarżenia i pozwala prawdziwym winowajcom coraz wyżej podnosić głowę.

Wypowiedź senator Berny nagrodziły oklaski. To był pierwszy, lecz, niestety, nie ostatni głos polskiego parlamentarzysty mieszający porządek historii.

W 1998 roku pomnik w Jaworznie jednak stanął. Odślonili go Aleksander Kwaśniewski i Leonid Kuczma. Aleksander Kwaśniewski powiedział:

Tutaj, w Jaworznie, w istniejących od pierwszych lat powojennych aż do sierpnia 1956 roku polskich obozach, więzieni byli polscy obywatele. Nazywano ich otwarcie obywatelami drugiej kategorii. Byli witani słowami: „Nie przyjechaliście tu po to, aby żyć”. Nie sposób przedstawić dramatów polskiej młodzieży – kilkunastoletnich chłopców, niemal dzieci z obozu pracy dla młodocianych, którzy w latach pięćdziesiątych dorastali tu, w Jaworznie, w takich warunkach. Nie sposób wyobrazić sobie poniżenia greckokatolickich duchownych, cierpień osób cywilnych narodowości ukraińskiej, w tym kobiet i dzieci internowanych tu w latach 1947–1949. Nie ma takiej racji, takiej ideologii, takiej idei narodowej czy państwowej, która usprawiedliwić by mogła

łamanie młodego życia, zadawanie bólu niewinnym, która wytłumaczyłaby stosowanie nieludzkich metod wychowawczych i odpowiedzialności zbiorowej. Nikt i nic nie może usprawiedliwić stalinizmu, jego zbrodni, przestępstw i nieprawości. Ludzie odpowiedzialni za istnienie tego obozu i za to wszystko, co tu się działo – są winni przed Polską, są winni przed jej historią. Honorowym gościem naszych dzisiejszych uroczystości jest wielki przyjaciel Polski i Polaków, prezydent niepodległej Ukrainy Leonid Kuczma. Jego obecność tutaj ma wymiar symboliczny. Jest dowodem, że w obu naszych krajach pamiętamy stalinizm, który uczynił naszymi narodem bardzo wiele złego. Pamiętamy, że jego zamiarem było skłócić na zawsze Polaków i Ukraińców. Obecność obydwu prezydentów w Jaworznie niech będzie sygnałem dla naszych narodów, dla mniejszości narodowych – polskiej na Ukrainie i ukraińskiej w Polsce, że jesteśmy zdecydowani umacniać naszą współpracę ponad trudną, nieraz tragiczną przeszłością.

\*

W 1999 roku ogłoszono sprawozdanie z prac ekshumacyjnych przeprowadzonych w zbiorowym grobie żołnierzy UPA pod Birczą koło Przemyśla. Do tej pory sądzono, że w porośniętym krzakami porzeczek dole na prywatnej posesji leżą uczestnicy nieudanego i chybionego z militarnego punktu widzenia szturmu na miasteczko ze stycznia 1946 roku. Zespół antropologów, głównie z toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, stwierdził, że w zbiorowej mogile, której miejsce ustalano latami, pochowano wyłącznie kilkudziesięciu młodych mężczyzn.

Śladów przestrzelin w walce można dopatrzeć się tylko na dwóch szkieletach – numer 16, przestrzelona kość biodrowa, ale i rozbita czaszka (?), i numer 27, przestrzelona kość udowa. W większości pochowanym tu osobom śmierć zadano prawdopodobnie przez rozbicie tępymi narzędziami czaszek. W kilku wypadkach śmierć spowodowana była strzałem w tylną część podstawy czaszki, po którym otwór wylotowy pocisku stwierdzono w jej części czołowej lub w rejonie oczodołów lub strzałem w czoło. W dwóch wypadkach stwierdzono na szkieletach połamane kości kończyn. Mimo precyzyjnej eksploracji wypełniska grobu zwraca tu uwagę nikła liczba przedmiotów towarzyszących ekshumowanym szczątkom. Było to jedynie kilka bieliźnianych guzików wykonanych z tworzywa sztucznego i nieliczne fragmenty tkanin [...] Można

przypuszczać, iż w większości ciała przed ich umieszczeniem w grobie pozbawiono odzieży. Szczególnie zwraca tu uwagę brak butów, zważywszy na fakt dokonania tego pochówku w mroźnym miesiącu styczniu.

Czyli upowcy pochowani pod Birczą nie zginęli w walce. Zostali zatłuczeni na śmierć lub rozstrzelani metodą NKWD – kula w potylicę. Zwłoki obrabowano.

Raport sygnowany przez szefa Instytutu Archeologii i Etnologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika profesora doktora habilitowanego Andrzeja Kolę odłożono na półkę.

\*

Popatrzmy na śledztwo Instytutu Pamięi Narodowej w sprawie zbrodni w bieszczadzkiej Terce. Związek Ukraińców w Polsce poprosił w 1998 roku o wyjaśnienie tego mordu, powołując się na prawo o zbrodniach komunistycznych. Trochę trwało, zanim w rzeszowskim oddziale IPN-u znalazł się chętny prokurator. Potem zaczęto wzywać świadków; żyło jeszcze całkiem sporo kombatanatów Wojska Polskiego, którzy w latach czterdziestych stacjonowali w bieszczadzkich stanicach.

Zresztą – zdawało się, że sprawa jest prosta: wiadomo było od lat, kto zabił, kogo zabito i dlaczego. Śledztwo powinno być formalnością. Nie było.

Żaden z przesłuchiwanym czterdziestu jeden byłych żołnierzy polskich nie bał się zeznawać – pisze Bogdan Huk. – Nie przypuszczali, żeby za cokolwiek, czego się dopuścili w ramach tak zwanych „walk z UPA”, mogła ich spotkać kara w państwie i społeczeństwie polskim [...]. Ani jeden z nich nie zeznawał tak, aby wskazać winę własną czy kolegów z oddziału. Niczego się nie wypierali – nie docierał do nich sens pytań. Płaszczyzną porozumienia między weteranami z WOP a prokuratorem IPN okazała się UPA [...]. Co doprowadzało byłych żołnierzy polskich do takiego otępienia, że pół wieku później nie odróżniali ukraińskich cywili, zwykłych chłopów z wiosek od uzbrojonych żołnierzy UPA, nawet jeśli tych ostatnich uznawali za bandytów? [...] Dokonywali eliminacji bezimiennych autochtonów, pewnej ilości jednostek, statystycznej masy, a nie ludzi.

Dawni żołnierze garnizonu w Wołkowie uznali sami siebie za niewinnych. Wyparli zbrodnię z pamięci, choć na zdrowy rozum wydaje się to niemożliwe. „Nic mi nie jest wiadomo na temat akcji przeprowadzonej przez WOP w miejscowości - Terka”. „Nic mi też nie jest wiadomo o wzięciu przez nasz oddział zakładników spośród ukraińskich mieszkańców wsi Terka i ich ewentualnych dalszych losach”. „Ja nigdy nie słyszałem o tym, aby ukraińskich zakładników zatrzymano w domu, a następnie spalono”. „W ogóle nie posiadam żadnych informacji na temat akcji naszych wojsk w tej miejscowości i w ogóle o niej nie słyszałem”.

Jeden ze świadków napisał za to do rzeszowskiego prokuratora: „W ostatnich latach wzmogły się ataki szowinistów ukraińskich przeciwko byłym żołnierzom i milicjantom, którzy przelali krew i pot w obronie południowo-wschodniego cypla Polski. I ja otrzymywałem pogróżki pisemne i telefoniczne. Władza rządowa nie uczyniła nic, by zlikwidować zło”.

Inny świadek dodał: „Chociaż te wydarzenia były prawie pięćdziesiąt lat temu, jednak pamiętam straszne okrucieństwa Ukraińców, którzy w czasie napaści na jakiegokolwiek Polaka nie zabijali od razu (choć dysponowali bardzo dobrą bronią niemiecką), tylko często bardzo okrutnie okaleczali, czego nie robili nawet Niemcy na froncie”.

Kolejny uzupełnił: „Nie jest mi nic wiadome na ten temat, aby w Terce żołnierze WOP wymordowali kobiety i dzieci. Ja osobiście wykluczam, aby żołnierze wymordowali kobiety i dzieci w Terce. Uważam, że te opinie o tym, że żołnierze mordowali ludność cywilną, są nieprawdziwe i krzywdzące dla żołnierzy WOP-u”.

Albo: „Nigdy nawet nie słyszałem, żeby wojsko polskie dokonywało zabójstw na ludności cywilnej ukraińskiej”.

Zeznanie tylko jednego kombatanta kłóci się z resztą, czyli stoi w okolicach prawdy:

Pamiętam, że jak dostaliśmy wiadomość, że są powieszane trzy osoby polskie, to zaraz był rozkaz, żeby osoby narodowości ukraińskiej wozami zawieźć do Terki. Te osoby, Ukraińców, zabraliśmy zza drutów – ogrodzenia przy naszych koszarach. To były kobiety, dzieci, może nawet jacyś starsi mężczyźni, młodych mężczyzn nie było, bo byli w partyzantce. Tych cywilnych osób – Ukraińców wzięliśmy może kilkunastu; nie jestem w stanie wskazać ilu. Za tymi drutami u nas tych Ukraińców trzymaliśmy może jakie pół roku, aż wdał się tyfus, ale nikt nie zmarł. Prawda była taka, że te ukraińskie rodziny wszystkie były za

drutami – bo co mieliśmy z nimi robić? [...] Ja już teraz dokładnie nie pamiętam, czy do tej Terki zabraliśmy wszystkich Ukraińców, bo mogło być tak, że był rozkaz część z nich, a reszta została. Wydaje mi się, że co najmniej dziesięć takich osób zawieźliśmy do stodoły we wsi Terka. Ja nie wiem, czy tych osób było trzydzieści trzy, nikt ich nie liczył. To wszystko działo się w południe, to pamiętam, jak jakiś żołnierz wrzucił granaty do środka stodoły i w ten sposób wszystkie te osoby zginęły. Potem nie wiem kto, ale podpalił stodołę. Wszyscy się spalili [...]. Ja nie pamiętam, czy słyszałem rozkaz rzucenia granatu, ale żołnierz bez rozkazu by tego nie zrobił [...]. Wtedy, jak była ta akcja, nie było żadnego starcia z oddziałami UPA.

Po siedmiu latach prokurator Marian Papiernik wydał postanowienie o umorzeniu śledztwa: „Pomimo wykonania szeregu czynności procesowych nie zebrano dostatecznych dowodów pozwalających na wniesienie przeciwko Józefowi B. i Janowi P. aktu oskarżenia”. Obaj podejrzani nie przyznali się zresztą do winy.

Zdaniem historyka Bogdana Huka prokurator Papiernik pogubił się w śledztwie. Nie uwzględnił dokumentów ukraińskiego podziemia i z tego powodu myliły mu się ofiary, wydarzenia i daty. Więcej – Huk sugeruje, że prokuratorskie śledztwo musiało się skończyć, jak się skończyło, bo od początku do końca towarzyszył mu kontekst polskiej opowieści o ukraińskim pograniczu: kolonialny oraz polskich panów cywilizujących prymitywnych Rusinów, zanurzony w stereotypie okrutnych banderowców i walczących z nimi szlachetnych Polaków, którzy wprawdzie popełnili jakieś zbrodnie, lecz to było przecież w odwecie choćby za wołyńskie masakry. Dlatego konkretnych winnych brak, wojsko tylko wykonywało rozkazy, wydający rozkazy już nie żyją, więc nie ma sprawy.

Bogdan Huk grzebie w intencjach prokuratora, a intencji nigdy nie da się udowodnić. Trzeba się jednak nad nimi zastanawiać. Może Huk rzeczywiście ma rację?

W prokuratorskim postanowieniu pojawia się postać naczelnego szwarccharakteru Terki – nieżyjącego już Grzegorza Łoszycy. To on, ledwie osiemnastolatek, „bardzo zdolne polskie dziecko” (jak go wówczas opisywano), zatrudniony w komendzie milicji w Wołkowyci na stanowisku gońca, dopuścił się we wsi – według prokuratury – najgorszych zbrodni (winien zabójstw i podpalenia domu z zamkniętymi w nim kobietami i dziećmi), a motywem miała być chęć

zemsty na Ukraińcach za zabicie ojca – donosiciela: „Ojciec mój Michał od roku 1945 do roku 1946 brał czynny udział w życiu społecznym i politycznym, za co został 9 lipca 1946 roku przez bandy faszystowskie UPA śmiertelnie zamordowany przez powieszenie wraz z innymi Polakami mej miejscowości”.

Prokurator stwierdził, że nie „potwierdzono udziału w zbrodni innych osób cywilnych oprócz wspomnianego Grzegorza Łoszyca”. Grzegorz Łoszyca wskazywał milicjantom i żołnierzom, co bardzo prawdopodobne, ludzi podejrzanych o współpracę z ukraińskim podziemiem.

Kilkanaście miesięcy po postanowieniu prokuratora Papiernika rzeszowski IPN publikuje rozprawkę o Terce. Dwójka historyków zaczyna banalnie: lipcowy mord jawi się raczej jako wyjątek od reguły w polsko-ukraińskich relacjach, bo i wcześniej stosunki na pograniczu były może nie sielskie, lecz więcej niż przyzwoite. Nagle i chyba nieoczekiwanie w tekście opowiadającym mikrohistorię Terki pojawia się niejaki Hryć Łoszycia, Ukrainiec z przemożnym poczuciem odpłacenia innym Ukraińcom za rodzinne krzywdy.

Nie ma znaczenia to, że już jego ojciec zmienił przynależność narodową (nie było to takie trudne) w zamian za korzyści płynące z polskości, a Grzegorz był Polakiem w drugim pokoleniu. Ani to, że w zeznaniach Ukraińców z Terki rodzina Łoszyców to Polacy lub narodowi renegaci. Grzegorz został Hryciem – zawyrokowali historycy z Rzeszowa. Bogdan Huk powiada, że Ukrainiec lepiej niż Polak pasował do okrutnej zbrodni.

Jest wszakże zeznanie złożone przed prokuraturą w 2002 roku:

Z opowiadań wiem, że dowódcą żołnierzy, którzy zamknęli grupę Ukraińców w domu Zubala, był Grzegorz Łoszyca – syn zamordowanego Michała Łoszyca. Mówiono mi, że grupa tych żołnierzy obrzuciła granatami budynek, w którym byli zamknięci Ukraińcy, mieli też strzelać do nich przez okna, mówiono też, że tylko Grzegorz Łoszyca sam rzucał granaty i strzelał do tych Ukraińców w zemście, że to Ukraińcy zamordowali mu ojca i brata [...]. Mówiono wtedy, że ten budynek z Ukraińcami podpalił Grzegorz Łoszyca.

\*

Rozdrap w głowie i w sercu dorwał Łoszycę dekady później. Tymotej Skoncej spotkał go gdzieś w województwie szczecińskim w 1952 roku. Chwilę

porozmawiali. Skoncej nie wierzył, że losy kobiet i dzieci z Terki zostały oddane „w ręce małoletniego chłopca Hrycia. I jakoby to on wydał wyrok: karę śmierci”.

Bo i – tak słowa Łoszyca zapamiętał Skoncej – „On mi twardo powiedział, że »to wszystko zrobiło wojsko, które mnie tylko prowadziło ze sobą, mówiąc, że zrobią ze mnie wielkiego oficera, jeśli nie będę mówił o dokonanej zbrodni. W ten sposób stałem się porucznikiem«”.

Łoszyca wywieziono z Terki podczas akcji „Wisła”. Był młodzieżowym instruktorem w Człuchowie i w Drawsku Pomorskim, ukończył kursy w Związku Młodzieży Polskiej, dostał się na zajęcia w Wyższej Szkole Oficerów Politycznych w podwarszawskim Rembertowie, był w armii wychowawcą i korespondentem terenowym wojskowych gazet. Do rezerwy trafił w 1955 roku; sam mówił, że go wyrzucano.

O Terce nigdy szczegółowo nie opowiadał ani nie próbował wyjaśnić swojego udziału w zbrodni. Pił straszliwie, rozwalił w drobniaki swoją rodzinę. Umarł w 1991 roku na alkoholizm, samotność i – może – na wyrzuty sumienia.



# Wybaczajcie

A przecież były wszystkie szanse po temu, żeby wyszło o wiele lepiej, niż wyszło.

W czerwcu 2001 roku na Ukrainę pojechał Jan Paweł II. Po jego wizycie Ukraińcy powiadali – święcie w to wierząc – że nic dziwnego, że polski papież jest, jaki jest, bo miał matkę Ukrainkę, a co najmniej Łemkinię.

Tuż po przylocie do Kijowa Karol Wojtyła powiedział: „Padnijmy razem przed wspólnym Bogiem, wyznając nasze winy. Prośmy o wybaczenie za błędy popełnione w przeszłości. Z naszej strony zapewniamy, że wybaczymy wszystkie uczynione nam niesprawiedliwości. Największym moim życzeniem jest, by pomyłki przeszłości nie powtórzyły się w przyszłości”.

Jana Pawła II przywitał we Lwowie kardynał Lubomyr Huzar:

Łaska Ducha Świętego zgromadziła nas dzisiaj na tę wspólną modlitwę, na tę Boską Liturgię razem z Tobą, Ojczyce Święty. W ciągu poprzednich dni przebywałeś w stołecznym grodzie Ukrainy, skąd na całą Ruś zajaśniało światło Chrystusowej nauki. Dzisiaj wita Cię ziemia halicka – zachodnie regiony Ukrainy – której w ostatnich dziesiątkach lat przypadła osobliwa rola obrony tej wiary przez szczególne świadectwo wierności nauczaniu Chrystusa. Lwów i ziemia halicka, na której z powodu różnych warunków historycznych w ciągu ostatnich dwóch wieków zachowała się i rozwinęła wiara katolicka w jej bizantyńskiej tradycji, stały się ofiarą okupacji bezbożnego reżimu z wszystkimi straszliwymi następstwami, zwłaszcza prześladowaniem religii w ogóle, a naszego Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego w szczególności.

Zgromadzone tu masy ludu – a ja jestem ich rzecznikiem – bezpośrednio świadczą o tym, że nasz Kościół, który poniósł wielkie i nadzwyczajnie bolesne straty, wszystko szczęśliwie przetrzymał i przy pierwszej sposobności odnowił swe normalne publiczne życie. Jesteśmy bardzo dumni z tego powodu, lecz nie przypisujemy sobie osobliwych zasług. Mamy świadomość, że wsparła nas łaska Boża, ukazując światu ten wspaniały cud – odrodzenia naszego Kościoła. Łaska Boża wyraziła się przede wszystkim w tych naszych braciach i siostrach, spośród których wielu jest tutaj obecnych – biskupach i kapłanach, zakonnikach

i zakonnicach, a także świeckich, którzy pełnymi garściami przyjęli Boży dar i z jego pomocą dali całemu światu świadectwo swojej wierności Chrystusowi i Jego Kościołowi. Niektórych z nich jako załóżek niezliczonych innych męczenników i wyznawców, których zrodziła ta ziemia, Ty, Ojciec Święty, ogłosisz dzisiaj wobec zebranego tu ludu i wobec wszystkich, którzy śledzą nasze nabożeństwo, błogosławionymi. Za to składamy Ci wielką podziękę.

A potem kardynał Huzar dodał:

Może wyda się to dziwne, niezrozumiałe i sprzeczne, żeby w chwili wysławiania ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego przypomnieć też, iż historia naszego Kościoła w minionym stuleciu знаła także ciemne i tragiczne duchowo momenty. Polegały one na tym, że niektórzy synowie i córki Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, ku naszemu ogromnemu żalowi, świadomie i dobrowolnie wyrządzili krzywdę swoim bliźnim spośród swego narodu czy innych narodów. Za nich wszystkich w Twojej obecności, Ojciec Święty, pragnę w imieniu Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego prosić o przebaczenie Pana Stworzyciela i Ojca nas wszystkich, a także o przebaczenie tych, których w jakiś sposób skrzywdziliśmy my, synowie i córki naszego Kościoła. Żeby już nie ciążyła na nas straszliwa przeszłość i nie utrudniała naszego życia, chętnie przebaczymy tym, którzy w jakiś sposób skrzywdzili również nas. Jesteśmy przekonani, że w duchu wzajemnego przebaczenia możemy spokojnie przystąpić do tej wspólnej z Tobą służby Boskiej Liturgii w szczerej i mocnej nadziei, że wkraczamy w nowe i piękniejsze stulecie.

Papież beatyfikował ukraińskich męczenników za wiarę. Pokłonił się pamięci wielkich przywódców greckokatolickiej Cerkwi – kardynałów Andrzeja Szeptyckiego, Josyfa Slipyja i Mirosława Lubaczińskiego. Ale przede wszystkim mówił podczas mszy beatyfikacyjnej:

Dzisiaj, gdy wielbimy Boga za to, że ci Jego słudzy okazali tak nieugiętą wierność Ewangelii, odczuwamy głęboką wewnętrzną potrzebę uznania różnych przejawów niewierności ewangelicznym zasadom, jakich nierzadko dopuszczali się chrześcijanie pochodzenia zarówno polskiego, jak i ukraińskiego zamieszkujący te ziemie. Czas już oderwać się od bolesnej przeszłości! Chrześcijanie obydwu narodów muszą iść razem w imię jedyne Chrystusa, ku

jedynemu Ojcu, prowadzeni przez tego samego Ducha, który jest źródłem i zasadą jedności. Niech przebaczenie – udzielone i uzyskane – rozleje się niczym dobroczynny balsam w każdym sercu. Niech dzięki oczyszczeniu pamięci historycznej wszyscy gotowi będą stawiać wyżej to, co jednoczy, niż to, co dzieli, ażeby razem budować przyszłość opartą na wzajemnym szacunku, braterskiej współpracy i autentycznej solidarności.

I powtórzył po ukraińsku:

– *Otrymane i darowane proszczennia nechaj rozijdetsa jak nacze błahotwornyj balsam w serci kožnoho.*

Na lwowskim hipodromie, gdzie odprawiono mszę, zapanowała euforia. Pielgrzymi zaczęli jak szaleni machać ukrytymi dotąd flagami ukraińskimi. Podczas przekazania znaku pokoju Polacy obejmowali się z Ukraińcami. Zbratani przeszli przez całe miasto do dzielnicy Sychów, gdzie po południu rozpoczęło się spotkanie Ojca Świętego z młodzieżą. „Kochamy Papieża!” przeplatało się z okrzykiem „*My lubymo Papu!*”.

Mimo deszczu przyszło na Sychów sto pięćdziesiąt tysięcy osób. Gdy zaczęła się ulewa, Ojciec Święty powiedział:

– Deszcz pada, dzieci będą rosły! – W pewnym momencie padało tak mocno, że papieża nie chronił nawet baldachim. – Nie lij dyscu, nie lij, bo cie tu nie trzeba. Obejdź góry, lasy, zawróć się do nieba – zaintonował Jan Paweł II.

Ludzie szaleli ze szczęścia.

Kiedy Jan Paweł II odlatywał do Rzymu, zegnał go ponad milion: Ukraińców, ale też Polaków.

Było więc w czasie ukraińskiej pielgrzymki Jana Pawła II wszystko, co trzeba: wielki autorytet mówiący o potrzebie wybaczenia i prawdy, deszcz – symbol, niczym łyż nad paskudną historią, euforia tłumów. Kłopot w tym, że Jan Paweł II ma w Polsce najwięcej pomników, najwięcej ulic nosi jego imię, ale nauki, które głosił, należą do najbardziej lekceważonych. I co poradzić?

\*

W Roku Eucharystii podejmujemy wezwanie Świętego Pawła: „W imię Chrystusa prosimy: pojednajcie się z Bogiem!”. Uczestniczymy w historycznej chwili, a celem jej jest dążenie do jedności narodów poprzez modlitwę i przebaczenie. Pragniemy – według wskazań Świętego Pawła – zmierzać do

pojednania między wiernymi Kościoła Greckokatolickiego i Rzymskokatolickiego.

Tak zaczyna się list pasterski, ogłoszony w Warszawie i we Lwowie w 2005 roku przez hierarchów obu konfesji. Jan Paweł II już nie żyje, ale przynajmniej biskupi obu Kościołów pojęli, o co mu szło.

Dokonując aktu wzajemnego przebaczenia – w imię sprawiedliwości, miłosierdzia i dobra naszych narodów – pragniemy podjąć dziedzictwo Ojca Świętego Jana Pawła II – Papieża pokoju i pojednania. Czynimy to w poczuciu odpowiedzialności za „wychowanie młodych pokoleń w duchu pojednania i budowania przyszłości bez uwarunkowań historii” (*Przesłanie Jana Pawła II w 60. rocznicę tragicznych wydarzeń na Wołyniu, Watykan 7 lipca 2003 r.*). To On, zwracając się do Ukraińców i Polaków, pisał: „Skoro Bóg przebaczył nam w Chrystusie, trzeba, aby wierzący umieli przebaczać sobie nawzajem doznane krzywdy i prosić o przebaczenie własnych uchybień, i w ten sposób przyczyniać się do budowania świata, w którym respektuje się życie, sprawiedliwość, zgodę i pokój”.

Dziś ślemy braterskie pozdrowienia do naszych wiernych na Ukrainie i w Polsce, a także do braci prawosławnych i wszystkich ludzi dobrej woli. W naszej historii nie brakło wydarzeń trudnych, niekiedy tragicznych. Oddalały nas od siebie konflikty zbrojne, polityczne, religijne, mimo iż łączyło nas dziedzictwo tej samej wiary, wspólnota chrztu świętego, przez który zostaliśmy wszczępieni niezależnie od przynależności narodowej w śmierć i chwalebne Zmartwychwstanie naszego Pana.

Już ponad tysiąc lat temu nasze narody otworzyły się na Chrystusa i Jego Ewangelię, a chrześcijaństwo zaczęło formować naszą kulturę i narodową tożsamość. Wiara w Chrystusa Zmartwychwstałego pomagała nam przetrwać trudny czas wojen, zniewolenia. Niosła nadzieję, że również nasze narody zmartwychwstaną do życia w wolności.

Chrześcijaństwo przyszło do Polski z łacińskiej Europy, a na ziemiach ukraińskich wyrosło z tradycji bizantyjskiej. To nas wyróżniało, a niekiedy mogło stawać się przeszkodą w naszych wzajemnych stosunkach; szczególnie wtedy, kiedy nie podejmowano trudu wzajemnego zbliżenia. Często wzajemne różnice bywały też sztucznie wyolbrzymiane przez próbujących nas poróżnić

nieprzyjaznych sąsiadów, albo rozniecane przez wewnętrzne spory polityczne. Były przecież w naszej historii okresy, kiedy doświadczaliśmy wspólnoty losu, szliśmy tą samą drogą, przechodziliśmy razem niejedną próbę, wzajemnie korzystając z duchowych dóbr, czerpiąc z naszej chrześcijańskiej wspólnoty siłę trwania i nadziei.

Miniony XX wiek przyniósł światu tragiczne doświadczenia wielu wojen, terroru politycznego, niszczenia Kościołów przez systemy totalitarne. Zaznaczył się także radosnymi wydarzeniami: upadkiem systemów totalitarnych (nazistowskiego i komunistycznego), Soborem Watykańskim II, odzyskaniem wolności religijnej, odrodzeniem Cerkwi Greckokatolickiej na Ukrainie, jednoczeniem się Europy.

U progu trzeciego tysiąclecia od narodzenia Chrystusa Pana mamy świadomość, że aby budować jedność narodów i rozwijać wzajemne stosunki w duchu zaufania, należy przewyciężyć dziedzictwo przeszłości, wybaczyć sobie historyczne krzywdy i nieporozumienia, oczyścić naszą pamięć oraz budować cywilizację miłości [...].

Gdy 2 kwietnia 2005 roku odszedł do domu Ojca Przedwiecznego Papież Jan Paweł II, świat utracił swego głównego duchowego przywódcę. W tych pamiętnych dniach uświadomiliśmy sobie jeszcze mocniej wartość posługi apostolskiej Namiestnika Chrystusowego – Syna narodu słowiańskiego. Jednym z najważniejszych zadań pontyfikatu Jana Pawła II była troska o pokój między narodami. Pamiętamy Jego słowa: „Nie ma pokoju bez sprawiedliwości, nie ma sprawiedliwości bez przebaczenia” (tytuł Orędzia na XXXV Światowy Dzień Pokoju 1 stycznia 2002). Ojciec Święty dał nam, uczniom Chrystusa, wspaniały przykład, wyznając historyczne winy Kościoła katolickiego i prosząc o ich przebaczenie, ponieważ w sercu chrześcijanina nie powinno być miejsca na gniew, niesprawiedliwość, kłamstwo.

Drodzy Bracia i Siostry w Chrystusie! Sprawując Najświętszą Eucharystię, w czasie Kongresu Eucharystycznego w Warszawie (19 czerwca) i we Lwowie (26 czerwca), kierować będziemy nasze modlitwy do Boga Wszchemogącego. Zanim to się stanie, spełnijmy święty obowiązek, o którym tak mówi Chrystus: „Jeżeli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim! Potem przyjdź i dar swój ofiaruj”. Darem, który przynosimy jest pragnienie spełnienia woli naszego Pana, aby „wszyscy byli jedno”.

W ubiegłym stuleciu nasze narody złożyły świadectwa wierności okupionej śmiercią! Krew przelana przez męczenników wzywa nas do miłości, przyjaciół i wrogów, i woła: „Pojednajcie się!”.

I dalej:

Wznieśmy się ponad polityczne poglądy i historyczne zaszłości, ponad nasze kościelne obrządki, nawet ponad naszą narodowość – ukraińską i polską. Pamiętajmy przede wszystkim, że jesteśmy dziećmi Boga. Zwróćmy się do naszego Ojca: „Przebacz nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Aby nasza modlitwa była ze wszech miar owocna, powiedzmy wobec siebie słowa: „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie” – wszak mają już swoją historyczną moc w dziele pojednania narodów (por. *List Biskupów Polskich do Biskupów Niemieckich, Rzym 1965 rok*). Niech ten akt przebaczenia i pojednania dokona się przed Obliczem Boga w Trójcy Jedynej i Bogurodzicy w miejscach świętych dla naszych wiernych: „na Jasnej Górze i w Zarwanicy, w Warszawie i Lwowie”. Niech nasza wspólna modlitwa będzie modlitwą czystych serc, modlitwą ludzi dobrej woli.

W tym duchu udzielamy pasterskiego błogosławieństwa.

Niewiele z tego wyszło, choć apele obu Kościołów, w tym polskiego, opoki tak zwanej historycznej pamięci, były co roku takie same: „Wybaczcie sobie nawzajem”. Lecz pasterskie błogosławieństwo bardzo często nie wystarcza.

# Zbrodnia

Porozmawiajmy o prawie i o paragrafach.

– Jeśli mamy rozważać kwalifikację prawną akcji „Wisła”, to definicja powinna być jak najbardziej precyzyjna – opowiadał mi doktor Krzysztof Persak, historyk kiedyś zatrudniony w IPN-ie na wysokim stanowisku (dyrektor sekretariatu prezesa), lecz zwolniony, być może również za nie dość nabożny stosunek do ojczystej historii, akurat polsko-żydowskiej; Persakowi miano za złe prace o mordzie w Jedwabnem. – A więc: akcja „Wisła” to przymusowe przesiedlenie ponad stu czterdziestu tysięcy ludności cywilnej narodowości ukraińskiej lub należących do etnicznej grupy łemkowskiej, na dodatek ludzi, którzy od wieków zamieszkiwali tereny, z których ich wysiedlono. To również przymusowe i trwałe osiedlenie polskich Ukraińców i Łemków na terenach północno-zachodnich naszego kraju, rozproszenie ich i ustanowienie zakazu powrotu na ojcowiznę. Rozkazy wykonawcze dla akcji „Wisła” wydały władze „Polski Ludowej”, z inspiracji kierownictwa komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej. Wszystko to działo się w warunkach konfliktu zbrojnego z ukraińską partyzantką.

Zapytałem, czy akcja „Wisła” była zbrodnią przeciwko ludzkości.

Krzysztof Persak:

– Pytanie brzmi, z jakiej perspektywy będziemy się nad tym zastanawiać. Czy naczelnymi kryteriami będą dla nas prawo międzynarodowe, zewnętrzne, ale też nadrzędne i respektowane przez Polskę? Czy za podstawę przyjmujemy prawo krajowe? Tu chodzi o ocenę wydarzeń z przeszłości, więc musimy wiedzieć, czy stosujemy dzisiejsze normy, współczesne wartości i prawo, czy też staramy się zrekonstruować stan ówczesny. W sierpniu 1945 roku, czyli półtora roku przed akcją „Wisła”, USA, ZSRR, Wielka Brytania i Francja postanowiły powołać Międzynarodowy Trybunał Wojskowy do osądzenia popełnionych przez hitlerowskie Niemcy i ich najwyższych funkcjonariuszy zbrodni przeciwko pokojowi, ludzkości i zbrodni wojennych. Karta Trybunału Norymberskiego była pierwszą próbą zdefiniowania w prawie międzynarodowym zbrodni przeciwko ludzkości. I chociaż w Norymberdze sądzona była III Rzesza, bardzo szybko

uznano, że Karta i wyrok Trybunału Norymberskiego ustanawiają zasady prawa międzynarodowego powszechnie obowiązujące także w przyszłości. Już w grudniu 1946 roku jednogłośnie potwierdziła je rezolucja Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. Doktryna prawa międzynarodowego i liczne orzeczenia sądowe traktują zasady norymberskie jako normę prawną.

– Jak Trybunał Norymberski definiował zbrodnie przeciwko ludzkości?

– Zgodnie z artykułem 6 litera c Karty Trybunału zbrodnie przeciwko ludzkości to: „morderstwa, występianie, obracanie ludzi w niewolników, deportacja i inne czyny nieludzkie, których dopuszczono się przeciwko jakiegokolwiek ludności cywilnej, przed wojną lub podczas niej, albo prześladowania ze względów politycznych, rasowych lub religijnych przy popełnianiu jakiegokolwiek zbrodni wchodzącej w zakres kompetencji Trybunału lub w związku z nią, niezależnie od tego, czy było to zgodne, czy też stało w sprzeczności z prawem kraju, w którym zbrodni dokonano”.

– Oznacza to jednoznacznie – ciągnie Persak – że deportacja lub masowe przymusowe przesiedlenie w granicach tego samego kraju było zbrodnią przeciwko ludzkości. Aż do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Karta Międzynarodowego Trybunału Wojskowego zawierała jedyną wiążącą definicję zbrodni przeciwko ludzkości. Na przykład konwencja Organizacji Narodów Zjednoczonych z 1968 roku o nieprzedawnianiu zbrodni przeciwko ludzkości w kwestii ich definicji odsyłała właśnie do Karty Międzynarodowego Trybunału Wojskowego.

Nowa definicja zbrodni przeciwko ludzkości, ale bazująca na norymberskiej, została sformułowana w związku z powołaniem w 1998 roku Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze. Statut Trybunału rozszerza i doprecyzowuje przyjęte w Norymberdze pojęcie zbrodni przeciwko ludzkości. Co znaczy, że akcja „Wisła” była zbrodnią przeciwko ludzkości w 1947 roku i jest taką zbrodnią również dzisiaj.

– A jeśliby stosować tylko kryteria prawa polskiego z 1947 roku?

– Przymusowe przesiedlenie łamało przepisy obowiązującego wówczas kodeksu karnego z 1932 roku. Na przykład artykuł 251, zakazujący przemocą lub groźbą bezprawną zmuszania do konkretnych działań albo ich zaniechania. Artykuł 252 o naruszeniu miru domowego. Artykuł 248 o bezprawnym pozbawieniu wolności, pod który podpadają liczne przypadki osadzeń Ukraińców w obozie w Jaworznie. Wielu więźniom Jaworzna nie przedstawiono nawet nakazów aresztowania, nie



mówiąc już o wyroku. Akcja „Wisła” łamała wiele postanowień konstytucji z 1921 roku dotyczących praw obywatelskich. A przecież komuniści uznali podstawowe zasady konstytucji marcowej za wiążące. W lutym 1947 roku, na dwa miesiące przed akcją „Wisła”, Sejm Ustawodawczy uchwalił specjalną deklarację o prawach i wolnościach obywatelskich. Trzeba się również zastanowić nad wymiarem formalnym decyzji o akcji „Wisła”. Decyzję podjęło Prezydium Rady Ministrów, czyli organ prawnie nieistniejący, bo utworzono go formalnie dopiero w 1950 roku. Mamy tu do czynienia z naruszeniem artykułu 286 ówczesnego kodeksu karnego, czyli nadużyciem władzy.

Ale te wszystkie argumenty są wtórne wobec prawa międzynarodowego, Karty Międzynarodowego Trybunału Wojskowego i statutu Międzynarodowego Trybunału Karnego. Chociaż mają znaczenie dla oceny akcji „Wisła” jako zbrodni komunistycznej.

Tyle o prawie i historii. Dalej rozmawialiśmy o polityce. Pytałem więc, dlaczego – skoro wszystko jest w miarę jasne – państwo polskie ma tak wielki kłopot, by oceniać akcję „Wisła” według norm prawa międzynarodowego i przyjętych przez cywilizowany świat kryteriów określających zbrodnię przeciwko ludzkości.

Krzysztof Persak odrzekł:

– Nie wiem. Wolę mówić o prawie i decyzjach z niego wynikających. W 2007 roku Związek Ukraińców w Polsce wystąpił do pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej z doniesieniem o popełnieniu przestępstwa, jakim w przekonaniu członków tej organizacji była akcja „Wisła”. Prosimi o zweryfikowanie legalności decyzji Prezydium Rady Ministrów „Polski Ludowej” o przymusowych przesiedleniach oraz o ocenę innych czynów towarzyszących deportacjom. Pion śledczy IPN-u odmówił wówczas wszczęcia śledztwa w tej sprawie. Prokurator uznał, że akcja „Wisła” nie była zbrodnią przeciwko ludzkości. Oparł się na definicji zbrodni zapisanej w ustawie o IPN-ie, która wprowadza dodatkowe kryterium „poważnego prześladowania”.

Okazało się, że według IPN-u z Rzeszowa deportacja stu czterdziestu tysięcy ludzi, okupiona rabunkami, upokorzeniem, biciem, a czasami śmiercią, nie była „poważnym prześladowaniem”. Dlaczego? Wie to tylko prokurator, który podjął taką decyzję, a samą akcję określił jako „dolegliwość i niedogodność”.

– Mogę tylko powiedzieć – tłumaczył Persak – że jeśli akcja „Wisła” nie była „poważnym prześladowaniem”, to taki pogląd był niepoważny. Prokurator nie

doszukał się w tych decyzjach nadużycia władzy, więc nie uznał ich za zbrodnię komunistyczną. Postanowienie o odmowie wszczęcia śledztwa stwierdzało, że skoro kompetencje Prezydium Rady Ministrów nie były nigdzie określone, to nie można dowieść, że podejmując decyzję o wysiedleniu Ukraińców, przekroczyło ono swoje uprawnienia. Takie rozumowanie oznacza niedopuszczalne z prawnego punktu widzenia domniemywanie kompetencji organu władzy. A przede wszystkim prokurator nie dostrzegł, że Prezydium Rady Ministrów takim organem nie było, bo formalnie wówczas nie istniało. Nie przewidywała go uchwalona w lutym 1947 roku tak zwana Mała Konstytucja. Co gorsza, postanowienie prokuratora zatwierdził Sąd Okręgowy w Warszawie, do którego odwołał się Związek Ukraińców w Polsce. Zanim do tego doszło, kolejne sądy przerzucały sobie tę sprawę jak gorący kartofel.

Gdyż – co poradzić? – polskich Ukraińców niektórzy prokuratorzy i historycy IPN-u przytulają do serca ze szczególną wrażliwością. Ten sam urzędnik z Rzeszowa, który uznał akcję „Wisła” za legalną, prowadził też śledztwa w sprawie sowieckich deportacji Polaków na Syberię i do Kazachstanu. Kwalifikował je jako zbrodnie komunistyczne i zbrodnie przeciwko ludzkości.

Doktor Krzysztof Persak nazwał to „fałszywym rozumieniem polskiej racji stanu” i „mentalnością Kalego”.

# Mam przed oczyma niewinne dzieciątka

W siedemdziesiątą rocznicę wywózek Związek Ukraińców w Polsce wydał chudziutką broszurę. Zaczyna się najsmutniej, jak tylko można:

Z badań historyków zajmujących się akcją „Wisła” wynika, że temat deportacji ludności ukraińskiej na ziemie zachodnie i północne Polski w 1947 roku w zasadzie został wyczerpany [...]. Ustalenia badaczy nie przekładają się, niestety, na powszechną wiedzę. Niejednokrotnie możemy zaobserwować mechanizm usprawiedliwiania zła wyrządzonemu innemu – w imię narodowego egoizmu, z nienawiści czy też – nie można tego wykluczyć – w czyimś interesie.

Dalej opisany jest zestaw mitów pokutujących w Polsce, niezmiennych od lat, lecz pewien czas temu jakoś ukrytych, zakopanych głęboko; może na chwilę zwyciężyły zdrowy rozsądek albo zwykła ludzka przyzwoitość.

Przecież nie było tak – w co wierzy ciągle wielu, a może jeszcze więcej Polaków niż choćby dekadę temu – że wywózki jawiły się komunistycznej, ale też polskiej władzy jako wyższa konieczność, gdyż UPA zagrażała terytorialnej jedności kraju, a gdzieś w Bieszczadach lub na Łemkowszczyźnie powstawał załążek ukraińskiej niepodległości, która miałaby zostać wywojowana kosztem Polski. Ani tak, że deportacje były konsekwencją śmierci generała Waltera, rewanżem za zbrodnię wołyńską i mordami w Galicji Wschodniej. Bo gdzie Rzym, a gdzie Krym. Stacjonujące w Polsce sotnie UPA można było zniszczyć bez deportacji. Akcja „Wisła” przyniosła tylko ból i nienawiść, gospodarczo zdegradowała tereny dwudziestu dwóch powiatów i trzech województw, Ukraińcom zaś nie przyniosła awansu cywilizacyjnego, o czym ochoczo rozpisywała się propaganda.

Ale zdrowy rozsądek potaniał, a przyzwoitość przestała być wartością. Odżył klimat, jaki zafundowały Polsce „łuny w Bieszczadach”, choć nikt nie wznawia dzisiaj książki Jana Gerharda. Grupa posłów zastanawiała się nawet nad unieważnieniem uchwały senatu z 1990 roku potępiającej akcję „Wisła”.

– Mam wrażenie, że Ukraińcy, przyjezdni, ale też obywatele polscy, przejmują rolę Żydów w międzywojniu – powiedział mi Piotr Tyma, przewodniczący

Związku Ukraińców w Polsce. – W Przemyślu i okolicach już huczy: Ukraińcy rządzą się i szarogęszą, wykupują ziemię i domy, otwierają firmy, eksploatują i poniżają Polaków, kpią z polskiej historii i martyrologii. Podczas jakiejś uroczystości starszy pan pokazał mi dziewczynę w wyszywanej ukraińskiej koszuli i zapytał: „Czy za taki strój znów będą nas napadać? Zrobiło się bardzo źle”.

\*

Z wyliczanki, dalece niekompletnej, spisanej w Związku Ukraińców w Polsce.

Na terenie południowo-wschodniej Polski w latach 2014–2016 doszło do zorganizowanych i skoordynowanych prowokacji wymierzonych w społeczność ukraińską oraz w relacje polsko-ukraińskie. Polegały one na profanowaniu i niszczeniu upamiętnień związanych z okresem II wojny światowej i walk polsko-ukraińskich po jej zakończeniu. Do profanacji doszło w: Białymstoku koło Lisek, gmina Dołhobyczów, województwo lubelskie, w Hruszowicach, gmina Stubno, województwo podkarpackie, w Monasterzu, Wierzbicy, Radruży, Mołodyczu, Pikulicach, Werchratej. W przypadku Białegostoku, Hruszowic, Wierzbicy, Mołodycza obiekty były niszczone kilka razy. Sprawców nie ustalono w żadnym ze zdarzeń, a śledztwa zamknięto. Nagrania z akcji profanacji i niszczenia mogił i upamiętnień – z logo Obozu Wielkiej Polski – były dostępne na kanale YouTube Dawida Hudźca, redaktora portalu „Novorossia Today”.

Rozklejono antyukraińskie ulotki na konkatedrze greckokatolickiej w Gdańsku. Antyukraińskimi napisami wymalowano kamienice w Krakowie i w Przemyślu.

W Bartoszycach zniszczono krzyż poświęcony ofiarom kijowskiego Majdanu.

W Olsztynie niszczone ukraińskie flagi.

W czerwcu 2016 roku w Przemyślu polscy nacjonaści i kibice lokalnej drużyny piłkarskiej zaatakowali procesję idącą na groby żołnierzy Ukraińskiej Republiki Ludowej, sojuszników marszałka Józefa Piłsudskiego w wojnie polsko-bolszewickiej. Doszło do naruszenia nietykalności cielesnej, sprofanowania chorągwi religijnych, gróźb karalnych.

Dwukrotnie odwołano imprezę kulturalną Noc Iwana Kupały w Przemyślu i w Krasicy z powodu gróźb antyukraińskich środowisk i presji władz miasta oraz odmowy zabezpieczenia przez organy porządku publicznego.

Odesłano z ukraińsko-polskiej granicy zespół OtVinta, grający rockabilly, oskarżany przez kibiców Polonii Przemyśl oraz prezydenta miasta o „szerzenie

banderyzmu”.

Podczas pikiety środowisk narodowych i prorosyjskich pod ambasadą Ukrainy w Warszawie usiłowano pobić obywatela Ukrainy za to, że był ubrany w koszulkę z tryzubem.

Pod Kętrzynem przeprowadzono rewizję w domu obywatela polskiego narodowości ukraińskiej pod zarzutem propagowania ustroju totalitarnego. I znów powodem była koszulka z tryzubem, oficjalnym godłem państwowym Ukrainy.

W audycji *Radiowy Przegląd Prasy* emitowanej przez Polskie Radio Koszalin współprowadzący audycję Wojciech Cejrowski powiedział: „Ukraińcy to gwałciciele i rzeźnicy”; „No więc, na pańskie pytanie, czy wszyscy Ukraińcy, stwierdzam, że wszyscy”. Audycja jest dostępna na stronie internetowej radia.

Spalono ukraińską flagę na Marszu Niepodległości w Warszawie.

Zniszczono tablice z nazwami miejscowości Gładyszów, Regietów, Ropki, zapisane cyrylicą w języku łemkowskim.

Zaatakowano cerkiew Ojców Bazylianów w Przemyślu.

Na parkingu archikatedry greckokatolickiej w Przemyślu zniszczono samochody. Sprawców nie ustalono, choć policja dostała nagranie z monitoringu. Nieznani sprawcy przecięli dwukrotnie opony w samochodzie Pawła Striłki, przewodniczącego Stowarzyszenia Ukraińskich Więźniów Politycznych.

O internetowym hejcie, o skandowanych przez tłumek okrzykach „Śmierć Ukraińcom” podczas marszów ku czci Orląt Przemyskich i Lwowskich, nad którymi trzymają patronat posłowie Rzeczypospolitej, lokalne oddziały Instytutu Pamięci Narodowej i prezydenci miast – gospodarzy imprez – nie ma co mówić.

\*

Z artykułów w mediach.

Maciej Dzwonnik pisze w gdańskiej „Gazecie Wyborczej”:

Noc z soboty na niedzielę, po północy. Ireneusz Nadolski, właściciel firmy Lilan z Chwaszczyzna, odbiera telefon. – Panie Irku, naokoło domu Polacy, dużo ich. Krzyczą na naszych, rzucają butelkami i każą wypierdalać na Ukrainę. Co robić?!

Dzwoni Jurij, dwudziestosześcioletek z Tarnopola. Pracuje u Nadolskiego już trzy lata, półtora roku temu ściągnął do Polski żonę i dziecko. Teraz boi się o ich

bezpieczeństwo, nie wie, jak daleko posuną się napastnicy. Nadolski nie zastanawia się długo, natychmiast wyrusza na miejsce.

Chwaszczyno to kaszubska wieś na przedmieściach Trójmiasta. Dominuje zabudowa podmiejska, rolników jest niewielu, działa sporo firm. Lilan jest jedną z nich, zajmuje się kasacją pojazdów i handlem złomem. Nadolski zatrudnia około sześćdziesięciu pracowników, z czego dwadzieścia cztery osoby to Ukraińcy. Wszyscy pracują legalnie. Zarabiają mniej niż Polacy, ale mają zapewnione posiłki i mieszkanie. W domu, który wynajmuje im Nadolski, mieszka dziesięciu pracowników, dwie kobiety i dwoje dzieci.

Tego wieczoru na posesji obok odbywał się wieczór kawalerski. To stamtąd przyszli napastnicy. Podeszli pod dom Ukraińców, zaczęli krzyczeć o zabieraniu pracy i rzucać kamieniami. Gdy napastnicy zobaczyli samochód (jechał nim Nadolski), wycofali się, a przed domem zostali tylko wystraszeni Ukraińcy. Kobiety płakały. Nadolski wysłuchał ich relacji i przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie uciekli atakujący Polacy. Wtedy wyskoczyła na niego grupa kilkunastu ludzi. Mieli w rękach „tulipany” z rozbitych butelek, sztachety, kij bejsbolowy. Zaczęli bić. Kilku Ukraińców ruszyło szefowi na ratunek. Oni też zostali pobici. Gdy udało im się wycofać, znów poleciały w ich stronę kamienie i butelki. „Spierdalać na Ukrainę!”, „Zabieracie Polakom pracę!”, „Polska dla Polaków!”, „Do domu, kurwy!” – krzyczeli Polacy.

Chwilę później Nadolski, z rozbitą głową, stłuczonym uchem i nerkami, dzwonił już na policję.

Pierwszy radiowóz przyjechał szybko, ale policjanci nie podjęli interwencji. Czekali kilkadziesiąt minut, aż przyjadą posiłki. Dopiero wtedy policjanci zdecydowali się wyprowadzić na zewnątrz wszystkich uczestników wieczoru kawalerskiego. Wcześniej – zdaniem świadków – część imprezowiczów uciekła.

Łącznie zatrzymano siedmiu mężczyzn w wieku od 23 do 38 lat. Oprócz jednego wszyscy byli pijani. Są mieszkańcami Gdyni, okolic Wejherowa i Chwaszczyna. U jednego z podejrzanych znaleziono niewielką ilość kokainy. Policjanci zebrali też z ulicy „tulipany”. Planują zebrać z nich odciski palców [...].

– To dramat. Sprawcy nie poszli pod losowy dom, dobrze wiedzieli, gdzie idą i kogo zastaną na miejscu. To pokazuje, że działanie było celowe i wymierzone przeciwko obywatelom Ukrainy – komentuje socjolog profesor Cezary Obracht-Prondzyński. – Niestety, fala nienawiści, która narasta w naszym kraju, jest

coraz większa. Jeszcze gorszym zjawiskiem jest jednak przyzwolenie na przemoc ze strony państwa. Jeśli raz po raz sprawy dotyczące nawoływania do nienawiści są umarzane, to kolejnym etapem jest roszczenie sobie prawa do przemocy fizycznej wobec „obcych”.

RMF24.pl informuje:

Policjanci z podkarpackiego Niska wyjaśniają okoliczności pobicia przez Polaków dwóch Ukraińców. Atak miał miejsce w sobotni wieczór w Rudniku nad Sanem. Jeden z pobitych mężczyzn ma złamaną rękę. Policjanci zatrzymali już dwóch napastników, ustalili tożsamość trzeciego. Sprawcy mają od dziewiętnastu do dwudziestu czterech lat. Jak dowiedział się reporter RMF FM Krzysztof Kot, policjanci ustalili, że do siedzących w pizzerii Ukraińców poszedł mężczyzna i kazał im opuścić lokal. Prawdopodobnie był pijany. Jeden z Ukraińców wyszedł z pizzerii na zewnątrz i tam został pobity. Drugi poszedł do sklepu znajdującego się nieopodal i również został tam napadnięty.

„Gazeta Łódzka” donosi:

W niedzielę 17 stycznia grupa mężczyzn spotkała się około godziny osiemnastej. Poza jednym wszyscy byli trzeźwi. Prowodyr grupy, trzydziestodwuletni, namówił pozostałych, by „w obronie honoru polskich kobiet” postraszyć i pobić obywateli Ukrainy, legalnie pracujących w łódzkiej firmie i mieszkających w pobliskich kwaterach pracowniczych. Pozostali hasło podchwycili. Siedmiu mężczyzn wtargnęło do hotelu pracowniczego, wpadli do kuchni i napadli na przebywające tam dwie kobiety i pięciu mężczyzn. Mieli nóż, którego na szczęście nie użyli, ale bili pięściami, kastetem i pałką. Używając gróźb i wulgaryzmów, wzywali Ukraińców do opuszczenia Polski. Podczas napadu Polacy zniszczyli wyposażenie i meble w kuchni. Gdy w obronie rodaków stanęło kilkunastu innych Ukraińców, także mieszkających w hotelu pracowniczym, agresywni Łódzianie uciekli.

Gazeta dodaje, że hotel pracowniczy, gdzie mieszkają Ukraińcy, od miesięcy jest wymalowywany w hasła: „Polska dla Polaków”, „Jebać Ukrainę”, „Wypierdalać”.

Lokalny program krakowskiej telewizji poinformował o pobiciu siedemnastolatka z Ukrainy:

Chłopak wraz z polskim rówieśnikiem przebywał na przyszkolnym boisku, gdzie grali w koszykówkę. W pewnym momencie obok boiska pojawiło się trzech młodych mężczyzn, którzy zaczęli zaczepiać siedemnastolatka. Następnie napastnicy wyłamali z pobliskiego ogrodzenia drewniane pale, niektóre zakończone gwoździami, i zaczęli nimi okładać Ukraińca, po czym ukradli mu piłkę i uciekli.

Napastników schwytano. Dostali zarzut znieważenia i pobicia ze względów narodowościowych.

I tak dalej. Ukraińców bito w Kutnie, w Zakopanem, w Legnicy, w Warszawie, w Rzeszowie.

\*

Byłem na spotkaniu komisji sejmowej zajmującej się sprawami mniejszości narodowych i etnicznych, podczas którego Piotr Tyma (zresztą nie pierwszy raz) opowiadał o antyukraińskich nastrojach. Obradowano w sali imienia Tadeusza Mazowieckiego i pod jego portretem. Pamiętam posiedzenie czasem jak kabaret, a czasem – jak spektakl grozy. Jedno i drugie było tam obecne w nadmiarze.

Piotr Tyma przedstawił film z greckokatolickiej procesji w Przemyślu (uczestniczyli w niej również Polacy), zaatakowanej przez polskich chuliganów, i obrazki z wystawy zorganizowanej w Koninie, na której artysta malarz prezentował prace ilustrujące „sto sposobów mordowania Polaków”, używanych ponoć przez Ukraińców latem 1943 roku na Wołyniu, a i później, po zachodniej stronie Bugu i Sanu. Puścił kilka piosenek z tak zwanej sceny narodowej – młodzi raperzy wzywali do mordowania Ukraińców. Pokazał chłopaka, którego chciano bić pod ambasadą Ukrainy: policja odprowadza ofiarę, bo inaczej dostałaby baty, ale w ogóle nie interesuje się agresorami. Tyma miał w zasadzie jedno pytanie: co posłowie Rzeczypospolitej zamierzają zrobić, by przeciwstawić się narastającej nienawiści i agresji?

Odpowiedziano mu, a jakże. Jeden z posłów mówił o staruszce, która – gdy dowiedziała się, że leczący ją lekarz jest Ukraińcem – „niemal zeszła na atak serca, bo wiedziała, do czego zdolny jest ten naród”.

Drugi – o tureckich raperach śpiewających w Niemczech, którzy obiecują nabytej, choć rodzonej ojczyźnie islamski kalifat i gwałcenie niemieckich kobiet, ale nikt z tego powodu nie rwie włosów z głowy, bo sztuka, nawet ta agresywna,



radykalna, a zwłaszcza ta zrodzona na ulicy i w blokowiskach, ma swoje niezbywalne prawa. Tak, poseł był rozumiejący, tolerancyjny i nowoczesny.

Przez chwilę, ponieważ zaraz dodał, że kiedy zbliża się rocznica rzezi wołyńskiej i akurat ma okazję patrzeć na swoje dzieci, kilkuletnie pacholęta, widzi oczyma duszy polski narybek mordowany w bestialski sposób na wschodzie dawnej Rzeczypospolitej przez banderowców; te duszyczki nie mają ani przyzwoitych mogiłek, ani pochówku, leżą zakopane pod miedzą gdzieś na bezludziu, zapomniane, odarte nawet z pamięci, i czekają na modlitwę. Tak poseł raper stał się heroldem polskiej, narodowej martyrologii. Że wymaginowany obraz stający przed oczyma posła nie ma nic wspólnego z tym, co dzisiaj, zapomniał zauważyć.

Była na tym spotkaniu pewna posłanka, która z oburzeniem oznajmiła, że mniejszość ukraińska w Polsce nie docenia, co dla niej zrobił polski naród, a gdzieś tam, w słowotoku jej wypowiedzi, tykało przekonanie, że zrobił tyle, ile nikt, nigdy i dla nikogo. Posłankę rozdrażniła „roszczeniowa postawa Ukraińców”. Powinni być wdzięczni Polakom, a co najmniej bardziej powściągliwi w żądaniach, skoro mają za uszami powstanie Bohdana Chmielnickiego, opisanie przez Henryka Sienkiewicza w *Ogniem i mieczem*, antypolski terror lat międzywojnia, gdy ukraińscy nacjonaści strzelali i podkładali bomby, no i wszystko to, co stało się później – wszak są na ten temat książki, filmy i publikacje.

Miałem wrażenie, że gdyby Tyma – rok urodzenia 1966, oczywiście z rodziny wysiedlonych – uklęknął przed posłami i ich zwidami (choć wątpię, że mają takowe), też nie zrozumiano by, z czym przyszedł i o co mu chodzi. Usłyszał, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, napaść na procesję to margines, internetowy hejt nie ma znaczenia, za to Ukraińcy mają położyć uszy po sobie.

\*

Michał z Harszu powiedziałby więcej, ale rozmowa go męczy, skutki udaru dają o sobie znać.

– Mogli z nami wszystko i dzisiaj znów mogą wszystko. Pan nie pisze pod nazwiskiem, po co mi to. Kiedyś, jak tylko tu nastaliśmy, był sołtys Kawczyński. Rozповідаł, że przywieźli upowców, więc trzeba im pokazać ruski miesiąc. Coś się polepszyło, ale z nami już tak jest: lepiej, gorzej, najgorzej, wiadomo. Rodzina męża mojej córki kupiła mieszkanie w Sanoku. Pomieszkali chwilę, przyznali się,

że Ukraińcy. Gdyby było komu kupić, sprzedaliby mieszkanie za pół ceny, bo żyć im nie dają. U nas, na Mazurach, aż tak nie ma.

– Nie ma?

– Był w naszej gminie festyn. Jak co roku dzieci w wyszywanych koszulach miały śpiewać dumki. Zaśpiewały, ale koszul nie włożyły. Na festynie może pojawić się każdy. Już nawet za koszule tu ganiają.

Zenon z Kętrzyna, drugie pokolenie na Mazurach, wykształcony i niebojący, bo czego tu się bać – bywało straszniej, przynajmniej w opowieściach dziadków i rodziców:

– Zawsze mieliśmy tu Młodzież Wszechpolską i łysoli z Obozu Narodowo-Radykalnego. Mieliśmy to gdzieś. Dziś już nie mamy, przynajmniej ja nie mam. Jakoś o nich głośniej, bardziej ich słyszać, nie ma wstydu, gdy się do nich należy. Niby nic się nie dzieje, ale czasami czuję się jak w dzieciństwie, kiedy jechałem przez babciną Jagławkę i Polacy rzucali za mną kamieniami. Niech pan wierzy, nie jestem histerykiem.

\*

Maria z Węgorzewa:

– Niedawno wnuk siostry przyjechał studiować do Polski. Gdyby nie było mu tutaj, w Polsce, lepiej niż na Ukrainie, toby nie przyjechał. Ale boję się o chłopaka. Przecież wiem, co się dzieje. Gorzej dziś śpię, a kiedy wyrwę się ze snu, to przychodzi lęk, bo sobie przypominam. Wszystko do mnie wraca, wszystko, z całego życia. Odpycham to, co złe. Powtarzam sobie, że w końcu po coś ten wnuk tu przyjechał i pewnie zostanie.

Maria pojechała raz do swoich dawnych Żurawiec, roku już nie pamięta, ale nie było to tak dawno. Przeszła się po wiosce, nie poznała ani jednej twarzy. Ktoś zapytał:

– Czego pani szuka?

Odpowiedziała, że starego domu.

Usłyszała:

– Oj, pani kochana.

W miejscu domu była zarośnięta trawą kupa gruzu i śmieci, nowa ulica szła zupełnie inaczej niż kiedyś. Drzewko owocowe, które dawniej było malutkie,

rozrosło się, ale nikt nie dbał, więc zdziczało, pogięły mu się konary, kora na pniu pokryła się mchem.

Z ulgą wróciła na Mazury.

\*

Jarosław powiada, że – jeśli pomyśleć o wszystkim, co mu się przytrafiło – życie miał całkiem dobre. Ukrainiec, a jednak wyszedł na ludzi, szkoły ukończył, może się nie dorobił, ale nie każdy musi. Lata temu próbował z ojcem, matką i siostrą wrócić pod Przemyśl. Ślali podania o zgodę, lecz w odpowiedziach czytali, że ich ziemia uwłaszczona przez Polaków, jeśli chcą przyjechać, proszę bardzo, ale muszą coś kupić.

Pojechali w 1965 roku. Majątek zmieścił się w dwóch wagonach, więc mówiono im, że odkuli się na wysiedleniu. Zdobyli zaświadczenie, że wolno im mieszkać w strefie przygranicznej, milicja nachodziła tylko czasami, nie częściej niż na Mazurach. W trzy lata w nowym gospodarstwie stanęła obora. Nowe życie w starym miejscu, może nie tym samym, ale bliżutko, nie wydawało się najgorsze. Póki trzymali się własnego obojścia.

– Na wsi było jeszcze względnie – wspomina Jarosław. – Za to w Przemyślu okropnie, choć w porównaniu z tym, co jest dzisiaj, to był miód, słodka śmietana. Miałem dyplom, ale wart był tyle co moje ukraińskie nazwisko, czyli nic. Nie zrozumiesz pan tego, póki sam nie doświadczysz.

Gdy po dziesięciu latach ojciec zmarł na cukrzycę, Jarosław spakował manatki. W podprzemyskim domu zostały siostra i matka. Wrócił do Węgorzewa: osiedle czteropiętrowych bloków, zimą nad płaskimi dachami snuje się dym z kotłowni. Bardziej pokoiki niż pokoje, boazeria, rowerek do ćwiczeń, meble takie, jakie były kiedyś. Trochę książek, gazety drukowane cyrylicą, obowiązkowo Taras Szewczenko na makatce.

– Mniej pcham się w oczy niż tam – mówi Jarosław. – Moich tu więcej. Mniej udają, że nie są moimi, nie wstydzą się aż tak bardzo ukraińskości, strach też mniejszy.

Jest już stary, bardziej obchodzi go czas miniony niż dzisiejszy, ale także chciałby być spokojny o przyszłość, której nie doczeka. Przyszłość jest ważna, lecz marnie wygląda. Przystudiował chyba wszystko, co napisano o Hrubieszowie, wspólnej akcji AK i UPA na czerwony garnizon, najsłynniejszej i na dodatek

wygranej, jakby na przekór całej historii obu narodów. Co prawda – nawet gdyby Polacy i Ukraińcy podczas wojny zgadali się między sobą, nic by to nie dało. Wtedy, bo dzisiaj byłoby inaczej.

– Ślepych i głuchych tu nie ma – mówi. – Jak ktoś ważny mówi w telewizji, że Ukrainiec odpowiada za zbrodnie, słowa idą po kraju. Stoję na klatce schodowej, sąsiad Polak zaczepia: „Panie Jarku, pan taki nie jest, jak o was mówią, to co ja mam myśleć?”.

– Co ja mogę tłumaczyć, stary Ukrainiec? – pyta Jarosław. – Krzyczeć, wrzeszczeć? Widzi pan przecież, jak moja kochana żona chora. Ją też wieźli z ukraińskiego wschodu w bydłym wagonie, była wtedy w kołysce. Niby nic nie powinna pamiętać, malutka była, co niemowlę może wiedzieć, co czuć, co je obchodzi coś więcej od matczyngo cyca. Szast-prast, wszystko kiedyś wyjdzie na wierzch. Wyszło. Zdrowie, proszę pana, najważniejsze. I żeby nie kłamać.

\*

Nadzieja:

– Mam wnuczkę, pracuje jako stewardesa za granicą, lata po całym świecie. Zależy mi, żeby miała dobrze, nie ma jej tu, więc nic jej nie zrobią. Żalu jednak nie mam, bo za dużo przeżyłam, żeby żałować i żalić się, złościć się na głupich i podłych. Bóg im odpłaci, a tym, którzy nie wierzą, przypomni ich własne sumienie. Pan może jeszcze nie wierzyć, ale gdy się dożywa pewnych lat, rachunek za życie sam przychodzi, trzeba płacić, choćby słabym zdrowiem. Uwierało mnie zawsze i uwiera jedno: patrzyli na nas i patrzą jak na kacapów, zdrajców, Rusków jakichś, bo u nas krzyż inny, cerkiew nie kościół, a Szewczenko nie Mickiewicz. A kto z nich wie, po co ja poszłam do tych komunistycznych organizacji, po co działałam w Baniach, w Węgorzewie? Źle było, jak młodzież śpiewała? Uczyła się? Ubierała się w haftowane koszule? Wsiąkała w ten kraj? Kto z tych mądrali, którzy mówią, że jestem Bóg wie kim, banderówką, narodówką, faszystką, wie, jak my przywiązani do Polski? Ja wiem: bardziej niż wielu Polaków, bo na dobre i na to wszystko złe, co Polska nam zrobiła.

\*

– No i doszliśmy znowu w miejsce, z którego my, tak się zdawało, wyszli niedawno na zawsze – mówi Szymon. – Te wiadomości, które pan masz ode mnie,

zapisz i schowaj, a drukuj sobie po mojej śmierci. W życiu nie byłem na Ukrainie, a za Ukrainę byłem ścigany. Dzieci mam, wnuki, tu mieszkam i nigdzie indziej, muszę patrzeć swego. Znow jest tak, że wszystkie Polaki czyste, tylko Ukraince brudne. Mnie może być od tego tylko bardzo przykro, mogę się bać o młodych, tyle że krótko, bo stary jestem. Polakom za to wstyd na całe lata. Przechylcie państwo, to naprawdę dobry bimber: na ziołach, z piołunem.

## **Podziękowania**

Dziękuję Mirosławowi Czechowi, Adamowi Michnikowi i Piotrowi Tymie za celne, subtelne sugestie. Andrzejowi Krykowi za niewdzięczną rolę przewodnika.

A przed Wami, Panowie, Helenie Łuczywo.

# Źródła

Cytaty z dokumentów wojskowych pochodzą z książek Eugeniusza Misiły *Akcja „Wisła” 1947* i profesora Jana Pisulińskiego *Akcja specjalna „Wisła”*. Opowieści z Jaworzna księży prawosławnych i grekokatolickich cytował profesor Igor Hałagida oraz, w przypadku księdza Stepana Dziubiny, również Bogdan Huk. Relacje dotyczące zbrodni w Pawłokomie oraz Zawadce Morochowskiej przytaczam za swoim zbiorem reportaży *Pochówek dla rezuna*.

Hałagida Igor (zebrał i oprac.), *Duchowni grekokatolicy i prawosławni w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie (1947–1949). Dokumenty i materiały*, Warszawa: IPN / Związek Ukraińców w Polsce, 2003

Huk Bogdan, *Ukraina. Polskie jądro ciemności*, Przemyśl: Stowarzyszenie Ukraińskie Dziedzictwo, 2013

—, *Za to, że jesteś Ukraińcem. Wspomnienia z lat 1944–1947*, Koszalin: Stowarzyszenie Ukraińców Więźniów Politycznych i Represjonowanych w Polsce, 2012

Misiło Eugeniusz, *Akcja „Wisła”*. *Dokumenty*, Warszawa: Archiwum Ukraińskie. Zakład Wydawniczy „Tysa”, 1993

—, *Akcja „Wisła” 1947. Dokumenty i materiały*, Warszawa: Archiwum Ukraińskie & Management Academy Group, 2013

Motyka Grzegorz, *Tak było w Bieszczadach. Walki polsko-ukraińskie 1943–1948*, Warszawa: Volumen, 1999

Pajtasz Włodzimierz, *Wspomnienia* [relacja z deportacji i pobytu w Jaworznie, opublikowana przez Fundację Losy Niezapomniane],

[http://los.org.pl/\\_struktura/Projekty/ProjektUA/wspomnienia.php?mo=p&Polaczenie=13010579614](http://los.org.pl/_struktura/Projekty/ProjektUA/wspomnienia.php?mo=p&Polaczenie=13010579614) (dostęp: 23.08.2017)

Pisuliński Jan, *Akcja specjalna „Wisła”*, Rzeszów: Libra, 2017

Pisuliński Jan (red.), *Akcja „Wisła”* [materiały z konferencji Instytutu Pamięci Narodowej], Warszawa: IPN, 2003

*Polska i Ukraina w latach trzydziestych–czterdziestych XX wieku. Nieznane dokumenty z archiwów służb specjalnych. Tom 5. Akcja „Wisła”*, Warszawa–Kijów: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Instytut Badań Politycznych i Narodowościowych Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, 2006

Smoleński Paweł, *Pochówek dla rezuna*, Wołowiec: Czarne, 2001

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.  
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice  
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75  
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl  
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa  
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa  
tel./fax +48 22 621 10 48  
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl  
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl  
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl  
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, malgorzata.wietecha@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl  
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków  
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2017  
Wydanie I